

MATTHEW PERRY

AUTOBIOGRAFIA

Ze wstępem
Lisy Kudrow

W
ab
two

Przyjaciele, kochankowie
i ta Wielka Straszna Rzecz

Matthew Perry

**PRZYJACIELE, KOCHANKOWIE I TA
WIELKA STRASZNA RZECZ**
Autobiografia

Przełożyli Jacek Żuławnik, Paweł Bravo, Anna Klingofer-Szostakowska,
Natalia Mętrak-Ruda



Tytuł oryginalny: *Friends, Lovers, and the Big Terrible Thing*

Text Copyright © 2022 by Matthew Perry

Foreword © 2022 by Lisa Kudrow

Published by arrangement with Flatiron Books

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXII

Copyright © for the Polish translation by Jacek Żuławnik, Paweł Bravo, Anna Klingofer-Szostakowska, Natalia Mętrak-Ruda, MMXXII

Wydanie I

Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Dedykacja

Motto

Przedmowa. Lisa Kudrow

Prolog

Rozdział 1. Widok

Interludium. Nowy Jork

Rozdział 2. Kolejne pokolenie diabli wzięli

Interludium. Matman

Rozdział 3. Bagaż

Interludium. Trup

Rozdział 4. Jakbym już tam kiedyś był

Interludium. Zoom

Rozdział 5. Bez czwartej ściany

Interludium. Otchłań

Rozdział 6. Bruce Willis

Interludium. Jest jak w niebie?

Rozdział 7. Bez zobowiązań

Interludium. Kieszenie

Rozdział 8. Odyseja

Interludium. Obóz traumy

Rozdział 9. Do tanga nie trzeba trojga

Interludium. Przemoc w Hollywood

Rozdział 10. Coś strasznego

Interludium. Przedział dla palących

Rozdział 11. Batman

Zdjęcia

Podziękowania

Przypisy

*Dla wszystkich, którzy cierpią.
Wiecie, że to o was mowa.*

Najlepsze wyjście wie dzie zawsze na wskroś.

Robert Frost, *Sługa do sług*, przeł. Stanisław Barańczak

Tylko pomóż mi przetrwać jeszcze jeden dzień.

James Taylor

„Jak się czuje Matthew Perry?”

Odkąd wiele lat temu zaczęto zadawać mi to pytanie, często bywało ono pytaniem zadawanym mi najczęściej ze wszystkich. Rozumiem, czemu odpowiedź na nie interesuje tak wielu ludzi: kochają Matthew i chcą, żeby czuł się dobrze. Też tego chcę. A jednak zawsze się jeżyłam, kiedy zadawali mi je dziennikarze, bo nie mogłam odpowiedzieć tak, jak chciałam: „To jego historia i nie ja powinnam ją opowiadać, prawda?”. Miałam ochotę powiedzieć: „To bardzo intymne, osobiste sprawy i dopóki nie mówi o nich sam zainteresowany, dopóty są to tylko plotki, a ja nie zamierzam z wami plotkować o Matthew”. Wiedząc, że brak jakiegokolwiek odpowiedzi mógłby mu tylko zaszkodzić, czasem odpowiadałam: „Wydaje mi się, że wszystko w porządku”. To przynajmniej nie zwracało uwagi i być może pozwalało mu zachować nieco prywatności w walce z chorobą. Tak naprawdę jednak sama nie do końca wiedziałam, jak Matthew się czuje. Jak przeczytacie w książce, trzymał to w sekrecie. Minęło sporo czasu, zanim poczuł się na tyle bezpiecznie, żeby opowiedzieć nam nieco o tym, przez co przechodzi. Na przestrzeni lat nie próbowałam interweniować ani się z nim konfrontować, bo o uzależnieniu wiedziałam tyle, że jego trzeźwość nie zależy ode mnie. Czasem zastanawiałam się, czy popełniam błąd, nie próbując zrobić więcej. W ogóle czegoś zrobić. A jednak zrozumiałam, że ta choroba niestrudzenie się nim karmi, zdeterminowana, żeby trwać.

Skupiłam się więc na Matthew, który każdego dnia potrafił mnie rozśmieszyć, a raz w tygodniu potrafił mnie rozśmieszyć tak bardzo, że ze śmiechu płakałam i traciłam oddech. Był tu: Matthew Perry, człowiek błyskotliwy, uroczy, kochany, wrażliwy, bardzo rozsądny i racjonalny. Mimo swojej walki ten facet wciąż tu był. Ten sam Matthew, który na samym początku poprawiał nam humor podczas męczących nocnych zdjęć

do otwierającej sceny w fontannie. „Nie pamiętam czasów, kiedy nie byłem w fontannie”. „Czyżbyśmy byli mokrzy?” „Ach, pamiętne chwile, kiedy nie byłem mokry...” (To dzięki Matthew w tej scenie wszyscy tak się śmiejemy).

Po zakończeniu kręcenia *Przyjaciół* nie widywałam się z Matthew na co dzień i nie mogłam nawet zgadywać, jak się czuje.

To dzięki tej książce dowiedziałam się, czym naprawdę było jego życie z uzależnieniem i przetrwanie go. Matthew trochę mi o tym opowiadał, ale nie tak szczegółowo. Tu bardzo otwarcie i szczerze wpuszcza nas do swojej głowy i serca. Wreszcie nikt nie musi pytać o jego samopoczucie mnie ani nikogo innego. Sam wam wszystko mówi.

Był bliski śmierci tyle razy, że jego przetrwanie wydaje się niemal cudem. Cieszę się, że tu jesteś, Matty. Jak to dobrze. Kocham cię.

Lisa

Cześć, mam na imię Matthew, chociaż być może znacie mnie pod innym imieniem. Przyjaciele mówią na mnie Matty.

Powinienem już nie żyć.

Jeśli chcecie, możecie spojrzeć na to, co tu przeczytacie, jak na wiadomość z zaświatów. Z moich zaświatów.

Nadszedł Siódmy Dzień Bólu. Nie mam na myśli takiego bólu, jaki powoduje stłuczenie palca czy oglądanie drugiej części filmu *Jak ugryźć 10 milionów*. Piszę o Bólu wielką literą, bo był to najgorszy Ból, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem – platońska idea Bólu, jego archetyp. Ludzie mawiają, że najbardziej boli poród: a więc był to najgorszy wyobrazalny ból, tyle że pozbawiony perspektywy radości, jaką daje trzymanie noworodka w ramionach.

Jest to nie tylko Siódmy Dzień Bólu, ale też Dziesiąty Dzień Bezruchu. Jeśli łapiecie, o co mi chodzi – od dziesięciu dni się nie wysrałem. Coś było nie w porządku, i to bardzo. To nie był tępy, pulsujący ból przypominający migrenę; nie był to nawet kłujący, przeszywający ból, który czułem, kiedy jako trzydziestolatek miałem zapalenie trzustki. To był inny rodzaj Bólu. Jakby moje ciało miało pęknąć. Jakby moje wnętrzości chciały wydostać się na zewnątrz. Ten Ból się nie pierdolił.

I jeszcze te dźwięki. Mój Boże: te dźwięki. Zazwyczaj jestem dość cichym, introwertycznym gościem. Tamtej nocy jednak wrzeszczałem na cały głos. Czasem po zmierzchu, kiedy wiatr wieje z właściwej strony, a wszystkie samochody już zaparkowały, da się w Hollywood Hills usłyszeć przeraźliwe wycie zwierzęcia rozrywanego na strzępy przez kojoty. Z początku brzmi to jak dobiegający z oddali dziecięcy śmiech, ale potem zdajesz sobie sprawę, że to nie śmiech – to zapowiedź śmierci. Najgorsza

jest jednak chwila, kiedy wycie cichnie, bo wiesz, że cokolwiek zostało zaatakowane, już nie żyje. To piekło.

Owszem, piekło istnieje. Nie dajcie sobie wmówić, że to nieprawda. Byłem w nim, istnieje. Koniec dyskusji.

Tamtej nocy tym zwierzęciem byłem ja. Wciąż krzychałem, rozpaczliwie walcząc o przetrwanie. Cisza oznaczałaby koniec. Nie miałem pojęcia, jak blisko końca się znalazłem.

Mieszkałem wtedy w domu trzeźwości w południowej Kalifornii. Nic w tym dziwnego – pół życia spędziłem w różnych ośrodkach dla uzależnionych i domach trzeźwości. To całkiem dobre rozwiązanie dla dwudziestoczterolatka; gorsze, kiedy masz czterdzieści dwa lata. Ja miałem lat czterdzieści dziewięć i wciąż nie radziłem sobie sam ze sobą.

Na tym etapie wiedziałem o uzależnieniu od alkoholu i narkotyków więcej niż wszyscy trenerzy i duża część lekarzy, których spotykałem w tych ośrodkach. Niestety taka samowiedza nic nie daje. Gdyby droga do trzeźwości wymagała ciężkiej pracy i pogłębionej wiedzy, bestia byłaby dla mnie już tylko złym wspomnieniem. Musiałem zmienić się w zawodowego pacjenta, żeby w ogóle przetrwać. Nie ma co się oszukiwać. W wieku czterdziestu dziewięciu lat wciąż bałem się być sam. Kiedy mój szalony mózg (szalony zresztą tylko w tym obszarze) zostawał sam, zawsze znajdował jakąś wymówkę, żeby zrobić to, co niewyobrażalne: pić i ćpać. Jako że mam za sobą całe dekady życia zniszczone piciem i ćpaniem, przeraża mnie, że mógłbym zrobić to znowu. Nie boję się przemawiać do dwudziestu tysięcy ludzi, ale kiedy wieczorem siadam sam na kanapie przed telewizorem, oblewa mnie zimny pot. Boję się własnego umysłu, własnych myśli; boję się, że mój mózg po raz kolejny każe mi sięgnąć po narkotyki. Wiem doskonale, że mój umysł chce mnie zabić. Wciąż czają się we mnie samotność i tęsknota, wciąż lgnę do przekonania, że coś, co znajduje się na zewnątrz mnie, zdoła mnie naprawić. Ale miałem przecież w życiu wszystko, co mógł mi zaproponować zewnętrzny świat.

Moją dziewczyną jest Julia Roberts. *Nieważne, musisz się napić.*

Właśnie kupiłem mój wymarzony dom – mam z niego widok na całe miasto! *Znajdź sobie lepiej diler.*

Zarabiam milion dolarów tygodniowo – nieźle, co? *Chciałbyś się napić?*
Jasne, że tak. Wielkie dzięki.

Miałem wszystko. Ale wszystko było ułudą. Nie było sposobu, żeby rozwiązać mój problem. Dopiero po wielu latach zacząłem powoli rozumieć, gdzie szukać rozwiązania. Proszę, nie zrozumcie mnie źle. To wszystko – Julia, wymarzony dom, milion dolarów tygodniowo – było wspaniałe i zawsze będę za to wdzięczny. Jestem jednym z największych farciarzy na świecie. I najlepiej na świecie się bawiłem.

Ale to nie była odpowiedź. Czy gdybym miał zrobić to jeszcze raz, znów poszedłbym na przesłuchanie do *Przyjaciół*? No pewnie, że tak. Czy znowu bym pił? No pewnie, że tak. Gdyby alkohol nie koił moich nerwów i nie pomagał mi dobrze się bawić, jako dwudziestolatek rzuciłbym się z wieżowca. Mój wspaniały dziadek Alton L. Perry był wychowywany przez ojca alkoholika i w rezultacie przez całe cudowne dziewięćdziesiąt sześć lat swojego życia nie tknął alkoholu.

Nie jestem moim dziadkiem.

Nie piszę tych słów, żeby ktoś mi współczuł – piszę je, bo to prawda. Piszę je, bo ktoś inny również może czuć się zagubiony, wiedząc, że powinien przestać pić – mając wszystkie potrzebne informacje, rozumiejąc konsekwencje – a jednak wciąż nie umiejąc tego zrobić. Bracia i siostry, nie jesteście sami. (Pod hasłem „nałogowiec” w słowniku powinno widnieć zdjęcie, na którym rozglądam się wokół, głęboko skonfundowany).

W domu trzeźwości w południowej Kalifornii miałem widok na zachodnie Los Angeles i dwa podwójne łóżka. Drugie zajmowała moja asystentka i najlepsza przyjaciółka Erin, której przyjaźń szczególnie cenię, jako że daje mi radość kobiecego towarzystwa pozbawioną romantycznego napięcia, które dotąd niszczyło moje przyjaźnie z heteroseksualnymi

kobietami (nie wspominając o tym, że mogę z nią rozmawiać o seksownych laskach). Poznałem ją dwa lata wcześniej w innym ośrodku, w którym wtedy pracowała. Nie wytrzeźwiałem wtedy, ale dostrzegłem jej wspaniałość, więc „ukradłem ją” z ośrodka i zaproponowałem stanowisko asystentki. Została moją najlepszą przyjaciółką. Ona również rozumiała, czym jest uzależnienie, a moją walkę poznała lepiej niż jakikolwiek lekarz.

Chociaż obecność Erin dawała mi pocieszenie, spędziłem w południowej Kalifornii wiele bezsennych nocy. Sen to dla mnie duży problem – zwłaszcza w takich miejscach. Nie wydaje mi się zresztą, żebym kiedykolwiek w życiu spał dłużej niż cztery godziny bez przerwy. Nieszczególnie pomocny był fakt, że oglądaliśmy wyłącznie dokumenty o więzieniach, a ja odstawiałem akurat takie dawki xanaxu, że mój mózg był przekonany, iż sam jestem więźniem, a dom trzeźwości – zakładem karnym. Mantra mojego psychiatry brzmi: „rzeczywistość nie jest dla każdego”, a ja na tym etapie nie czułem ani smaku, ani zapachu rzeczywistości. Miałem covid rozumu, byłem kompletnie pogrążony w urojeniach.

Ból nie był jednak urojeniem: bolało tak bardzo, że przestałem palić, a gdybyście wiedzieli, ile paliłem, zrozumielibyście, że coś musiało być bardzo nie w porządku. Jedna z pracowniczek ośrodka, na której plakietce z imieniem równie dobrze mógłby widnieć napis SIOSTRA PINDA, zasugerowała, żebym wykąpał się w gorzkiej soli, żeby „zmniejszyć dyskomfort”. Nie zabiera się plasterka na miejsce samochodowej kraksy ani nie radzi się komuś pogrążonemu w takim Bólu, żeby posiedział w wodzie i sosie własnym. Pamiętajmy jednak, że rzeczywistość nie jest dla każdego: wykąpałem się w tej soli.

Siedziałem nagi, targany Bólem, wyjąc jak pies rozrywany na strzępy przez kojoty. Erin mnie słyszała – cholera, pewnie mieszkańcy San Diego też mnie słyszeli. Stała w drzwiach łazienki i patrząc na moje smutne, nagie, wijące się z Bólu ciało, spytała po prostu:

– Chcesz jechać do szpitala?

Jeśli Erin uważała, że w tym stanie kwalifikowałem się do szpitala, to tak było. Zresztą zauważyła też, że nie palę.

– Wydaje mi się to znakomitym pomysłem – odparłem między jednym jękiem a drugim.

Erin jakimś sposobem pomogła mi wyjść z wanny i mnie wytarła. Właśnie zaczynałem się ubierać, kiedy w drzwiach stanęła opiekunka – zapewne ściągnęło ją tam wycie zarzynanego psa.

– Zabieram go do szpitala – powiedziała Erin.

Opiekunka Catherine była piękną blondynką, której ponoć oświadczyłem się zaraz po przybyciu. W konsekwencji prawdopodobnie nieszczególnie za mną przepadała. (Nie żartuję: kiedy przyjechaliśmy, byłem tak nastukany, że poprosiłem ją o rękę, a zaraz potem spadłem ze schodów).

– To tylko próba odnalezienia środków uzależniających – zwróciła się do Erin, kiedy się ubierałem. – W szpitalu zażąda leków.

„Chyba wystąpię o rozwód” – pomyślałem.

Na tym etapie chyba dla wszystkich było już oczywiste, że albo całą podłogę pokrywają psie wnętrzności, albo ktoś naprawdę zwija się z Bólu. Główny opiekun Charles – wyglądał, jakby jego ojciec był modelem, a matka bezdomną – dołączył do Catherine, żeby pomóc jej zablokować nam przejście.

Zablokować przejście? Czy myśmy mieli po dwanaście lat?

– Jest naszym pacjentem – powiedziała Catherine. – Nie masz prawa go stąd zabrać.

– Znam Matty’ego – nalegała Erin. – Nie próbuje zdobyć leków.

Potem Erin zwróciła się do mnie:

– Matty, czy musisz jechać do szpitala?

Pokiwałem głową i znów zawyłem.

– Zabieram go stąd – oświadczyła Erin.

Jakimś cudem udało nam się minąć Catherine i Charlesa i wyjść z budynku na parking. Piszę o cudzie nie dlatego, że Catherine i Charles jakoś szczególnie nam przeszkadzali, ale dlatego, że za każdym razem kiedy moja stopa dotykała ziemi, Ból stawał się jeszcze bardziej nieznośny.

Wysoko na niebie wisiała jasna, żółta kula, która patrzyła na mnie z pogardą, nieprzejęta moją agonią.

„Co to jest?” – zastanawiałem się wśród paroksyzmów bólu. – „Ach, to przecież słońce...” Rzadko wychodziłem na zewnątrz.

– Jadę do was z osobą o statusie VIP, skarżącą się na ostry ból brzucha – powiedziała do słuchawki Erin, otwierając drzwi samochodu. Samochody to zwykłe, durne rzeczy, dopóki wolno ci je prowadzić. Kiedy tracisz tę możliwość, stają się nagle czarodziejskimi machinami symbolizującymi wolność i szczęśliwe, dawne życie. Erin posadziła mnie na miejscu pasażera. Oparłem się. Mój brzuch skręcał się z bólu.

Erin usiadła na fotelu kierowcy, zwróciła się do mnie i powiedziała:

– Chcesz dojechać tam jak najszybciej czy wolisz, żebym omijała tutejsze wyboje?

– Kobieto, po prostu jedź! – zdołałem tylko powiedzieć.

Charles i Catherine postanowili bardziej się postarać, żeby udaremnić nasze wysiłki, i stanęli przed samochodem, blokując nam drogę. Charles podniósł ręce do góry, wnętrzami dłoni skierowanymi w naszą stronę, jakby sądził, że uda mu się w ten sposób zatrzymać wazące półtorej tony auto.

Co gorsza, Erin nie mogła odpalić silnika. Mam samochód z systemem sterowania głosem, bo, no wiecie, grałem w *Przyjaciołach*. Catherine i Pan Wzniesiona Dłoń ani drgnęli. Kiedy Erin wpadła na to, jak to cholerstwo włączyć, musiała zrobić jeszcze tylko jedną rzecz: wcisnęła gaz, wrzuciła bieg i wjechała na krawężnik, a wstrząs, jaki tym wywołała, omal mnie nie zabił. Z dwoma kołami na krawężniku minęła Catherine i Charlesa i wyjechała na ulicę. Po prostu patrzyli, jak odjeżdżamy, chociaż na tym

etapie byłbym gotów poprosić ją, żeby ich rozjechała: to naprawdę straszne, kiedy nie można przestać krzyczeć. A ja siedziałem skulony i nie mogłem.

Gdybym robił to wszystko tylko po to, żeby dostać leki, zasługiwałbym na Oscara.

– Specjalnie celujesz w progi zwalniające? Nie wiem, czy zauważyłaś, ale jestem nieco obolały. Zwolnij – błagałem. Łzy płynęły po policzkach nam obojgu.

– Nie mogę jechać wolniej – powiedziała Erin, spoglądając na mnie swoimi brązowymi, współczującymi oczami, pełnymi troski i strachu. – Musisz się tam dostać jak najszybciej.

Mniej więcej w tym momencie straciłem przytomność. (Utrata przytomności oznacza dziesięć w dziesięciostopniowej skali bólu).

[Uwaga: kolejne kilka akapitów to raczej biografia niż wspomnienia, bo mnie już wtedy nie było].

Najbliższym szpitalem był Saint John's. Jako że Erin była na tyle przytomna, żeby uprzedzić o przyjeździe VIP-a, ktoś spotkał się z nami przy wyjściu awaryjnym. Nie wiedząc jeszcze, jak ciężko byłem chory, Erin zatroszczyła się o moją prywatność. Obsługa szpitala dostrzegła, że coś jest naprawdę nie tak, i zabrała mnie do gabinetu zabiegowego. Tam wypowiedziałem słowa:

– Erin, czemu na kanapie są piłeczki do ping-ponga?

Nie było tam żadnej kanapy ani żadnych piłeczek – po prostu majaczyłem. (Nie byłem świadom, że z bólu się majaczy, ale proszę bardzo). Wtedy do mojego mózgu dotarł dilaudid (najlepszy lek na całym świecie) i na chwilę odzyskałem przytomność.

Powiedziano mi, że potrzebuję natychmiastowej operacji i nagle do mojego pokoju weszły wszystkie kalifornijskie pielęgniarki naraz. Jedna z nich zwróciła się do Erin: „Przygotuj się do biegu!”. Erin była gotowa i pobiegliśmy – to znaczy oni pobiegli, a ja w szybkim tempie zostałem

zawieziony do sali operacyjnej. Erin kazano wyjść kilka sekund po tym, kiedy poprosiłem „nie wychodź, proszę”, po czym zamknąłem oczy, które otworzyłem dopiero trzy tygodnie później.

Tak, tak: panie i panowie, oto śpiączka! (Pamiętacie, że te sukinsyny z domu trzeźwości próbowały zablokować nasz samochód?)

Ledwie zapadłem w śpiączkę, odetchnąłem przez rurkę i zwymiotowałem zebrane przez dziesięć dni toksyczne gówno prosto do moich płuc. Płucom nieszczególnie się to spodobało – natychmiast dostałem zapalenia – i wtedy wybuchła mi okężnica. Powtórzę dla tych, którzy nie usłyszeli: wybuchła mi okężnica! Już wcześniej oskarżano mnie o bycie gówniarzem, ale teraz naprawdę nim byłem.

Cieszę się, że tego nie pamiętam.

W tamtej chwili moja śmierć była niemal pewna. Czy miałem pecha, że moja okężnica wybuchła? Czy może miałem szczęście, bo wydarzyło się to w jedynym pomieszczeniu w południowej Kalifornii, w którym można było coś z tym zrobić? Tak czy inaczej, czekała mnie teraz siedmiogodzinna operacja, dzięki czemu przynajmniej moi bliscy mieli mnóstwo czasu, żeby przyjechać do szpitala. Kiedy docierali na miejsce, wszyscy słyszeli to samo: „Matthew ma dwa procent szans na przeżycie nocy”.

Wszyscy byli tak wstrząśnięci, że część z nich padła na ziemię na szpitalnym korytarzu. Spędzę resztę życia ze świadomością, że moja matka i inni moi bliscy usłyszeli te słowa.

Jako że czekała mnie trwająca siedem godzin operacja, moi krewni i przyjaciele, przekonani, że lekarze zrobią wszystko, co w ich mocy, wrócili na noc do domu, żeby odpocząć. W tym czasie moja podświadomość walczyła o życie pośród skalpeli, rurek i krwi.

Uwaga, spoiler: przeżyłem tamtą noc. Ale to bynajmniej nie oznaczało końca kłopotów. Moim przyjaciołom i rodzinie powiedziano, że jedynym, co utrzyma mnie przy życiu w najbliższym czasie, jest ECMO (to skrótowiec od *Extracorporeal Membrane Oxygenation*, czyli pozaustrojowej

oksygenacji membranowej). Podłączenie do ECMO często nazywa się „zdrowaśką” – zacznijmy może od tego, że wszyscy czterej pacjenci, którzy zostali w tamtym tygodniu podłączeni do ECMO w szpitalu UCLA, już umarli.

Jakby tego było mało, w Saint John’s nie było ECMO. Wykonano telefon do Cedars-Sinai – podobno spojrzeli tylko na moją kartę i powiedzieli: „Nie ma mowy, Matthew Perry nie umrze w naszym szpitalu”.

Dzięki, kochani.

W UCLA też nie chcieli mnie przyjąć – czy z tego samego powodu? Kto wie – ale przynajmniej przystali maszynę razem z obsługą. Byłem do niej podłączony przez wiele godzin i zdawała się działać! Następnie przewieziono mnie do UCLA karetką pełną lekarzy i pielęgniarek. (Nie było szans, żebym przeżył piętnaście minut jazdy samochodem, zwłaszcza kierowanym przez Erin).

W UCLA zabrano mnie na oddział intensywnej terapii serca i płuc – miał stać się moim domem na kolejnych sześć tygodni. Wciąż byłem w śpiączce, ale szczerze mówiąc, zapewne bardzo mi się to podobało. Leżałem sobie wygodnie, a lekarze wpompowywali we mnie leki – cóż może być lepszego?

Powiedziano mi, że kiedy byłem w śpiączce, ani na chwilę nie zostałem sam – zawsze był przy mnie jakiś mój krewny bądź przyjaciel. Czuwali przy mnie przy świecach, modlili się w kręgu. Otaczała mnie miłość.

Wreszcie nastąpił cud i moje oczy się otworzyły.

[Powrót do wspomnień].

Pierwszym, co zobaczyłem, była twarz mojej matki.

– Co się dzieje? – wychrypiałem. – Gdzie ja jestem?

Ostatnim, co pamiętałem, była podróż samochodem z Erin sprzed miesiąca.

– Twoja okrężnica wybuchła – powiedziała mama.

Wzbogacony o tę informację zrobiłem to, co zrobiłby każdy komik: przewróciłem oczami i poszedłem z powrotem spać.

Powiedziano mi, że kiedy ktoś jest naprawdę ciężko chory, następuje swoiste odłączenie – Bóg nie kusi cię ponad to, co potrafisz znieść. W tygodniach, które nastąpiły po moim przebudzeniu, nie pozwalałem nikomu opowiadać sobie, co się wydarzyło. Za bardzo się bałem, że to moja wina, że sam to sobie zrobiłem. Zamiast więc o tym rozmawiać, robiłem jedyną rzecz, która wydawała mi się możliwa – podczas pobytu w szpitalu rzuciłem się w ramiona rodziny, spędzałem długie godziny w towarzystwie moich pięknych siostr Emily, Marii i Madeleine, które były zabawne, troskliwe i obecne. W nocy siedziała przy mnie Erin; nadal nie zostawałem sam.

Wreszcie pewnego dnia Maria – centralna postać naszej rodziny – uznała, że nadeszła pora, żeby powiedzieć mi, co się stało. Leżałem przywiązany do łóżka pięćdziesięcioma kablami niczym robot, a Maria opowiedziała mi całą historię. Moje lęki okazały się prawdziwe: ja to sobie zrobiłem. To była moja wina.

Płakałem. Boże, jak ja płakałem. Maria starała się mnie pocieszać, jak tylko mogła, ale nie dało się mnie pocieszyć. Prawie się zabiłem. Nigdy nie byłem imprezowiczem – brałem wszystkie te narkotyki (a było ich naprawdę dużo), na próżno starając się lepiej się poczuć. Tyle że zamiast tego zaprowadziłem się pod same drzwi śmierci. A jednak wciąż żyłem. Czemu? Czemu mnie oszczędzono?

Zanim jednak sytuacja uległa poprawie, było tylko gorzej.

Miałem wrażenie, że każdego poranka przychodzi do mnie lekarz z kolejną porcją złych wiadomości. Cokolwiek mogło pójść nie tak, szło nie tak. Miałem już worek stomijny – Bogu dzięki powiedziano mi, że nie na zawsze – ale teraz okazało się, że w jednym z moich jelit jest przetoka (dziura). Tyle tylko, że nie mogli jej znaleźć. Przyczepiono mi kolejny

worek, do którego ciekła obrzydliwa zielona maź, ale oznaczało to, że nie wolno mi było nic jeść ani pić. Codziennie szukali przetoki, a ja czułem coraz większe pragnienie. Błagałem o colę light i śniło mi się, że goni mnie ogromna puszka bezcukrowego sprite'a. Po miesiącu – całym miesiącu! – znaleźli wreszcie dziurę w jakiejś rurce za moją okrężnicą. „Kurde, skoro chodziło o dziurę w moim jelicie, może najlepiej było zacząć na tym odcinku, który, do cholery, WYBUCHŁ” – pomyślałem sobie wtedy. Teraz mogli wreszcie zacząć ją naprawiać, a ja – uczyć się na nowo chodzić.

Wiedziałem, że wracam do siebie, kiedy odkryłem, że podoba mi się przydzielona mi terapeutka. Owszem, miałem na brzuchu ogromną bliznę, ale i tak nie zdejmowałem koszulki zbyt często. Nie wyglądałem jak Matthew McConaughey i pod prysznicem staram się zamykać oczy.

Jak już wspomniałem, podczas pobytu w szpitalu ani razu nie zostałem sam. Światło w ciemności naprawdę się pali, ale czasem trzeba się wysilić, żeby je dostrzec.

Po pięciu bardzo długich miesiącach wypuszczono mnie ze szpitala. Powiedziano mi, że w ciągu roku wszystko we mnie zagoi się na tyle, że będę mógł mieć kolejną operację i pożegnać się z workiem stomijnym. Na razie jednak zapakowaliśmy do samochodu worki na pięć kolejnych miesięcy – i wyruszyliśmy w podróż do domu.

A tak w ogóle to jestem Batmanem.

Rozdział 1. Widok

Nikt nigdy nie wierzy, że przydarzy mu się coś naprawdę złego. Aż coś złego się dzieje. I nikt nie wraca do żywych po perforacji jelita, zachłystowym zapaleniu płuc i podłączeniu do ECMO. Aż ktoś wraca.

Na przykład ja.

Piszę te słowa w wynajętym domu z widokiem na Pacyfik. (Mój własny dom jest kawałek dalej i trwa w nim remont – ma potrwać pół roku, więc podejrzewam, że skończy się za rok). Pode mną w kanionie, który sprowadza Pacific Palisades nad wodę, krąży para mysołowów. W Los Angeles jest piękny wiosenny dzień. Rano zajmowałem się wieszaniem obrazów na ścianach (a w zasadzie wydawaniem poleceń ludziom, którzy je wieszali – sam nie jestem zbyt zręczny). W ostatnich latach wkręciłem się w sztukę, więc jeśli przyjrzyście się dokładnie, możecie dostrzec jakiegoś Banksy’ego. Poza tym pracuję nad drugim szkicem scenariusza. W mojej szklance jest świeża cola light, w kieszeni – pełna paczka marlboro. Czasami to wystarczy.

Czasami.

Wciąż wracam do tego niezwykłego, niesamowitego faktu: żyję. Biorąc pod uwagę, jakie były moje szanse na przeżycie, słowo to brzmi znacznie cudowniej, niż mogłoby się wam wydawać. Mnie wydaje się przedziwnie lśniąca, jak skały przywiezione z odległej planety. Nikt nie mógł uwierzyć, że mi się udało. Bardzo dziwnie żyje się w świecie, w którym twoja śmierć byłaby dla ludzi szokiem, a jednocześnie wcale nie byłaby zaskoczeniem.

To jedno słowo – żyję – napętnia mnie przede wszystkim głęboką wdzięcznością. Człowiek, który znalazł się tak blisko bram nieba jak ja, nie ma wyboru: wdzięczność leży na stole w moim salonie niczym książka – nawet kiedy jej nie zauważam, ona zawsze tam jest. A jednak tuż za tą wdzięcznością, zakopane głęboko w lekko anyżowym, subtelnie

lukrecjowym posmaku coli light i napętniające moje płuca jak każde zaciągnięcie się każdym papierosem, czają się nękające mnie męki.

Nie potrafię powstrzymać się przed zadawaniem sobie przytłaczającego pytania: Dlaczego? Dlaczego żyję? Zaczynam domyślać się odpowiedzi, ale nie jest ona jeszcze w pełni skonkretyzowana. Wiem, że ma to coś wspólnego z pomaganiem innym, ale jeszcze nie wiem co. Zdecydowanie najlepszą moją cechą jest to, że kiedy inny alkoholik podejdzie do mnie i spyta, czy mogę pomóc mu przestać pić, jestem w stanie odpowiedzieć „tak” i faktycznie to zrobić. Mogę pomóc zrozpaczonemu człowiekowi wytrzeźwieć. Wydaje mi się, że odpowiedź na pytanie „dlaczego żyję?” tkwi właśnie w tym. Odkryłem, że to jedyne, co pozwala mi naprawdę dobrze się poczuć. To dowód na istnienie Boga.

Tyle tylko, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, kiedy czuję się niewiele warty. Nie sposób oddać czegoś, czego się nie ma. A przez większość czasu nękają mnie myśli takie jak: „Jestem nie dość dobry, nic nie znaczę, jestem nieszczęśnikiem”. Myśli te sprawiają, że źle się czuję z samym sobą. Potrzebuję miłości, ale jej nie ufam. Jeśli przestanę grać, porzucę Chandlera i pokażę, kim jestem naprawdę, być może mnie zauważysz, ale być może zrobiwszy to – zaraz porzucisz. A z tym nie dam sobie rady. Tego nie przetrwam. Już nie. Porzucenie obróci mnie w pył i unicestwi.

A więc to ja pierwszy cię porzucę. Wymyślę sobie, że coś jest z tobą nie tak, i w to uwierzę. I odejdę. „Ale to niemożliwe, żeby z nimi wszystkimi było coś nie tak, Matso”. Jaki jest ich wspólny mianownik?

A teraz jeszcze te blizny na moim brzuchu. Te zniszczone romanse. Porzucenie Rachel. (Nie, nie tej Rachel. Prawdziwej Rachel. Byłej dziewczyny z moich marzeń). Wszystkie te myśli nękają mnie, kiedy bezsennie leżę w łóżku o czwartej nad ranem, w moim domu z widokiem na Pacific Palisades. Mam pięćdziesiąt dwa lata. To już nie jest urocze.

Zawsze mieszkałem w domach z widokiem. To dla mnie najważniejsza ich część.

Kiedy miałem pięć lat, wysłano mnie samolotem z Montrealu w Kanadzie, gdzie mieszkałem z mamą, do Los Angeles w Kalifornii, gdzie miałem odwiedzić tatę. Byłem tak zwanym „małoletnim bez opieki” (przez pewien czas tak chciałem zatytułować tę książkę). Przez jakąś milisekundę myślałem, że to będzie ekscytująca przygoda, ale potem zdałem sobie sprawę, że jestem za mały, żeby być sam, i że ta sytuacja jest przerażająca (i chujowa). Niech ktoś po mnie przyjdzie! Mam pięć lat! Czyście wszyscy powariowali?

Ten konkretny wybór kosztował mnie setki tysięcy dolarów terapii. Czy ktoś mógłby mi je zwrócić?

Kiedy jest się w samolocie „małoletnim bez opieki”, można liczyć na wiele przywilejów, poczynając od plakietki z napisem MAŁOLETNI BEZ OPIEKI, przez pierwszeństwo wejścia na pokład, poczekalnie tylko dla dzieci i ogromne ilości przekąsek, po opiekuna, który eskortuje cię prosto do samolotu... być może powinno być wspaniale (później, jako człowiek znany, również miałem na lotniskach wszystkie te przywileje, których jednak nie znosiłem, bo przypominały mi o tamtym, pierwszym locie). Stewardesy miały się mną opiekować, ale były zbyt zajęte serwowaniem szampana (tak właśnie było w latach siedemdziesiątych, kiedy wszystko uchodziło na sucho). Niewiele wcześniej zrezygnowano z ograniczenia do dwóch drinków, więc podróż przypominała sześć godzin w Sodomie i Gomorze. Smród alkoholu był wszechobecny; facet siedzący obok mnie wypił co najmniej dziesięć kolejek old fashioned (po paru godzinach przestałem liczyć). Nie byłem w stanie zrozumieć, czemu dorosły człowiek ma wciąż ochotę na tego samego drinka... o słodka niewinności.

Naciskałem wzywający obsługę przycisk wtedy, kiedy miałem odwagę, czyli niezbyt często. Stewardesy – w kozakach i krótkich szortach – przechodziły koło mnie, czochrały mi włosy i szły dalej.

Byłem zajeździe przerażony. Próbowałem czytać gazetkę „Highlights”, ale za każdym razem kiedy samolot podskakiwał w powietrzu, byłem pewien, że umrę. Obok mnie nie było nikogo, kto powiedziałby, że wszystko będzie dobrze, nikogo, kto by mnie pocieszył. Nawet nie sięgałem stopami podłogi. Za bardzo bałem się obniżyć oparcie i zasnąć, więc po prostu czekałem na kolejne podskoki, zastanawiając się raz po raz, jak by to było spaść z wysokości dziesięciu tysięcy kilometrów.

Nie spadłem, przynajmniej nie dosłownie. Wreszcie samolot podszedł do lądowania. Był piękny kalifornijski wieczór. Widziałem migoczące światła, ulice rozłożone niczym wielki, błyszczący czarodziejski dywan, szerokie połacie ciemności – dziś wiem, że były to wzgórza – pulsujące miasto, które zbliżało się do mnie, kiedy przykleiłem buzię do okna samolotu. Wyraźnie pamiętam, że te światła i całe to piękno oznacza, że zaraz będzie przy mnie rodzic.

Brak rodzica podczas tego lotu to jedna z wielu rzeczy, przez które przez całe życie czuję się opuszczony... Gdybym był dość dobry, nie zostawiliby mnie bez opieki, prawda? Czy nie tak to działa? Innym dzieciom towarzyszyli rodzice. Ja miałem plakietkę i pisemko.

To dlatego, kiedy kupuję nowy dom, a było ich wiele (nigdy nie bagatelizujcie lokalizacji), musi mieć widok. Patrząc nań, chcę mieć poczucie bezpieczeństwa, chcę czuć, że ktoś o mnie myśli, że jest tam miłość. Że gdzieś tam, gdzieś w dolinie, w wielkim oceanie, tam za Pacific Coast Highway, na lśniących lotkach skrzydeł myszołowów są rodzice. Jest miłość. Jest dom. Że jestem bezpieczny.

„Dlaczego ten dzieciak był w samolocie całkiem sam? Może trzeba było polecieć do Kanady i go, kurwa, odebrać?” To pytanie, które często sobie zadaję, ale którego nigdy nie wypowiedziałem głośno.

Nie jestem fanem konfrontacji. Zadaję dużo pytań. Tyle że nie na głos.

Przez długi czas obwiniałem wszystko i wszystkich o bałagan, w który wciąż się pakowałem.

Dużą część życia spędziłem w szpitalach. Przebywanie tam nawet najlepszych z nas skłania do rozczulania się nad sobą, a ja jestem w nim całkiem niezły. Zawsze, kiedy tam leżę, rozmyślam nad swoim życiem, przyglądam się każdej chwili, jakby była zaskakującym odkryciem podczas archeologicznych wykopalisk, próbuję znaleźć jakiś powód tego, że tyle czasu spędziłem pełen niepokoju i emocjonalnego bólu. Zawsze rozumiałem, skąd się bierze prawdziwy ból. (Zawsze wiedziałem, czemu w danym momencie czuję ból fizyczny – odpowiedź brzmi: „no cóż, nie możesz tyle chlać, debilu”).

Zacznijmy od tego, że chciałem zrzucić winę na moich kochających rodziców o najlepszych intencjach... byli kochający, mieli dobre intencje, a do tego byli niesamowicie atrakcyjni.

Przenieśmy się do piątku 28 stycznia 1966 roku. Znajdujemy się na Uniwersytecie Waterloo Lutheran w Ontario.

Trwa piąty doroczny konkurs piękności Miss Canadian University Snow Queen („kryteria oceny to inteligencja, aktywność w inicjatywach studenckich i osobowość, a także uroda”). Kanadyjczycy nie szczędzili grosza na wyłonienie nowej Miss CUSQ: miała odbyć się „parada w świetle pochodni z napojami, muzyką na żywo i udziałem kandydatek”, a także „wspólne gotowanie na dworze i mecz hokeja”.

Na liście kandydatek do tytułu znalazła się Suzanne Langford – jest jedenasta na liście i reprezentuje Uniwersytet w Toronto. Przeciwno niej występują piękności o cudownych nazwiskach, jak Ruth Shaver z B.C., Martha Quail z Ottawy, a nawet Helen „Chickie” Fuhrer z McGill, która prawdopodobnie dodała pseudonim „Chickie”, żeby odwrócić uwagę od nazwiska, brzmiącego dość niefortunnie ledwie dwie dekady po zakończeniu II wojny światowej.

Te młode kobiety nie mogły się jednak równać z piękną panną Langford. Tamtego lodowatego styczniowego wieczora zeszłoroczna zwyciężczyni wręczyła jej koronę piątej Miss Canadian University Snow Queen, a zaszczycowi temu towarzyszyły szarfa i odpowiedzialność: za rok to panna Langford miała przekazać koronę kolejnej miss.

W 1967 roku konkurs był równie ekscytujący. Tym razem koncert mieli zagrać Serendipity Singers, skład w stylu The Mamas & the Papas, którego wokalistą był John Bennett Perry. Serendipity Singers byli anomalią nawet w folkowych latach sześćdziesiątych – ich największy (i jedyny) przebój *Don't Let the Rain Come Down* był przeróbką brytyjskiej piosenki dla dzieci, a mimo to trafił na drugie miejsce listy przebojów dla dorosłych i szóste w rankingu Hot 100 „Billboardu” w maju 1964 roku. To osiągnięcie błędnie oczywiście w obliczu słynnego sukcesu Beatlesów, którzy zajęli całą pierwszą piątkę – *Can't Buy Me Love*, *Twist and Shout*, *She Loves You*, *I Want to Hold Your Hand* i *Please, Please Me*. Johnowi Perry'emu to nie przeszkadzało – był w trasie, zarabiał pieniądze jako muzyk, śpiewał, a cóż może być lepszego od występowania na gali Miss Canadian Snow University w Ontario? I oto radośnie podśpiewywał:

*Now this crooked little man and his crooked cat and mouse
They all live together in a crooked little house¹*

Przez mikrofon flirtował z zeszłoroczną zwyciężczynią Suzanne Langford. W tamtym czasie oboje należeli do najpiękniejszych ludzi na naszej planecie – zobaczylibyście tylko zdjęcia z ich ślubu – i miałyby się ochotę walnąć ich w te idealnie wyrzeźbione twarze. Nie mieli szans. Kiedy dwie osoby wyglądają tak dobrze, po prostu się zlewają.

Kiedy John skończył koncert, flirt przeszedł w taniec i to mogłoby być na tyle, gdyby nie ogromna, prorocza burza śniegowa, która nie pozwoliła Serendipity Singers wyjechać z miasta tego wieczora. Oto zawiązanie akcji:

wokalista folkowy i miss zakochują się w kanadyjskim kurorcie snowboardowym w 1967 roku... najprzystojniejszy mężczyzna na świecie spotyka najpiękniejszą kobietę. Cała reszta mogła równie dobrze pójść do domu.

John Perry został na noc, a Suzanne Langford bardzo się z tego powodu ucieszyła. Jakiś rok czy dwa później, po sekwencji montażowej, ona znalazła się w miasteczku Williamstown w stanie Massachusetts, skąd pochodził John, a komórki w jej brzuchu dzieliły się i rządziły. Kto wie, być może któryś z tych podziałów poszedł nie tak? Wiem jedno: uzależnienie to choroba i podobnie jak moi rodzice, kiedy się poznali, nie miałem szans.

Urodziłem się we wtorek, 19 sierpnia 1969 roku jako syn Johna Bennetta Perry'ego, do niedawna członka Serendipity Singers, i Suzanne Marie Langford, byłej Miss Canadian University Snow Queen. W noc moich narodzin była wielka burza (no oczywiście); wszyscy czekali na mnie, grając w Monopol (no oczywiście). Trafiłem na tę planetę jakiś miesiąc po lądowaniu na Księżycu i tylko rok po zakończeniu festiwalu w Woodstock – gdzieś pomiędzy kosmiczną perfekcją ciał niebieskich a całym tym pierdolnikiem na farmie Maxa Yasgura² narodziłem się ja, przerywając komuś budowanie hoteli na Boardwalk.

Kiedy się urodziłem, krzyczałem i nie mogłem przestać krzyczeć. Przez wiele tygodni miałem kolki – mój brzuch od samego początku był problemem. Moi rodzice omal nie zwariowali od tego płaczu. A może nie tyle wariowali, ile się martwili, więc zabrali mnie do lekarza. Był rok 1969, właściwie prehistoria, a jednak nie wiem, na jakim etapie rozwoju musi się znaleźć cywilizacja, żeby zauważyć, że podawanie fenobarbitalu dziecku, które dopiero wkracza w drugi miesiąc swej ziemskiej przygody, jest co najmniej interesującym podejściem do pediatrii. W latach sześćdziesiątych całkiem często zdarzało się aplikowanie mocnych barbituranów niemowlętom cierpiącym z powodu kolki. Niektórzy starsi lekarze byli

przekonani, że to świetny pomysł. Powtórzmy: przepisywanie silnych barbituranów nowo narodzonemu dziecku, które dużo płacze, to świetny pomysł.

Chcę powiedzieć bardzo jasno, że NIE obwiniam o to moich rodziców. Twoje dziecko bez przerwy płacze, więc coś musi być nie tak. Lekarz przepisuje lekarstwo (nie jest jedynym lekarzem, który przepisuje takie lekarstwa), podajesz je dziecku, dziecko przestaje płakać. To były inne czasy.

Leżałem na kolanach mojej zestresowanej matki, wrzeszcząc przez jej dwudziestojednoletnie ramię, a jakiś dinozaur w białym kitlu, ledwie unosząc wzrok sponad swojego dębowego biurka, westchnął smrodliwie, wymamrotał „ach, ci dzisiejsi rodzice” i wypisał receptę na uzależniający barbituran.

Byłem głośny i domagałem się uwagi, a w odpowiedzi dano mi pigułkę. (Hmmm, kiedy miałem dwadzieścia kilka lat, wyglądało to identycznie).

Podobno brałem fenobarbital w drugim miesiącu życia, od trzydziestego do sześćdziesiątego dnia. To ważny okres w rozwoju dziecka, zwłaszcza jeśli chodzi o sen. (Pięćdziesiąt lat później wciąż mam z nim problemy). Kiedy zażywałem barbituran, po prostu odpadałem. Płakałem, lekarstwo zaczynało działać, traciłem przytomność, a wtedy mój ojciec wybuchał śmiechem. Nie był okrutny: naćpane dzieci są śmieszne. Na niektórych zdjęciach jestem totalnie, kurwa, nastukany i kiwam głową jak nałogowiec w wieku siedmiu tygodni. W sam raz jak dziecko urodzone dzień po zakończeniu festiwalu w Woodstock.

Wciąż domagałem się uwagi; nie byłem słodkim, uśmiechniętym dzieciaczkiem, którego wszyscy pragnęli. „Po prostu to połknę i się zamknę”.

Jak na ironię, mam bardzo dziwną relację z barbituranami. Ludzie są czasem zaskoczeni, kiedy słyszą, że od 2001 roku w zasadzie jestem trzeźwy. No, nie licząc sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu drobnych

wpadek. Kiedy te wpadki ci się zdarzają, a chcesz pozostać trzeźwy – ja zawsze chciałem – dostajesz leki, które mają ci w tym pomóc. „Jakie leki?” – spytacie. Owszem, zgadliście: fenobarbital! Barbiturany działają uspokajająco, kiedy starasz się oczyścić swoje ciało z całej reszty syfu; a skoro zacząłem je brać w wieku trzydziestu dni, teraz po prostu ciągnąłem temat. Kiedy przechodzę detoks, potrzebuję uwagi i źle się czuję – przykro mi, ale jestem najgorszym pacjentem na świecie.

Detoks to piekło. Detoks to leżenie w łóżku, przyglądanie się mijającym minutom ze świadomością, że jest bardzo daleko od OK. Kiedy się odtruwam, wydaje mi się, że umieram. Mam wrażenie, że to się nigdy nie skończy. Że moje wnętrzności chcą wypełznąć z ciała. Trzęsę się i pocę. Jestem jak to małe dziecko, któremu nie dano pigułki. Zdecydowałem, że przez cztery godziny będę naćpany, wiedząc, że potem na tydzień trafię do piekła. (Mówiłem wam już, że mam w sobie ten pierwiastek szaleństwa, prawda?) Czasami trzeba mnie zamknąć na kilka miesięcy, żeby przerwać cykl.

Kiedy jestem na detoksie, „OK” to odległe wspomnienie, hasło z kartek z życzeniami. Jak dziecko błagam o jakiegokolwiek leki, które pomogłyby złagodzić symptomy – jestem dorosłym facetem, który prawdopodobnie w tym samym czasie świetnie prezentuje się na okładce „People”, i błagam o ulgę. Oddałbym wszystko, każdy samochód, dom, wszystkie pieniądze, żeby tylko przestać cierpieć. A kiedy detoks dobiega wreszcie końca, pełen ulgi przysięgam, że nigdy więcej sobie tego nie zrobię. I trzy tygodnie później robię to samo.

To szaleństwo. Jestem szaleńcem.

Jak dziecko przez długi czas nie chciałem nad sobą pracować, bo jeśli rozwiązaniem jest pigułka, no to cóż, łatwiej wziąć pigułkę. Tak mnie nauczono.

Kiedy miałem jakieś dziewięć miesięcy, moi rodzice stwierdzili, że mają się nawzajem dość, wsadzili mnie do fotelika w Williamstown w Massachusetts i zawieźli na kanadyjską granicę. Podróż trwała pięć i pół godziny. Wyobrażam sobie ciszę panującą w tym samochodzie. Ja oczywiście nie umiałem mówić, a dwa były gołąbeczki na przednich siedzeniach nie zamierzały już ze sobą rozmawiać. Ta cisza musiała być ogłuszająca. Działo się coś złego. Wodospad Niagara szumiał w tle, kiedy mój dziadek ze strony matki, przypominający wojskowego Warren Langford, czekał na nas, chodząc w tę i z powrotem, być może po to, żeby się ogrzać, a być może po to, by ulżyć sobie we frustracji. Pewnie machał nam na powitanie, jakbyśmy przyjechali na miłe wakacje. Pewnie ucieszyłem się na jego widok, a potem, jak mi mówiono, mój ojciec wyciągnął mnie z fotelika, podał dziadkowi i cichutko porzucił mnie i moją matkę. Potem wreszcie i ona wysiadła z samochodu, i tak ona, mój dziadek i ja słuchaliśmy, jak woda spływa w dół wodospadu i z hukiem ląduje w wąwozie, i patrzyliśmy, jak mój ojciec opuszcza nas na zawsze.

Koniec końców nie zamieszkaliśmy razem w „garbatym domku”. Podejrzewam, że powiedziano mi wtedy, że tata niedługo wróci.

– Nie martw się – rzekła zapewne mama. – Tata pojechał do pracy. Niedługo do nas wróci.

– Chodź, koleżko – dodał zapewne dziadek. – Poszukamy babci. Zrobiła na kolację twoje ulubione spaghetti.

Wszyscy rodzice chodzą do pracy i wszyscy z niej wracają. Normalna sprawa. Nie ma się czym martwić. Nie dzieje się nic, co mogłoby wywołać atak kolki, nałóg, całe życie naznaczone porzuceniem i brakiem poczucia własnej wartości, ciągły dyskomfort, rozpaczliwą potrzebę miłości, przekonanie, że się nie liczę.

Mój ojciec odjechał Bóg wie gdzie. Nie wrócił z pracy ani pierwszego, ani drugiego dnia. Miałem nadzieję, że wróci do domu po trzech dniach, a potem po tygodniu, może po miesiącu, ale po jakichś sześciu tygodniach

porzuciłem nadzieję. Byłem za mały, żeby zrozumieć, gdzie jest Kalifornia ani co oznacza „spełnić marzenie o byciu aktorem” – kim, do kurwy nędzy, jest aktor? Gdzie, do kurwy nędzy, jest mój tata?

Mój tata, który później stał się wspaniałym ojcem, zostawił swoje dziecko z dwudziestoletnią kobietą, chociaż dobrze wiedział, że była za młoda, by zostać samotnym rodzicem. Moja matka jest wspaniała, jest bardzo emocjonalna i była po prostu zbyt młoda. Tak jak ja została porzucona na parkingu na przejściu granicznym między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą. Zaszła ze mną w ciążę w wieku dwudziestu lat, a w wieku dwudziestu jeden została samotną matką. Gdybym ja miał dziecko w wieku dwudziestu jeden lat, spróbowałbym je wypić. Mama starała się, jak mogła, ale po prostu nie była gotowa na tę odpowiedzialność, a ja nie byłem gotowy na radzenie sobie z czymkolwiek, bo, no wiecie, dopiero co się urodziłem.

Oboje z mamą zostaliśmy porzuceni, zanim jeszcze zdążyliśmy się poznać.

Kiedy tata odszedł, szybko zrozumiałem, że muszę odegrać w domu pewną rolę. Moim zadaniem było zapewnianie rozrywki, przypochlebianie się, rozśmieszanie, łagodzenie, sprawianie przyjemności, bycie błaznem na królewskim dworze.

Nawet kiedy straciłem część ciała. A może zwłaszcza wtedy.

Fenobarbital miałem już za sobą – wspomnienie o nim zbladło jak wspomnienie twarzy mojego ojca – i na pełnym biegu wskoczyłem w świat kilkulatka, w którym nauczyłem się być opiekunem.

Kiedy byłem w przedszkolu, jakiś głupi dzieciak przytrzasnął mi dłoń drzwiami; krew tryskała jak z sikawki, ktoś zabandażował mi rękę i zabrał do szpitala. Tam okazało się, że straciłem koniuszek środkowego palca. Moją matkę wezwano do szpitala. Wbiegła do niego cała we łzach (co

zrozumiałe) i zobaczyła mnie stojącego na noszach z ogromnym bandażem na dłoni. Zanim zdążyła się odezwać, powiedziałem:

– Nie musisz płakać. Ja nie płakałem.

Już wtedy byłem aktorem, który chciał sprawiać ludziom radość. (Kto wie, może nawet udałem, że jej nie rozpoznaję, i spojrzałem jeszcze raz ze spóźnionym refleksem Chandlera Binga, żeby tekst wypadł bardziej wiarygodnie?) Już w wieku trzech lat wiedziałem, że muszę być w domu mężczyzną. Że muszę troszczyć się o moją mamę, chociaż właśnie odcięto mi palec. Zdaje się, że kiedy miałem trzydzieści dni, nauczyłem się, że kiedy zacznę płakać, stracę przytomność, więc nie płakałem. Albo też chciałem, żeby wszyscy, zwłaszcza moja matka, czuli się dobrze i bezpiecznie. Albo po prostu był to zajebisty tekst dla trzylatka, który stał na noszach jak szef wszystkich szefów.

Od tego czasu niewiele się zmieniło. Jeśli dacie mi duże ilości oksykodonu, poczuję, że się o mnie troszczycie, a kiedy ktoś się o mnie troszczy, ja też mogę opiekować się innymi, wyglądać poza siebie i służyć ludziom. Bez leków jednak wydaje mi się, że mógłbym rozpląnąć się w morzu nicości. A to oznacza, że nie jestem w stanie być pomocny ani przydatny w relacji z drugim człowiekiem, bo staram się po prostu przetrwać kolejną minutę, kolejną godzinę, kolejny dzień. Choruję na strach, czuję w ustach lukrecjowy smak niedostateczności. Odrobina jednego leku, kropla drugiego i już wszystko jest OK – nie czujesz smaku, kiedy jesteś czymś odurzony.

(Wypadek z drzwiami stał się przynajmniej podstawą niezłego żartu – przez całe lata narzekałem, że nie mając połowy palca, mogę pokazać ludziom co najwyżej, żeby „spierd...”).

Może i nie miałem ojca ani kompletu palców, ale już wtedy byłem bystry i miałem niewyparzony język. A do tego miałem matkę, która była kobietą bardzo zajęta i ważną, o równie bystrym umyśle i niewyparzonym języku...

cóż, czasami robiłem mamie wyrzuty, że nie poświęca mi dość uwagi, i powiem tylko, że nie było wtedy przyjemnie. Warto jednak dodać, że nie miała szans – nieważne, co by zrobiła, nigdy by mi to nie wystarczyło. Nie zapominajmy też, że odgrywała rolę obojga rodziców, podczas gdy tatuś opalał się w LA.

Suzanne Perry (w pracy zawodowej zachowała nazwisko taty) była spin doktorką – tak jak Allison Janney w *Prezydenckim pokerze*. Pracowała jako rzeczniczka prasowa Pierre’a Trudeau, który był wówczas premierem Kanady i niezłym playboyem. (W „The Toronto Star” zamieszczono ich zdjęcie z podpisem: „Rzeczniczka prasowa Suzanne Perry pracuje dla jednego z najśłynniejszych ludzi w Kanadzie – premiera Pierre’a Trudeau – ale sama szybko staje się gwiazdą; wystarczy, że pojawia się u jego boku”). Wyobraźcie sobie: jesteście gwiazdą tylko dzięki temu, że stajecie obok Pierre’a Trudeau. Był eleganckim, towarzyskim premierem, który umawiał się z Barbrą Streisand, Kim Cattrall, Margot Kidder... Jego ambasador w Waszyngtonie skarżył się kiedyś, że zaprosił na kolację nie jedną, ale trzy różne dziewczyny. Mężczyzna tak kochający kobiety potrzebował spin doktorki. Mama spędzała więc w pracy dużo czasu, a ja musiałem konkurować o jej uwagę z problemami sporej zachodniej demokracji i jej charyzmatycznego lidera. (Wydaje mi się, że mówiło się wtedy o „dzieciach z kluczem na szyi”, co było eufemizmem określającym dzieci, które były po prostu, kurwa, same). Szybko nauczyłem się być zabawny (wywrotki na tyłek, żartobliwe odzywki, sami rozumiecie), ponieważ musiałem być zabawny – praca mojej mamy była stresująca, a ona sama bardzo emocjonalna (i porzucona). Moje żarty uspokajały ją na tyle, że przygotowywała nam coś do jedzenia, siadała ze mną przy stole i słuchała mnie, oczywiście po tym, jak już ja jej wysłuchałem. Ale nie winię jej za to, że pracowała – ktoś musiał utrzymać dom. Oznaczało to po prostu, że mnóstwo czasu spędzałem sam. (Mówiłem czasem ludziom, że jestem samiakiem, bo pomyliło mi się z jedynakiem).

Byłem więc dzieciakiem o bystrym umyśle i niewyparzonym języku, ale jak wspominałem, ona też (ciekawe, po kim je odziedziczyłem). Dużo się kłóciliśmy i zawsze musiałem mieć ostatnie słowo. Pewnego dnia kłóciliśmy się na klatce schodowej, a ona zezłościła mnie bardziej niż ktokolwiek wcześniej. (Miałem dwanaście lat, a że nie wolno bić własnej matki, moja wściekłość zwróciła się do środka – tak jak później, kiedy byłem już dorosły. Miałem przynajmniej w sobie dość przyzwoitości, żeby zostać alkoholikiem i nałogowcem, zamiast obwiniać innych).

Zawsze czułem się porzucony. I to tak bardzo, że kiedy nad naszym domem w Ottawie leciał samolot, pytałem babcię: „Czy w tym samolocie jest mama?“, bo bałem się, że zniknie, tak jak zniknął tata (nigdy nie zniknęła). Moja matka jest piękna; zawsze kiedy wchodziła do pokoju, wszystkie oczy były skierowane na nią. I z pewnością to dzięki niej jestem zabawny.

Jako że tata był w Kalifornii, mama – kobieta piękna, inteligentna i charyzmatyczna, na którą skierowane były wszystkie oczy – umawiała się z mężczyznami, ci mężczyźni umawiali się z nią, a ja każdego z nich widziałem w roli swojego ojca. I znów, gdy nad naszym domem leciał samolot, pytałem babcię: „Czy to odlatuje [Michael], [Bill], [John], [wstaw imię ostatniego chłopaka mamy]?“. Nieustannie traciłem ojca; raz po raz porzucano mnie na granicy. Huk Niagary wciąż brzmiał mi w uszach i nie mogła go uciszyć nawet porcja fenobarbitalu. Babcia gruchała i otwierała mi puszkę coli light, a jej lekko anyżowy, subtelnie lukrecjowy smak napełniał moje kubki smakowe stratą.

Jeśli zaś chodzi o mojego prawdziwego tatę, to dzwonił co niedzielę – to było miłe. Po epizodzie z Serendipity Singers postanowił wykorzystać swoje umiejętności w aktorstwie, najpierw w Nowym Jorku, a potem w Hollywood. Chociaż takich jak on nazywa się rzemieślnikami, pracował dość regularnie i został nawet facetem z reklamy Old Spice. Jego twarz częściej widziałem w telewizji i czasopiśmie niż w rzeczywistości. (Być

może właśnie dlatego zostałem aktorem). „Co to za mężczyzna gwizdże melodię Old Spice? To mój tatuś!” – mówi głos w reklamie z 1986 roku, a mały, obcięty na pieczarkę blondynek przytula mojego ojca. „Mój niemal doskonały mąż” – intonuje uśmiechnięta blondynka i chociaż ma to być żart, mnie nigdy nie bawił. „Możesz na niego liczyć, jest twoim przyjacielem...”

Kiedy minęło już tyle czasu, że stało się to nieprzyzwoite, zawieszono mi na szyi tabliczkę z napisem MAŁOLETNI BEZ OPIEKI i zabrano na lotnisko, skąd miałem polecieć do Los Angeles. Za każdym razem, kiedy go tam odwiedzałem, odkrywałem na nowo, że mój tata jest charyzmatyczny, zabawny, uroczy, bardzo przystojny.

Był doskonały, a ja już wtedy pragnąłem tego, czego nie mogłem mieć.

Tak czy inaczej, ojciec był moim bohaterem. A właściwie superbohaterem: kiedy szliśmy na spacer, mówiłem: „ty będziesz Supermanem, a ja Batmanem”. (Mądry psycholog powiedziałby, że odgrywaliśmy role, zamiast po prostu być tatą i Matthew, bo prawda była dla mnie zbyt myląca. Ale sam nie umiem tego skomentować).

Kiedy znajdowałem się z powrotem w Kanadzie, obraz jego twarzy i zapach mieszkania nikły z miesiąca na miesiąc. Potem znów przychodziły moje urodziny, a mama robiła, co mogła, żeby wynagrodzić mi nieobecność ojca, i gdy na stole pojawiał się za duży tort z kapiącymi świeczkami, co roku życzyłem sobie tylko jednego. Szeptąłem w myślach: „Chcę, żeby moi rodzice wrócili do siebie”. Może gdyby moje domowe życie było bardziej stabilne, gdyby mój tata był obecny, gdyby nie był Supermanem albo gdybym nie miał takiego niewyparzonego języka, albo gdyby Pierre Trudeau... nie czułbym się ciągle tak fatalnie.

Byłbym szczęśliwy. A cola light nie byłaby konieczna, byłaby po prostu przyjemnością.

Bez właściwych leków przez całe życie czułem się źle i byłem kompletnie popieprzony w temacie miłości. Cytując wielkiego Randy’ego Newmana:

„Potrzeba wielu leków, żebym mógł udawać, że jestem kimś innym”. Wygląda na to, że nie byłem jedyny.

– Halo, czy jest Suzanne?

– Tak, czy mogę przekazać mamie, kto dzwoni?

– Mówi Pierre...

Kiedy zadzwonił telefon, akurat spędzaliśmy z mamą najwspanialsze wspólne chwile. Przez cały dzień graliśmy w gry – próbowaliśmy nawet zagrać w Monopoly, ale trudno w to grać we dwojkę – a kiedy zapadła noc, na jednym z kanałów na naszym małym telewizorze obejrzelśmy *Annie Hall*, śmiejąc się do rozpuku z domu Woody’ego Allena schowanego pod kolejką górską. (Nie rozumiałem żartów z seksu i związków, ale nawet w wieku ośmiu lat bawiła mnie możliwość wykichania jakiegoś białego proszku o wartości dwóch tysięcy dolarów).

Oglądanie tego filmu z mamą to moje ulubione wspomnienie z dzieciństwa. Ale teraz dzwonił premier Kanady, więc znowu miałem ją stracić. Do słuchawki mówiła profesjonalnym tonem spin doktorki, głosem innej osoby – nie mojej mamy, lecz Suzanne Perry.

Wyłączyłem telewizor i poszedłem do łóżka. Położyłem się i, jeszcze bez pomocy barbituranów, zasnąłem. Spałem niespokojnie, dopóki światło poranka nie wlało się do mojego pokoju w Ottawie.

Pamiętam, że mniej więcej wtedy zobaczyłem, jak mama płacze w kuchni, i pomyślałem sobie: „Czemu po prostu się nie napije?”. Nie mam pojęcia, skąd przyszło mi do głowy, że alkoholowy napój ukoiłby jej płacz. W wieku ośmiu lat z pewnością nic jeszcze nie piłem (odczekałem aż sześć kolejnych lat!), ale otaczająca mnie kultura i tak nauczyła mnie, że picie oznacza śmiech, zabawę i jakże potrzebną ucieczkę przed bólem. Mama wciąż płacze, więc czemu się nie napije? Wtedy będzie pijana i nie będzie tyle czuła, prawda?

Może płakała, bo ciągle się przeprowadzaliśmy – Montreal, Ottawa, Toronto – chociaż większą część dzieciństwa spędziłem w Ottawie. Dużo przebywałem sam – miewałem nianie, ale żadna nie została przy mnie zbyt długo, więc po prostu dodałem je do listy osób, które mnie porzuciły... Nadal byłem zabawny, bystry, błyskotliwy, byle przetrwać.

Dzięki swojej urodzie i staniu przy Pierze Trudeau moja matka szybko została gwiazdą. Zaproponowano jej prowadzenie wiadomości dla sieci Global Television w Toronto.

Co za okazja – to była propozycja nie do odrzucenia. Była w tym całkiem niezła, dopóki pewnego dnia, kiedy zapowiadali transmisję konkursu piękności, nie powiedziała: „No, to dopiero będzie fascynujące”. Był to tekst zabawny i dość absurdalny w ustach dawnej królowej piękności, ale zwolniono ją tego samego wieczora.

Nie cieszyłem się z przeprowadzki do Toronto. Zaczniemy od tego, że nikt nie spytał mnie o zdanie. Poza tym miałem już nigdy nie spotkać moich przyjaciół. Co więcej, moja mama była w dziewiątym miesiącu ciąży – w międzyczasie poślubiła gospodarza *Canada AM* Keitha Morrisona – tak, tak, tego z pięknymi włosami z programu *Dateline* na NBC. Na ślubie ja prowadziłem matkę do ołtarza. Był to dziwny wybór.

Ale niewiele później urodziła się moja piękna siostra! Caitlin była przeurocza i od razu ją pokochałem. Teraz jednak wokół mnie pojawiła się rodzina, której częścią się nie czułem. Mniej więcej wtedy podjąłem świadomą decyzję: „Chrzanić to – każdy odpowiada za siebie”. Zacząłem się źle zachowywać: miałem gówniane oceny, sięgnąłem po papierosy, pobiłem syna Pierre’a (i przyszłego premiera), Justina Trudeau. (Zdecydowałem, że zakończę naszą kłótnię, kiedy powierzono mu całą armię). Postanowiłem kierować się nie sercem, lecz rozumem. Tak było bezpieczniej. Trudniej jest złamać rozum.

Zmieniłem się. Miałem niewyparzony język i nikt nie mógł się zbliżyć do mojego serca. Nikt.

Miałem dziesięć lat.

Kiedy byłem w siódmej klasie, wróciliśmy do Ottawy, gdzie był nasz prawdziwy dom. Zaczynałem odkrywać moc rozśmieszania innych. Choć w mojej szkole dla chłopców – Ashbury College w Ottawie – byłem zajęty głównie błaznowaniem, zdołałem otrzymać rolę Rackhama „najszybszego strzelca Zachodu” w sztuce pod tytułem *The Death and Life of Sneaky Fitch*, wystawianej przez nauczyciela teatru Grega Simpsona. Była to duża rola i uwielbiałem ją grać – rozśmieszanie ludzi było dla mnie wszystkim. Rodzice udawali, że przejmują się dokonaniem swoich dzieci, aż tu nagle ten mały Perry naprawdę ich rozśmieszył. (Ze wszystkich narkotyków ten pozostaje najskuteczniejszy, przynajmniej jeśli chodzi o sprawianie mi radości). Występ w *The Death and Life of Sneaky Fitch* był dla mnie szczególnie ważny, bo wreszcie byłem w czymś naprawdę dobry.

Bardzo przejmowałem się tym, co myślą o mnie obcy ludzie. Tak jest zresztą do dzisiaj – to jeden z dominujących wątków w moim życiu. Pamiętam, jak błagałem mamę, żeby pomalowała podwórko na niebiesko, tak by pasażerowie przelatujących ponad nim samolotów myśleli, że mamy basen. Może w którymś z nich siedział jakiś mały chłopiec bez opieki, którego ten widok by pocieszył?

Chociaż byłem teraz starszym bratem, byłem też niegrzecznym dzieciakiem. Raz przed świętami przeszukałem wszystkie szafy w domu, żeby sprawdzić, co dostanę w prezencie; kradłem też pieniądze, coraz więcej paliłem, miałem coraz gorsze oceny. W pewnym momencie gadałem już tak dużo i tak bardzo rozśmieszałem innych, że nauczyciele ustawili moją ławkę przodem do ściany. Jeden z nauczycieli, pan Webb, powiedział: „Jeśli się nie zmienisz, niczego nie osiągniesz”. (Czy powinienem się przyznać, że kiedy znalazłem się na okładce magazynu „People”, wysłałem egzemplarz panu Webbowi z dopiskiem: „Chyba się pan pomylił?”. Nie, to było słabe).

Coś osiągnąłem.

Moje oceny były gówniane, ale nadrabiałem głównymi rolami we wszystkich spektaklach i zawodową grą w tenisa.

Dziadek zaczął uczyć mnie grać w tenisa, kiedy miałem cztery lata, a kiedy byłem ośmiolatkiem, wiedziałem już, że dałbym radę go pokonać – ale odczekałem, aż skończyłem dziesięć. Codziennie grałem od ośmiu do dziesięciu godzin, godzinami uderzałem też w ściankę treningową, udając, że jestem Jimmym Connorsem. Grałem całe sety i mecze: ja byłem Connorsem, ścianka – Johnem McEnroe'em. Uderzałem piłkę z przodu, zamiatałem po korcie rakieta, chowałem ją za siebie, jakbym wkładał ją do plecaka. Sądziłem, że to tylko kwestia czasu, zanim znajdę się na Wimbledonie, skromnie ukłonię fanom i rozgrzeję przed pięcioma setami przeciwko McEnroe'owi. Poczekam cierpliwie, kiedy ten będzie obrażał jakiegoś nadętego brytyjskiego sędziego, a potem wygram turniej przekątnym minięciem z bekhendu. Potem pocałuję trofeum i wypiję szklanę Robinsons Barley Water, napoju tak niepodobnego do Dr. Peppera, że od razu go pokocham. Wtedy mama na pewno zwróciłaby na mnie uwagę. (Finał Wimbledonu w 1982 roku, w którym Jimmy Connors minimalnie pokonał mocno faworyzowanego Johna McEnroe'a, był moim ulubionym meczem wszech czasów. Po zwycięstwie Jimmy pojawił się na okładce „Sports Illustrated”, która do dzisiaj wisi w ramce na ścianie mojego pokoju. Ja byłem nim, on był mną – w każdym razie tamtego dnia obaj zwyciężyliśmy).

Jeśli zaś chodzi o prawdziwe mecze w prawdziwym świecie, grałem w Rockcliffe Lawn Tennis Club w Ottawie. Obowiązkowe były tam białe ubrania. Na pewnym etapie na ścianie wisiał znak z napisem „WSTĘP TYLKO NA BIAŁO”, ale ktoś zwrócił uwagę, że mógłby zostać źle odczytany. (Napis szybko zmieniono na „OBOWIĄZUJĄ BIAŁE UBRANIA” i wszyscy zapomnieli o sprawie). Było tam osiem kortów, na których grali głównie seniorzy, a ja cały dzień spędzałem w poczekalni, na wypadek gdyby ktoś się nie pojawił i potrzebny byłby czwarty do debla. Starsi

gracze mnie uwielbiali, bo dobiegałem do każdej piłki, ale miałem też wybuchowy temperament. Rzucałem rakieta, przeklinałem i wściekałem się, a kiedy przegrywałem, zaczynałem łkać. Potem najczęściej wygrywałem – byłem jeden set do tyłu, 5–1; 0–40, łkałem, a następnie wygrywałem w trzech setach. Przez cały ten czas płakałem, ale myślałem też: „Wygram, na pewno wygram”. Innym nie zależało na zwycięstwie aż tak bardzo.

W wieku czternastu lat znalazłem się w oficjalnym rankingu kanadyjskich tenisistów... Ale w tamtym roku wydarzyło się coś jeszcze.

Kiedy miałem czternaście lat, pierwszy raz wypłem alkohol. Powstrzymałem się tak długo, jak mogłem.

Spędzałem wtedy dużo czasu z braćmi Chrisem i Brianem Murrayami. Mniej więcej w trzeciej klasie zaczęliśmy formułować takie zdania jak: „Goręcej już być nie mogło?” albo „Okropniejszy ten nauczyciel już być nie może?”, albo „Nudniej na tej lekcji już być nie może?”. Niewykluczone, że rozpoznajecie tę strukturę zdania, jeśli jesteście fanami *Przyjaciół* albo zauważyliście, jak mówi w ostatnich paru dekadach Ameryka. Zapamiętajcie sobie: ta konstrukcja pochodzi bezpośrednio od Matthew Perry’ego, Chrisa Murraya i Briana Murraya wydurniających się w latach osiemdziesiątych w Kanadzie. Tylko ja jeden na tym zarobiłem; na szczęście Chris i Brian nigdy się za to nie obrazili i wciąż są moimi przezabawnymi, drogimi przyjaciółmi.

Pewnego wieczora siedzieliśmy we trzech na moim podwórku. W domu nikogo nie było; słońce świeciło między chmurami i żaden z nas nie miał pojęcia, że za chwilę wydarzy się coś niezwykle ważnego. Leżałem na kanadyjskiej trawie i w kanadyjskim błocie i nic nie wiedziałem.

Bardziej nieświadomy już być nie mogłem.

Postanowiliśmy się napić. Nie pamiętam, czyj to był pomysł, a żaden z nas nie wiedział, w co się pakujemy. Mieliśmy sześciopak budweisera

i butelkę białego wina Andrés Baby Duck. Ja wybrałem wino, Murrayowie – piwo. Wszystko to działo się na widoku – siedzieliśmy po prostu na podwórku. Moich rodziców nie było w domu – cóż za zaskoczenie – więc ruszyliśmy do akcji.

Po piętnastu minutach po alkoholu nie było już śladu. Murrayowie rzygali wszędzie wokół, a ja leżałem na trawie i coś mi się przydarzyło. Przydarzyło mi się to, co czyni mnie cielesnie i mentalnie odmiennym od innych ludzi. Leżałem na trawie i w błocie, patrzyłem na księżyc otoczony świeżymi rzygowinami Murrayów i zdałem sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu nic mi nie przeszkadzało. Świat miał sens, nie był zniekształcony ani dziwny. Byłem spokojny, kompletny. Nigdy wcześniej nie czułem się szczęśliwszy. „Oto odpowiedź” – pomyślałem. – „Oto, czego mi brakowało. Pewnie normalni ludzie właśnie tak czują się przez cały czas. Nie mam żadnych problemów. Wszystkie zniknęły. Nie potrzebuję opieki, wszystko jest dobrze”.

Czułem rozkosz. Przez trzy godziny nie miałem absolutnie żadnych kłopotów. Nie czułem się opuszczony, nie walczyłem o мамę, nie dostawałem gównianych ocen, nie zastanawiałem się, o co chodzi w życiu ani gdzie jest moje miejsce. Alkohol wszystko to zabrał.

Wiedząc to, co dzisiaj wiem o progresywnej naturze choroby, jaką jest uzależnienie, dziwię się, że nie napiłem się następnego wieczoru i jeszcze następnego, ale nie zrobiłem tego; czekałem, nie wpadłem jeszcze w szpony alkoholizmu. Tamten wieczór nie doprowadził mnie do regularnego picia, ale zapewne zasiał ziarno.

Później zrozumiałem, że klucz do problemu był następujący: brakowało mi zarówno duchowych wskazówek, jak i umiejętności cieszenia się z czegokolwiek. Jednocześnie byłem jednak uzależniony od ekscytacji. To totalnie toksyczna kombinacja.

Wtedy oczywiście jeszcze tego nie wiedziałem, ale kiedy akurat nie szukałem wrażeń, nie byłem podekscytowany ani pijany, nie potrafiłem się

niczym cieszyć. Mądra nazwa tej przypadłości to „anhedonia”, słowo i uczucie, które poznałem i zrozumiałem dzięki milionom wydanych na terapię i ośrodki leczenia uzależnień. Może dlatego wygrywałem mecze tenisowe tylko wtedy, kiedy byłem o kilka punktów od przegranej. Może dlatego robiłem wszystko to, co robiłem. A tak w ogóle, to słowo anhedonia pierwotnie miało być tytułem mojego ulubionego filmu, tego, który oglądałem z mamą – *Annie Hall*. Woody mnie rozumie. Wszystko rozumie.

W domu było coraz gorzej i gorzej. Moja mama miała cudowną nową rodzinę z Keithem. Urodziła się Emily, jasnowłosa i przesłodka. Pokochałem ją od razu, podobnie jak Caitlin. Jednak ciągle czułem się outsiderem, tym pozostawionym bez opieki dzieciakiem w chmurach. Ciągle kłóciłem się z mamą. Byłem szczęśliwy wyłącznie wtedy, gdy grałem w tenisa, ale nawet wówczas byłem też wściekły i łkałem mimo zwycięstw. Co poradzić?

I tu na scenę wkracza mój ojciec. Chciałem go poznać. Nadeszła pora wielkiego skoku.

Tak, wzywały mnie Los Angeles, mój ojciec i nowe życie, ale miałem piętnaście lat, a wyjazd zniszczyłby moje życie rodzinne i złamałby serce matce. Tyle że ona nie pytała mnie, czy może wziąć ślub z Keithem, przeprowadzić się do Toronto i urodzić dwójkę dzieci... W Kanadzie byłem wściekły, płakałem i piłem, wciąż się kłóciliśmy, nie czułem się częścią rodziny, w szkole szło mi beznadziejnie, a poza tym może niedługo i tak musiałbym się wyprowadzić, i tak dalej, i dalej, i dalej. Pieprzyć to, dziecko chce poznać swojego ojca.

Postanowiłem wyjechać. Rodzice przedyskutowali sprawę, a i tak zastanawiali się, czy LA nie byłoby lepsze w kontekście mojej kariery tenisowej. (Nie wiedziałem jeszcze, że w południowej Kalifornii mogłem

być co najwyżej przyzwoitym zawodnikiem klubowym, jako że w miejscu, w którym można grać trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, poziom był nieporównywalnie wyższy niż w Kanadzie, gdzie kilka miesięcy bez wiecznej zmarzliny to już dobry wynik). Mimo to moja decyzja o wyjeździe położyła się wielkim cieniem na naszej rodzinie.

Dzień przed wyjazdem byłem w piwnicy naszego domu, gdzie miałem spać tylko tamtej nocy, która okazała się jedną z najgorszych nocy w moim życiu. Na górze rozpętało się piekło: trzaskanie drzwiami, syki, okazjonalne wrzaski, tupanie, płacz jednego z dzieci, którego nikt nie był w stanie uciszyć. Moi dziadkowie regularnie schodzili na dół, żeby na mnie nakrzyczeć. Na górze moja matka krzyczała, płakała, a potem płakały też dzieci, dziadkowie krzyczeli i dzieci krzyczały, a ja byłem wciąż na dole: milczący, porzucony, zdeterminowany, przerażony, bez opieki. Trójka bardzo potężnych dorosłych schodziła do mnie raz po raz, żeby mi powiedzieć, że mój wyjazd łamie im serca. Ale ja nie miałem wyboru: to ja byłem człowiekiem złamanym.

Złamanym? Może tylko przygniecionym.

Następnego dnia, wcześniej rano, moja mama zrobiła coś, co musiało być dla niej bardzo trudne: odwiozła mnie na lotnisko i patrzyła, jak odlatuję od niej na zawsze. Do dziś nie pojmuję, jak znalazłem w sobie odwagę, żeby odbyć tę podróż. Wciąż się zastanawiam, czy była to właściwa decyzja.

Po raz kolejny jako małe dziecko bez opieki – byłem w tym już ekspertem – poleciałem do LA poznać mojego ojca. Tak bardzo się bałem, że nie byłem pewien, czy hollywoodzki gwar zdoła mnie pocieszyć. Niedługo miałem jednak znów zobaczyć światła miasta i odzyskać tatę.

Pierwszym, co zrobiłem po powrocie do domu po pięciu miesiącach spędzonych w szpitalu, było zapalenie papierosa. Po całym tym czasie, wciągając kłębiący się w płucach dym, czułem się, jakbym palił pierwszego papierosa w życiu. Jakbym po raz drugi wrócił do domu.

Nie czułem już Bólu – po potężnej operacji mój brzuch był pokryty tkanką bliznowatą, przez co czułem się tak, jakbym dwadzieścia cztery godziny na dobę robił brzuszki, ale to już nie było bolesne, co najwyżej dokuczliwe.

Ale o tym nikt nie musiał wiedzieć: opowiadałem wszystkim, że mnie boli, żeby dostać oxycontin. Ale osiemdziesiąt miligramów dziennie, które wymusiłem, szybko przestało mi wystarczać i potrzebowałem więcej. Kiedy poprosiłem lekarzy, odmówili; kiedy zadzwoniłem do dilera, zgodził się. Musiałem tylko znaleźć jakiś sposób, żeby wydostać się z mojego penthouse'u za dwadzieścia milionów dolarów i zjechać czterdzieści pięter w dół tak, żeby Erin mnie nie zauważyła. (Przysięgam, że kupiłem to mieszkanie, bo w podobnym mieszkał Bruce Wayne w *Mrocznym rycerzu*).

W kolejnym miesiącu próbowałem to zrobić cztery razy. Złapano mnie – zgadliście – cztery razy. Byłem beznadziejny w uciekaniu. Oczywiście z góry dobiegło wołanie: „Ten człowiek powinien znowu pójść na odwyk!”. A więc...

Po wybuchu jelita przeszedłem pierwszą operację i musiałem nosić dość atrakcyjny worek stomijny – nawet ja nie wyglądałem w nim najlepiej. Czekałem na drugą operację, po której miałem się z nim pożegnać, ale w międzyczasie nie wolno mi było palić (ponieważ palacze mają znacznie brzydsze blizny). (Nie wspominam już o tym, że nie miałem dwóch przednich zębów – złamałem je, wgrzyzając się w tost z masłem orzechowym, a nie znalazłem jeszcze czasu, żeby je naprawić).

Uporządkujmy: miałbym jednocześnie przestać brać leki i palić papierosy? W dupie miałem blizny: dużo palę i to było za dużo naraz. Miałbym jednocześnie iść na odwyk w Nowym Jorku, rzucić oxycontin i jednocześnie przestać palić. Byłem przerażony.

Kiedy trafiłem na odwyk, w ramach detoksu dali mi subutex, więc nie było tak najgorzej. Zameldowałem się w pokoju i zegar ruszył. Czwartego dnia, który zawsze był najtrudniejszy, zacząłem wariować. Zrozumiałem też, jak poważnie podchodzą tu do kwestii palenia. Postanowiono, że wolno mi będzie palić podczas detoksu, ale po przeprowadzce na trzecie piętro będę musiał pożegnać się z papierosami.

Nalegali na to tak bardzo, że zabroniono mi opuszczać budynek. Mieszkałem na trzecim piętrze. W dole szumiał Nowy Jork, żywy, zajęty swoimi sprawami, podczas gdy sarkastyczny gwiazdor jego ulubionego sitcomu po raz kolejny znalazł się w piekle. Gdy wystarczająco uważnie się wsłuchiwałem, słyszałem w oddali metro – linię F, linię R, 4, 5, 6 – albo może był to terkot czegoś zupełnie innego, czegoś niechcianego, przerażającego, niepowstrzymanego.

Byłem przekonany, że ten odwyk jest więzieniem. I to prawdziwym, nie takim, jakie wyobraziłem sobie wcześniej. Czerwone cegły, czarne stalowe pręty. Jakimś cudem trafiłem do więzienia. Nigdy nie złamałem prawa – przynajmniej nigdy mnie nie przyłapano – a jednak oto wylądowałem w kiciu, w ciupie, w *House of D*³. Bez dwóch przednich zębów nawet wyglądałem jak skazaniec, a wszyscy opiekunowie byli strażnikami. Równie dobrze mogli podawać mi jedzenie przez otwór w drzwiach.

Nienawidziłem tego miejsca – niczego się tam nie nauczyłem. Chodziłem na terapię od osiemnastego roku życia i, mówiąc szczerze, na tym etapie nie potrzebowałem jej już więcej, potrzebowałem za to dwóch przednich zębów i worka stomijnego, który by nie pękał. Budziłem się unurzany we własnym gównie, i to nie raz, ale pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt razy. Kiedy zaś worek nie pękał, wydarzył się inny fenomen: gdy się budziłem, przez

jakieś trzydzieści sekund cieszyłem się wolnością i powoli ocierałem oczy z resztek snu. Wtedy docierała do mnie rzeczywistość i wybuchałem płaczem w tempie, które zawstydziliby samą Meryl Streep.

Poza tym potrzebowałem papierosa. Wspominałem już o tym?

Czwartego dnia siedziałem w swoim pokoju, robiąc Bóg wie co, kiedy coś mnie naszło. Nie wiem, co to było. Czułem się tak, jakby coś waliło we mnie od środka. Chociaż chodziłem na terapię od ponad trzydziestu lat i nic więcej nie mogłem się dzięki niej nauczyć, musiałem coś zrobić, żeby przestać myśleć o nikotynie, więc wyszedłem z celi i ruszyłem przed siebie korytarzem. Szedłem bez celu, nie wiedząc, co robię ani dokąd idę.

Myślę, że próbowałem opuścić swoje ciało.

Wiedziałem, że wszyscy terapeuci są piętro niżej; zamiast zjechać windą, postanowiłem zejść po schodach. Nie bardzo wiedziałem, co się dzieje – do dzisiaj nie potrafię tego opisać. Ogarnęła mnie panika, zagubienie, coś w rodzaju fugi i znów czułem ogromny ból. Nie był to może Ból, ale coś bardzo podobnego. Totalna dezorientacja. I tak strasznie chciałem zapalić. Zatrzymałem się więc na klatce schodowej i pomyślałem o latach rozpacz, o tym, że podwórko nigdy nie zostało pomalowane na niebiesko, o pieprzonym Pierze Trudeau i o tym, że byłem i wciąż jestem małym bez opieki.

Wszystko, co złe w moim życiu, przychodziło do mnie jednocześnie.

Nigdy nie zdołałem w pełni wytłumaczyć, co wydarzyło się później, ale nagle zacząłem uderzać głową o ścianę, tak mocno, jak tylko umiałem. Piętnaście – zero. BUM! Trzydzieści – zero. BUM! Czterdzieści – zero. BUM! Gem. As po asie, jeden idealny wolej po drugim, moja głowa była piłką, a ściana kortem z cementu; ból był krótkim lobem, ja sięgałem w górę, uderzałem głową o ścianę, z której ściekała krew, na koniec tego wielkiego szlema krew zalewała mi twarz, a sędzia wołał: „GEM, SET, MECZ, MAŁOLETNI BEZ OPIEKI, SZEŚĆ DO ZERA, PRAGNIE MIŁOŚCI, SZEŚĆ DO ZERA, BOI SIĘ MIŁOŚCI”⁴.

Wszędzie była krew.

Po sześciu takich ogłuszających uderzeniach ktoś musiał mnie usłyszeć, powstrzymać przed kolejnym i zadać jedyne sensowne w tej sytuacji pytanie:

– Dlaczego to robisz?

Wyglądając jak Rocky Balboa w finałowych scenach wszystkich części cyklu, spojrzałem na tę osobę i powiedziałem:

– Bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Klatki schodowe.

Rozdział 2. Kolejne pokolenie diabli wzięli

Wydawało mi się, że tego lata cały świat przechodził przez halę przylotów lotniska LAX.

Światowej klasy sportowcy: gimnastycy, sprinterzy, dyskobole, tyczkarze, koszykarze, sztangiści, dżokeje i ich konie, pływacy, szermierze, piłkarze, pływacy synchroniczni, media z całego świata, oficjele, sponsorzy i agenci... ach, i jeszcze ja, piętnastoletni tenisista amator z Kanady. Latem 1984 roku wszyscy oni przybyli do Los Angeles, choć tylko ja byłem w trakcie wielkiego skoku.

Był to rok letnich igrzysk w Los Angeles, złoty czas gorącego słońca i umięśnionej doskonałości, setek tysięcy ludzi wciśniętych do Coliseum i Rose Bowl, gdzie gimnastyczka Mary Lou Retton potrzebowała pełnej dziesiątki punktów, żeby zwyciężyć w wieloboju indywidualnym, i odniosła absolutny sukces, i gdzie Carl Lewis zdobył cztery złote medale dzięki bardzo szybkim biegom i bardzo dalekim skokom.

Był to też rok, kiedy ja, zagubiony kanadyjski dzieciak z futem, który zdawał się nie działać, wyemigrowałem do Stanów Zjednoczonych, do Tinseltown, gdzie miałem zamieszkać z moim ojcem.

Zanim wyjechałem z Ottawy, jedna dziewczyna próbowała uprawiać ze mną seks, ale byłem tak zdenerwowany, że wypłem wcześniej sześć piw i nie stanąłem na wysokości zadania. Na tym etapie piłem już od trzech lat – zacząłem niedługo po tym, jak odprowadziłem moją matkę do ołtarza, przy którym czekał ten wspaniały Keith.

Keith naprawdę był wspaniały. Moja matka była dla niego całym życiem. Jedynym, co mnie w nim denerwuje, jest to, że zawsze bierze jej stronę. Jest jej obrońcą. Niezliczoną ilość razy moja matka robiła coś, co mi się nie podobało, a Keith zawsze twierdził, że nic takiego się nie wydarzyło. Są tacy, którzy uznaliby to za *gaslighting*, inni powiedzieliby, że to *gaslighting* –

bo to jest *gaslighting*⁵. Moją rodzinę trzymał jednak w kupie jeden człowiek: Keith Morrison.

Wróćmy jednak do mojego penisa.

Nie wpadłem na korelację między wódką a porażką moich części intymnych. Ale też nie zamierzałem nikomu o niej mówić. Chodziłem więc po naszej planecie, sądząc, że seks to coś dla innych ludzi. Uważałem tak przez długi czas. Przez całe lata. Seks wydawał mi się czymś bardzo fajnym, ale spoza mojego repertuaru. W myślach i spodniach byłem w zasadzie impotentem.

Myślałem wtedy: „Jeśli tylko pojedę do Los Angeles, będę szczęśliwy...”. Naprawdę wierzyłem, że to właśnie zrobi dla mnie ten wielki skok, na długo przed tym, jak dowiedziałem się, czym w ogóle będzie taki skok. Pasowałem do tych wszystkich wytrenowanych, umięśnionych atletów czekających na swoje bagaże. Czyż my wszyscy po prostu nie przywieźliśmy naszych szalonych marzeń do tego szalonego miasta? Jeśli na stu sprinterów przypadały tylko trzy medale, to czy można było uznać zawodników za zdrowych na umyśle? Prawdopodobnie miałem zresztą większą od nich szansę na odniesienie sukcesu w zawodzie – mój ojciec był aktorem i ja chciałem robić to samo. Musiał tylko przepchnąć mnie przez już uchylone drzwi, prawda? Jeśli więc wyląduję w połowie stawki, być może nie zdobędę medalu, ale przynajmniej ucieknę z Ottawy, daleko od fiuta, który zdaje się nie działać. I od rodziny, której częścią się nie czuję, i tak dalej, i tak dalej.

Pierwotnie zamierzałem skupić się na sporcie. Radziłem sobie w tenisie na tyle dobrze, że na poważnie rozważano zapisanie mnie do Akademii Tenisowej Nicka Bollettieriego na Florydzie. Bollettieri był najlepszym trenerem – pomagał między innymi Monice Seles, Andre Agassiemu, Marii Szarapowej, Venus i Serenie Williams – ale kiedy znalazłem się w LA, szybko stało się oczywiste, że mogę być co najwyżej przyzwoitym zawodnikiem klubowym. Pamiętam, jak brałem udział w turnieju

satelitarnym, na trybunach siedzieli mój ojciec i jego nowa rodzina (ożenił się po raz drugi z przemiłą kobietą o imieniu Debbie; niewiele wcześniej urodziła im się córeczka Maria), a ja w pierwszym meczu nie zdobyłem ani jednego punktu.

Poziom gry w południowej Kalifornii był niesamowity – dzieciakowi z lodowatych rubieży Kanady, gdzie temperatura utrzymuje się poniżej zera w najlepszym przypadku od grudnia do marca, trudno zrobić wrażenie w miejscu, gdzie codziennie jest ponad dwadzieścia stopni, a korty można znaleźć na każdym rogu i każdym podwórku. Równie dobrze mógłbym być naprawdę dobrym hokeistą w Burbank. I tak oto moje marzenia o karierze Jimmy’ego Connorsa rozplynęły się w powietrzu, kiedy musiały się zmierzyć z serwisami o prędkości stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę w wykonaniu opalonych kalifornijskich bogów, którzy mieli jedenaście lat i na imię Chad, ale z wielką literą D na końcu.

Nadszedł czas, by poszukać sobie innego zawodu.

Mimo nagłego zderzenia z rzeczywistością od razu pokochałem LA. Pokochałem ogromną przestrzeń i ogromne możliwości, szansę, by zacząć od nowa – nie wspominając o tym, że dwadzieścia stopni dzień w dzień było miłą odmianą. Ponadto, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie zarobię na życie grą w tenisa, a ktoś powiedział mi, że ludziom płaci się za aktorstwo, szybko zmieniłem swoje zawodowe cele. Nie było to tak nierealne, jak mogłoby się wydawać. Zacznijmy od tego, że mój ojciec pracował w show-biznesie, a ja podejrzewałem, że nic nie sprawi mi tyle radości, co cudze zainteresowanie. W domu całkiem dobrze się w tym wyćwiczyłem; kiedy panowało napięcie albo potrzebowałem uwagi, doskonaliłem swoje umiejętności w błyskotliwych ripostach. Jeśli dobrze mi szło, czułem, że jestem bezpieczny i kochany. Może i wciąż byłem małym dzieckiem bez opieki, ale kiedy byłem zabawny, cała wielka publiczność – moja mama, rodzeństwo, bracia Murrayowie, koledzy ze szkoły – gotowała mi owację na stojąco. Co więcej, już po trzech tygodniach w drugiej klasie w moim

bardzo prestiżowym i drogim nowym liceum (dzięki, tato) powierzono mi główną rolę w szkolnej sztuce. Tak, tak, drodzy państwo: stoi przed wami George Gibbs z *Naszego miasta* Thorntona Wildera. Aktorstwo przychodziło mi naturalnie. Czemuż miałbym nie chcieć udawać kogoś innego?

Jezu...

Wydaje mi się, że tata spodziewał się, co się stanie. Kiedy obsadzono mnie w *Naszym mieście* i popędziłem do domu podzielić się wspaniałą wiadomością, znalazłem na łóżku książkę zatytułowaną *Acting with Style* [Stylowe aktorstwo]. W środku widniała dedykacja:

Kolejne pokolenie diabli wzięli.

Z miłością, tata.

Aktorstwo było dla mnie kolejnym narkotykiem, ale nie szkodziło mi tak, jak zaczynał mi już szkodzić alkohol. Po pijackiej nocy coraz trudniej mi się wstawało. Nie piłem w tygodniu – nie zaszedłem jeszcze tak daleko – ale robiłem to co weekend.

Najpierw jednak musiałem zyskać porządne wykształcenie.

Byłem bladym Kanadyjczykiem o ciętym języku, a w outsiderach jest coś, co przyciąga uwagę innych nastolatków – wydajemy się egzotyczni, zwłaszcza kiedy mówimy z kanadyjskim akcentem i potrafimy wymienić cały skład drużyny hokejowej Toronto Maple Leafs. Poza tym mój ojciec był facetem z reklamy Old Spice. Przez całe lata moi koledzy oglądali w swoich telewizorach mojego tatę w przebraniu marynarza – granatowym płaszczu i czarnej marynarskiej czapce – machającego ikoniczną białą butelką w kierunku ogolonych statystów i nakłaniającego ich, by „zrobili w życiu porządek z Old Spice!”. Może i nie był to Szekspir, ale tata był dość znany, a poza tym wysoki, przystojny i bardzo zabawny. I był moim ojcem.

Tata był też pijakiem. Każdego wieczora wracał do domu z planu, na którym akurat pracował lub nie pracował, nalewał sobie porządną porcję wódki z tonikiem i wygłaszał zdanie: „To najlepsza rzecz, jaka mi się dzisiaj przydarzyła”.

Mówił tak o drinku. Siedząc obok swojego syna na kanapie w Los Angeles. Potem pił kolejne cztery, a piąty zabierał do łóżka.

Tata nauczył mnie wielu dobrych rzeczy, ale niewątpliwie nauczył mnie też pić. To nie przypadek, że moim ulubionym drinkiem była podwójna wódka z tonikiem i że zawsze, kiedy ją piłem, myślałem: „To najlepsza rzecz, jaka mi się dzisiaj przydarzyła”.

Była jednak pewna znacząca różnica. Następnego dnia o siódmej rano tata zawsze był świeży i gotowy do działania. Brał prysznic, smarował się płynem po goleniu (nigdy nie był to Old Spice) i ruszał do banku, do agenta czy na plan – nigdy niczego nie przegapił. Ojciec był ucieleśnieniem wysoko funkcjonującego alkoholika. Ja z kolei już wtedy z trudem wstawałem i byłem tematem plotek wśród tych, którzy pili wokół mnie.

Patrzyłem, jak mój ojciec wypija co wieczór sześć wódek z tonikiem i prowadzi całkiem normalne życie, uznałem więc, że to możliwe. Uznałem, że będę w stanie zrobić to samo. Jednak coś czało się w cieniu, w moich genach, jak przerażająca bestia w ciemnym kącie. Miałem w sobie coś, czego ojciec nie miał, i dekadę zajęło mi zrozumienie, co to właściwie było. Alkoholizm, uzależnienie – jak zwał, tak zwał, ja postanowiłem określić to słowami Wielka Straszna Rzecz.

Ale byłem też George'em Gibbsem.

Nie pamiętam, co moi koledzy z klasy myśleli o bladym dzieciaku gadającym z kanadyjskim akcentem, ale nic mnie to nie obchodziło. W serwisie SparkNotes Gibbs opisany jest jako „archetypowy amerykański chłopak. Lokalna gwiazda baseballa i przewodniczący klasy w liceum, jest

również niewinny i wrażliwy. Jest dobrym synem (...) ale trzymanie emocji na wodzy jest dla niego trudne, o ile nie niemożliwe”.

Czyli w zasadzie pasowałem idealnie.

W domu wszędzie była wódka. Pewnego wieczora, pod nieobecność taty i Debbie, postanowiłem wziąć potężny łyk. Kiedy pikantne ciepło rozlało się po moim gardle i wnętrznościach, poczułem dobrostan, lekkość, poczułem, że wszystko będzie dobrze, zobaczyłem chmury nad naszym podwórkiem w Ottawie i uznałem, że przejdę się po LA, żeby włączyć się w rozkoszy tego dwudziestostopniowego raj; że ja, gwiazda szkolnego przedstawienia, będę przemierzać pełne gwiazd ulice niczym pijany Odyseusz. W tekście o letnich igrzyskach olimpijskich 1984 roku opublikowanym w londyńskim „The Observer” Clancy Sigal pisał, że zawsze, kiedy odwiedzał to miasto, wydawało mu się, iż „przekracza miękką membranę oddzielającą Los Angeles od prawdziwego, pełnego bólu świata”. Oto i ja też przeciskałem się przez zmiękczoną wódką membranę do miejsca, gdzie nie było bólu, gdzie świat był jednocześnie realny i nierealny... a jednak kiedy skręciłem za róg, po raz pierwszy przyszło mi też do głowy coś innego – śmierć, lęk przed śmiercią, pytania takie jak: „Czemu tu jesteśmy?”, „Jakie to wszystko ma znaczenie?”, „Czy to ma sens?”, „Jak się tu znaleźliśmy?”, „Czym są ludzie?”, „Czym jest powietrze?”. Wszystkie one zalały mój umysł niczym fala pływowa.

A ja chciałem tylko skręcić za pieprzony róg!

Tamten drink i tamten spacer otworzyły we mnie otchłań, która nigdy nie zniknęła. Byłem chłopakiem z problemami, człowiekiem okrutnie popieprzonym. Pytania zalewały mnie tak, jak alkohol leje się do szklanki. Zrobiłem tylko to, co Sigal – przyjechałem do Los Angeles razem z gimnastykami i sprinterami, i końmi, i pisarzami, i aktorami, i pozerami, i zgasłymi sławami, i aktorami z reklamy Old Spice, a teraz otworzyła się we mnie otchłań. Stałem na skraju wielkiej płonącej przepaści przypominającej wrota piekieł na pustyni Kara-kum w Turkmenistanie.

Drink i spacer obudziły myśliciela, poszukiwacza, ale to nie było jakieś rozmyte, buddyjskie gówno – stałem na krawędzi głębokiego, płonącego krateru, nękany pytaniami bez odpowiedzi, brakiem opieki, pragnieniem miłości, któremu towarzyszył lęk przed porzuceniem, pragnieniem ekscytacji, której towarzyszyła niemożność cieszenia się nią, moim niedziałającym fiutem. Stałem twarzą w twarz z czterema rzeczami ostatecznymi: śmiercią, sądem, piekłem i niebem. Miałem piętnaście lat i znalazłem się tak blisko eschatologii, że czułem wódczany zapach jej oddechu.

Wiele lat później mój ojciec wybrał się na równie przełomowy spacer: po pijaku wpadł w jakieś krzaki czy coś w tym stylu, następnego dnia rozmawiał o tym z Debbie, a ona zapytała: „Czy na pewno tak chcesz żyć?”. Nie chciał – poszedł wtedy na spacer, rzucił alkohol i nie wypił odtąd ani kropli.

Przepraszam bardzo? Poszedłeś na spacer i rzuciłeś picie? Ja na próby wytrzeźwienia wydałem jakieś siedem milionów dolarów. Byłem na sześciu tysiącach spotkań AA. (To nie przesada, raczej podejrzenie oparte na wiedzy). Piętnaście razy byłem na odwyku. Byłem też w szpitalu psychiatrycznym, przez trzydzieści lat chodziłem na terapię dwa razy w tygodniu, spójrzałem śmierci w twarz. A ty poszedłeś na jebany spacer?

Wiesz, dokąd możesz sobie pójść?

Ale też mój tata nie potrafi napisać sztuki, nie grał w *Przyjaciółkach*, nie pomaga bezradnym. I nie ma tych siedmiu milionów dolarów, które mógłby wydać. Coś za coś.

Nasuwa się pytanie – czy zamieniłbym się z nim miejscami?

Do tego przejdziemy później.

Wrzucałem parę dziesięciocentówek do szafy grającej i raz po raz puszczałem *Don't Give Up* Petera Gabriela i Kate Bush; czasem włączałem *Mainstreet* Boba Segera czy *Here Comes the Sun* Beatlesów. Jednym

z powodów, dla których uwielbialiśmy 101 Coffee Shop, była aktualność piosenek w ich szafie grającej. Poza tym wśród skórzanych boksów barwy karmelu dało się odczuć klimat starego Hollywood i miało się wrażenie, że w każdej chwili może tam wejść ktoś bardzo znany – ot tak, żeby pokazać, że sława niczego nie zmienia.

W 1986 roku byłem już pewien, że sława zmieniłaby wszystko, i pragnąłem jej bardziej niż ktokolwiek inny na tej planecie. Potrzebowałem jej. Tylko sława mogła mnie naprawić. Byłem tego pewien. Każdy, kto mieszka w LA, od czasu do czasu wpada na jakąś gwiazdę: Billy Crystal w Improv czy Nicolas Cage w boksie obok nie mieli przecież żadnych problemów – wszystkie ich problemy zniknęły. Byli sławni.

Regularnie chodziłem na przesłuchania i parę razy nawet dostałem pracę – najbardziej znaną rolę zagrałem w pierwszym sezonie *Charles in Charge*. Wcieliłem się w Eda, kujonkowatego nudziarza w sweterku w kratę i krawacie, który z pewnością siebie wypowiadał jedną główną kwestię: „Mój ojciec ukończył Princeton i jest chirurgiem, a ja zamierzam pójść w jego ślady!”. Tak czy inaczej, pracowałem, i to w telewizji, i szybko zacząłem wagarować, żeby spędzać czas w knajpkach z dziewczynami, którym podobały się mój akcent i trajkotanie, i rodząca się kariera telewizyjna, i umiejętność słuchania. Dzięki mojemu kanadyjskiemu wykształceniu wiedziałem, że potrafię słuchać i pomagać kobietom w kryzysie. (Jeśli jesteś kobietą z problemami i zaśpiewasz o tym piosenkę, będę jej słuchał w nieskończoność). Siedziałem więc w 101 Coffee Shop i podbijałem serca młodych kobiet błyskotliwymi tekstami, uśmieszkiem i umiejętnością słuchania. Zrzuciłem strój prymusa z *Charles in Charge*, kiedy tylko opuściłem teren Universalu w Studio City i byłem ubrany jak każdy fajny nastolatek w połowie lat osiemdziesiątych: w dzinsową kurtkę, koszulę w kratę albo może T-shirt z Kinks, nawet jeśli w domu słuchałem Air Supply.

Kiedy ma się niecałe szesnaście lat, dni zdają się nie mieć końca, zwłaszcza gdy uwodzisz grupę dziewczyn w hollywoodzkiej knajpie. Tamtego dnia musiałem być w naprawdę dobrej formie, bo kiedy tak sobie żartowałem, jakiś facet w średnim wieku przeszedł obok naszego boksu, położył przede mną liścik napisany na serwetce i zaraz wyszedł. Dziewczyny umilkły: patrzyłem, jak mężczyzna wychodzi, a potem wykonałem prototyp spóźnionej, zaskoczonej reakcji Chandlera, wywołując tylko więcej śmiechu.

– No czytaj! – powiedziała jedna z dziewczyn.

Ostrożnie podniosłem serwetkę, jakby była pokryta trucizną, i powoli ją rozłożyłem. Odczytałem gryzmoły:

Chcę, żebyś zagrał w moim nowym filmie. Zadzwoń do mnie pod numer...

William Richert

– Co napisał? – spytała inna dziewczyna.

– Napisał: „Czy mógłbyś być jeszcze przystojniejszy i bardziej utalentowany?” – odparłem z powagą.

– Nieee. – Pierwsza dziewczyna pokręciła głową. – Niemożliwe.

Jej pełen niedowierzania ton wywołał kolejną salwę śmiechu, a ja odparłem:

– Wielkie dzięki. – Ale kiedy śmiech ucichł, przeczytałem: – „Chcę, żebyś zagrał w moim nowym filmie. Zadzwoń do mnie pod numer... William Richert”.

– To brzmi bardziej prawdopodobnie – powiedziała kolejna dziewczyna.

– Prawda? – odrzekłem. – A ten film będą kręcić na tyle furgonetki bez okien.

Kiedy przyszedłem do domu tego wieczora, zapytałem tatę, co robić. Pił swoją trzecią wódkę z tonikiem – zostało w nim akurat tyle siły przekonywania, by jego odpowiedź była przydatna. Na tym etapie już

nico go frustrowało to, że moja kariera zaczynała toczyć się naprzód. Nie był zazdrosny, ale miał świadomość, że jestem od niego młodszy, że mam szansę na sukces, że jeśli dobrze to rozegram, mogę mieć bardziej udaną karierę niż on. Mimo to zawsze mnie wspierał – nie było w naszym domu sytuacji jak z *Wielkiego Santiniego*. Ojciec był moim bohaterem i był ze mnie dumny.

– No wiesz, Matty – powiedział – zadzwonić nie zaszkodzi.

Cokolwiek by mi doradził, wiedziałem, że zadzwonię. Wiedziałem to od chwili, gdy przeczytałem liścik. Byłem w końcu w Hollywood – tak właśnie powinno się zaczynać, prawda?

Okazało się, że William Richert wcale nie chciał nakręcić filmu na tyle furgonetki.

Richert zobaczył wystarczająco długi kawałek *The Matthew Perry Show*, który odegrałem przed dziewczynami w 101, by zechcieć zatrudnić mnie do roli w filmie *Jimmy Reardon* na podstawie jego powieści *Aren't You Even Gonna Kiss Me Goodbye?*. Akcja powieści i filmu rozgrywa się w Chicago na początku lat sześćdziesiątych. Reardon jest nastolatkiem zmuszonym do rozpoczęcia nauki w szkole biznesu, chociaż on sam wolałby kupić bilet na Hawaje, gdzie mieszka jego dziewczyna. Miałem zagrać jego najlepszego przyjaciela Freda Robertsa, który, podobnie jak Ed w *Charles in Charge*, był zamożnym snobem cierpiącym na chroniczne dziewictwo (utożsamiałem się z nim). Znowu porzuciłem styl kujona, bo Fred miał nosić szary kaszkiet, skórzaną kurtkę, koszulę i krawat, i – och! – jeszcze czarne skórzane rękawiczki. W filmie Reardon idzie do łóżka z moją dziewczyną, ale to nie szkodzi, bo Reardona miał zagrać ktoś, z kim przywilejem było być zdradzonym.

Lista geniuszy wyprzedzających swoje czasy jest zbyt długa, by ją tu zamieszczać. Dość powiedzieć, że blisko jej szczytu powinien znaleźć się aktor, u którego boku zagrałem w *Jimmym Reardonie*, River Phoenix. Był to

pierwszy film, w którym zagrałem, i wiem, że historia byłaby lepsza, gdyby okazał się wielkim hitem, ale najważniejsze, że nauczyłem się robić filmy i poznałem Riverę, który pod każdym względem był ucieleśnieniem piękna. Otaczała go aura. Był jednak zbyt miły, żeby mu zazdrościć. Na ekrany wszedł właśnie film *Staż przy mnie* – w którym zagrał wspaniale – a kiedy wchodził do pokoju, emanował taką charyzmą, że wszyscy inni zmieniali się w meble.

Film kręcono w Chicago, tam więc wyłudowałem jako siedemnastolatek. Pojechałem do Wietrznego Miasta bez rodziców, bez niczego, znów jako „małoletni bez opieki”, jednak tym razem czułem wolność, czułem, że jestem na właściwym miejscu. Nigdy wcześniej nie byłem tak podekscytowany. To w Chicago, podczas zdjęć do tego filmu, z Riverem Phoenixem u boku, zakochałem się w aktorstwie – a co więcej, zaprzyjaźniliśmy się z Riverem. Piliśmy piwo i graliśmy w bilard na North Rush Street (*Kolor pieniędzy* właśnie wszedł do kin i bilard był bardzo na czasie). Dostawaliśmy dniówki, flirtowaliśmy z dziewczynami, ale ja na tym poprzestawałem, bo przecież, no wiecie.

River był pod każdym względem pięknym mężczyzną – jak się okazało, zbyt pięknym na ten świat. To ci najbardziej utalentowani odchodzą. Czemu oryginalni myśliciele tacy jak River Phoenix i Heath Ledger umierają, a Keanu Reeves wciąż jest wśród nas? River był lepszym aktorem niż ja; ja byłem zabawniejszy. Ale dawałem radę we wspólnych scenach – kiedy kilka dekad później patrzę wstecz, uznaję to za niemałe osiągnięcie. Co ważniejsze, River patrzył na świat inaczej niż my wszyscy, a to czyniło go fascynującym, charyzmatycznym i, owszem, pięknym, ale nie pięknem z reklamy Gap (choć był również przystojny), lecz pięknem spod znaku nie-ma-drugiego-takiego-człowieka-na-świecie. Nie wspominając o tym, że właśnie stawał się gwiazdą, a w ogóle się tak nie zachowywał.

Gdzieś pośrodku tych wszystkich czarów zdołałem zagrać z Riverem Phoenixem w filmie.

River mówił później, że nie był zadowolony ze swojej roli w *Jimmym Reardonie*; twierdził, że do niej nie pasował. Ale moim zdaniem on pasował do każdej roli. Potrafił zrobić wszystko. Pamiętam go w filmie *Włamywacze* – dokonywał tam wyborów, jakich nikt inny by nie dokonał. Nie wspominając o tym, że nie ustępował takim legendom jak Robert Redford czy wspaniały Sidney Poitier. (Koniecznie obejrzyjcie ten film, jeśli nie widzieliście go dotąd – to znakomita rozrywka).

Film, który zrobiliśmy razem, był kasową porażką, ale to nie miało znaczenia. Trafiłem w wyjątkowe, czarodziejskie miejsce – chociaż tym miejscem była North Rush Street w lodowatym Chicago. Wiedziałem, że to najlepsze, co mi się w życiu przydarzyło. Skończyłem pracę w trzy tygodnie, ale ekipa polubiła mnie tak bardzo (prawdopodobnie przede wszystkim właśnie River), że pozwolono mi zostać do końca zdjęć. Nie mogło być lepiej.

Pewnej nocy pod koniec zdjęć, kiedy siedziałem samotnie w pokoju w hotelu Tremont, ukląknęłam i zwróciłam się do wszechświata:

– Nie pozwól mi tego zapomnieć.

I nie zapomniałam.

Ale magia nie trwa wiecznie. Otchłań, którą starasz się zasypać, otwiera się na nowo. (Przypomina to grę w Whac-A-Mole). Może problem polegał na tym, że duchową otchłań starałam się zasypać czymś materialnym... sam nie wiem. W każdym razie ostatniego dnia zdjęć siedziałam na łóżku w moim pokoju hotelowym w Chicago i płakałam. Łkałam i łkałam, bo już wtedy wiedziałam, że nigdy więcej nie doświadczę niczego podobnego – pierwszy film, daleko od domu, a na planie mogłam flirtować, pić i spędzać czas z kimś tak wspaniałym jak River Phoenix.

Łkałam też w Halloween 1993 roku, kiedy River zmarł przed drzwiami klubu Viper Room w West Hollywood. (Słyszałam krzyki z mojego mieszkania, wróciłam do łóżka, a po przebudzeniu dowiedziałam się, co się stało). Po jego śmierci jego mama napisała w odniesieniu do narkotyków:

„Duch pokolenia [Rivera] jest niszczone”, a ja piłem co noc. Ale dopiero lata później zrozumiałem, co miała na myśli.

Kiedy *Jimmy Reardon* był gotowy, poleciałem z Chicago z powrotem do LA i wylądowałem na planecie Ziemia – a konkretnie w szkole. Wciąż chodziłem na liczne przesłuchania, ale rezultaty były średnie. Dostawałem tylko role komediowe i występowałem gościnnie w zasadzie we wszystkim. Tymczasem moje stopnie wciąż były do dupy. Skończyłem szkołę ze średnią 2,0. Moim jedynym życzeniem była obecność rodziców na rozdaniu świadectw, na co na szczęście się zgodzili. Nieprawdopodobnie niezręczna atmosfera na kolacji, która nastąpiła później, zdawała się podkreślać fakt, że przeznaczeniem ich wspólnego dziecka było poczucie zakłopotania, nawet jeśli jednocześnie było ono najzabawniejszym człowiekiem na sali. Tego wieczora zajmowałem trzecie miejsce, zarówno jeśli chodzi o poczucie humoru, jak i urodę. Przynajmniej spełniło się moje dziecięce marzenie: byli razem, chociaż tylko przez jedną noc, pełną żenującej ciszy i docinków przerzucanych wte i wewte niczym wielki joint nienawiści.

Jestem moim rodzicom wdzięczny, że przyjechali na tę kolację – było to z ich strony bardzo miłe i absolutnie niekonieczne. Ale też zrozumiałem wtedy coś, czego się nie spodziewałem. To dobrze, że nie byli razem. Nie byli sobie pisani. Mieli rację, rozstając się. Oboje znaleźli później kogoś, kto był im przeznaczony, i bardzo się cieszę ich szczęściem. Odtąd Matty nie musiał już sobie życzyć, żeby jego rodzice do siebie wrócili.

Dopiero kilka dekad później znów znaleźli się razem w jednym pokoju. Z zupełnie innego powodu.

Połączenie ról aktorskich, błyskotliwego umysłu i ostrego języka, przyjaźni z Riverem, dżinsowej kurtki i flanelowej koszuli pomogło mi zdobyć piękną dziewczynę, Tricię Fisher. (Córkę Eddiego Fishera i Connie Stevens – tak, tak, przyrodnią siostrę Carrie Fisher. Dziewczyna wiedziała, czym jest urok).

Sama poezja jej nazwiska czyniła ją zniewalającą. Poza tym miałem osiemnaście lat i byłem już całkiem przekonany, że wszystko ze mną w porządku, dopóki nie znajdę się w towarzystwie drugiego człowieka. Nosilem w sobie impotencję niczym paskudną tajemnicę, tak jak nosilem w sobie wszystko inne. Kiedy więc moja relacja z Tricią Fisher nabrała głębi, nasze myśli powędrowały ku konsumpcji fizycznej naszego związku, ja jednak ogłosiłem z przekonaniem, że chcę poczekać – jak katolicy. Niewielu osiemnastoletnich chłopców mówi coś podobnego i nikt nie powinien tego od nich wymagać. Ją to oczywiście zaciekawiło. Kiedy zaczęła naciskać, mówiłem coś o „zaangażowaniu”, „przyszłości”, „stanie planety” czy „mojej karierze”, w zasadzie o czymkolwiek, byle nie wyznać, że kiedy przyjdzie co do czego, będę miękniejszy niż karmelowe kanapy w 101 Coffee Shop. A nie mogło przyjść co do czego, bo moja tajemnica wyszłaby na jaw.

Moja stanowczość, przynajmniej w kwestii powstrzymywania się, trwała dwa miesiące. Tamy jednak pękają, a nieprowadzące donikąd pocałunki zaczęły nas nadmiernie ekscytować. Tricia Fisher podjęła decyzję.

– Matty – powiedziała. – Mam dość. Zróbmy to.

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do łóżka w moim malutkim mieszkaniu w Westwood.

Byłem jednocześnie przerażony i podekscytowany, choć wciąż nękały mnie myśli pełne lęku:

„Może tym razem, może przy kimś, na kim naprawdę mi zależy, moja niepewność pryśnie...”. Pryśnie? Kiepski dobór słowa.

„Może byłoby łatwiej, gdyby ktoś postawił mi drinka?” Właśnie ze stawianiem masz problem, kolego.

„Może powinienem się rozluźnić, nie być aż tak sztywny”. Nie aż tak sztywny? Matty, przestań...

Zanim ten krótki dialog zdążył zmienić się w operę za trzy grosze, Tricia rozebrała nas oboje i wciągnęła do łóżka. Wyraźnie pamiętam, że pogórze miłości było czystą rozkoszą, ale niczym wspinacz neofita obawiałem się, że powyżej pewnego obozu bazowego nie będzie już tlenu, który pozwoliłby mi dostać się wyżej. I tak właśnie było. Jak to inaczej ująć? Nie umiałem zmusić tego ustrojstwa do działania. Myślałem o wszystkim, obracałem w mojej znużonej głowie skomplikowane erotyczne obrazy z nadzieją, że trafię na coś – na jedną jedyną rzecz! – co pomogłoby mi poświęcić się przyszłej rozkoszy. Nic nie działało. Nic. Znow przeżony, opuściłem kochające ramiona Tricii Fisher i zaciągnąłem swoje chude, nagie ciało na krzesło. (Gdyby ktoś zechciał, mógłby mnie wtedy zgiąć w pół). Siedziałem na nim, miękki i smutny, z dłońmi złożonymi na kolanach jak u zakonnicy podczas niesporów, starając się ze wszystkich sił ukryć swoje zażenowanie, a może też parę łez.

Tricia Fisher po raz kolejny miała dość.

– Matty! – powiedziała. – Co się dzieje, do cholery? Nie podobam ci się?

– Och, nie, oczywiście, że mi się podobasz! – odparłem. Problemy fizyczne wystarczały, by mnie zdołować, a już wyczuwałem czające się za oknem porzucenie. Co będzie, jeśli Tricia mnie zostawi? A co, jeśli, jak zwykle, nie jestem wystarczająco dobry? A co, jeśli znow zostanę bez opieki?

Byłem zrozpaczony. Naprawdę ją lubiłem. Naprawdę chciałem wierzyć, że miłość mnie uratuje.

Mogłem zrobić tylko jedno. Musiałem jej wszystko powiedzieć.

– Tricio – zacząłem. – Kiedy mieszkałem jeszcze w Ottawie, tak strasznie stresowałem się całowaniem z dziewczyną, że wcześniej wypilem sześć piw...

Niczego nie pominąłem. Opowiedziałem Tricii całą tę wstydlivą historię, a na koniec wyznałem, że jestem impotentem i zawsze nim będę, że do niczego się nie nadaję i nie można z tym nic zrobić, że mojemu pożądaniu

nigdy nie będą towarzyszyć twarde dowody. Ale też rozpaczliwie pragnąłem, żeby ze mną została, więc jeśli mogłem cokolwiek dla niej zrobić, niechże tylko poprosi, i tak plotłem i plotłem, jak plecie się warkocz.

Kochana Tricia Fisher pozwoliła mi trajkotać, przekonywać ją, że niezależnie od jej urody – a była naprawdę piękna – moim przeznaczeniem było dożywotnie powtarzanie tamtej nocy w Ottawie.

Wreszcie się uspokoiłem i wziąłem głęboki oddech. Tricia bardzo spokojnie powiedziała:

– Chodź ze mną. To się już nigdy nie powtórzy.

Podeszła wtedy do mnie, wzięła mnie za rękę, poprowadziła z powrotem do łóżka, położyła mnie i... sława i chwała, przez pełne dwie minuty! Tamtej nocy, dzięki tajemniczemu zagięciu wszechświata i staraniom pięknej młodej kobiety, która zasługiwała na więcej, wreszcie najpierw zapodziałem, a potem całkiem straciłem dziewictwo, a impotencja – tak jak obiecała Tricia – na zawsze zniknęła z mojego słownika. Wszystko we mnie działa jak należy – przynajmniej pod względem fizycznym.

A teraz proszę opowiedzieć, drogi panie Perry, w jaki sposób spłacił pan ten ogromny dług zaciągnięty u kobiety, która uratowała panu życie w najbardziej znaczący z możliwych sposobów.

Już wyjaśniam, drogi czytelniku: otóż spłaciłem ten dług, uprawiając seks z niemal wszystkimi kobietami w południowej Kalifornii.

(Byłem raz na randce z moją równolatką, która w pewnym momencie przerwała kolację i powiedziała:

– Chodźmy do ciebie uprawiać seks.

Seks wciąż jeszcze był dla mnie nowością i zgodziłem się od razu. Poszliśmy do mojego pokoju, a kiedy tylko przekroczyliśmy próg, zatrzymała się i rzekła:

– Czekaj, czekaj! Nie mogę tego zrobić. Odwieź mnie do domu.

Oczywiście tak zrobiłem.

Następnego dnia ciągle myślałem o tym, co się stało, a jako że chodziłem już na terapię, opowiedziałem tę historię podczas sesji.

– Powiem ci coś, co powinno ci pomóc – rzekł terapeuta. – Kiedy kobieta przychodzi do ciebie do domu i zdejmuje buty, to znaczy, że pójdzie z tobą do łóżka. Jeśli tego nie robi, nic z tego.

Miałem wtedy osiemnaście lat, dziś mam pięćdziesiąt dwa. Miał rację w stu procentach przypadków. Czasami trochę oszukiwałem i stawiałem swoje buty na progu, podpowiadając, że tam jest ich miejsce. Ale spostrzeżenie terapeuty było słuszne – kiedy kobieta zostaje w butach, w najlepszym wypadku będziecie się całować).

Wiele lat później, kiedy akurat *Przyjaciele* odnosili największe sukcesy, znów zacząłem spotykać się z Tricią. Nie opuściła mnie, ale dawny lęk powrócił i zakończyłem nasz związek. Żałuję tylko, że nie poczułem tak do głębi, że mnie nie opuściła. Że nigdy w to nie uwierzyłem. Być może wtedy byłoby lepiej. Być może wódka z tonikiem nie stałaby się moim ulubionym napojem.

Może byłoby zupełnie inaczej. A może nie.

Chciałbym jednak podziękować Tricii i tym, które przyszły po niej. A wszystkie kobiety, które porzuciłem tylko dlatego, że się bałem, iż to one porzucą mnie, z całego serca przepraszam. Gdybym tylko wtedy wiedział to, co dzisiaj wiem...

Interludium. Matman

– Oto jest mój *pitch* – powiedziałem. – Gotowy?

– Jasne, dawaj! – odparł Adam.

Mocno zaciągnąłem się moim marlboro, przysunąłem telefon do policzka, wypuściłem powietrze pełne smoły, nikotyny i bólu, i zacząłem sprzedawać.

– OK – powiedziałem. – To historia takiego faceta. Rozpoznasz go. Ma na imię Matt i ma koło pięćdziesiątki. Jest bardzo znany, bo wiele lat wcześniej zagrał w ukochanym przez widzów serialu. Teraz jednak, kiedy film się zaczyna, ma wystający bebzon, w jego mieszkaniu jest pełno pustych pudełek po pizzy, ułożonych jedno na drugim, przypominających ten totem z ziemniaczanego purée, który zrobili w *Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia...* w każdym razie jego życie to niezły pieprznik. Jest zagubiony. Nagle jego daleki krewny umiera i zostawia mu dwa miliardy dolarów. A on wykorzystuje te pieniądze, żeby zostać superbohaterem.

– Świetny pomysł! – zgodził się Adam. A potem dodał: – Naprawdę odziedziczyłeś dwa miliardy dolarów?

Adam ma poczucie humoru.

– Nie, nie! – odpowiedziałem. – To tylko postać! Czy to cię kręci? Jeśli tak, to co robimy dalej? To ty jesteś grubą rybą.

– Nie jestem grubą rybą – odparł Adam, chociaż obaj wiemy, że to nieprawda. Doceniam jego skromność, ale w Hollywood skromność donikąd nie prowadzi.

– Co masz na myśli? – spytałem. – Oczywiście, że jesteś grubą rybą...

Był to w końcu Adam McKay, facet, który wyreżyserował *Legendę telewizji* i *Braci przyrodnych*, i jeszcze kilka ważnych rzeczy. Kiedy gadaliśmy, kręcił akurat *Nie patrz w górę*, film o wielkiej asteroidzie lecącej ku Ziemi, no wiecie, ten, w którym zegrali Leonardo DiCaprio, Jennifer

Lawrence, Timothée Chalamet, Mark Rylance, Cate Blanchett, Tyler Perry, Jonah Hill, a nawet Ariana Grande i Meryl Streep. Wspaniała obsada.

Na pewnym etapie ja też grałem w *Nie patrz w górę* i chociaż akurat wybierałem się na odwyk do Szwajcarii, pojechałem do Bostonu, by nakręcić swoją partię. Kiedy się tam znalazłem, zaproponowałem Adamowi kwestię, która mu się spodobała i która domknęła scenę – trudno liczyć na więcej (koniec końców nie wykorzystał tej sceny – zdarza się, nie jestem obrażony). W każdym razie dobrze dogadywaliśmy się z Adamem McKayem i oto spodobał mu się mój *pitch*.

Bolały mnie wtedy blizny po operacjach i brałem leki przeciwbólowe, od których się oczywiście uzależniłem, co tylko szkodziło mi bardziej... ale czułem się trochę lepiej i ucieszyłem się, kiedy Adam zadzwonił. Po prostu rozmawialiśmy, ale też w Hollywood „po prostu rozmowa” nie istnieje, więc pomyślałem sobie: „Ej, co mi szkodzi? Po co on do mnie dzwoni?”. Kiedy więc Adam wciąż nie dochodził do sedna, uznałem, że mogę po prostu zaprezentować mu swój pomysł.

– No dobra, panie Gruba Ryba – powiedziałem, ignorując jego fałszywą skromność – co o tym myślisz?

Kojarzycie taką chwilę ciszy w trakcie rozmowy, która powinna trwać wiecznie, bo wtedy nie musielibyście usłyszeć słów następujących po niej?

– Wydaje mi się, że rozmawiasz z kimś innym, niż ci się wydaje.

– Co? Z kim w takim razie rozmawiam?

– Mówi Adam McLean. Poznaliśmy się sześć lat temu. Sprzedaję komputery.

Jeśli widzieliście *Nie patrz w górę*, wiecie, że na końcu... dość powiedzieć, że kiedy zdałem sobie sprawę, że nie rozmawiam z Adamem McKayem, tylko z Adamem McLeanem, walnęła we mnie wielka asteroida.

Nie pierwszy raz zrobiłem coś takiego. Wiele lat wcześniej Bruce Willis dostał nagrodę People’s Choice za rolę w filmie *Szósty zmysł* i poprosił, żebym mu ją wręczył. Tamtej nocy za kulisami poznałem Haleya Joela

Osmenta i M. Night Shyamalana i rozmawiałem z nimi przez jakieś dziesięć minut.

Pół roku później byłem z przyjaciółmi w hotelu Sunset Marquis. Do środka wszedł nikt inny, jak właśnie M. Night Shyamalan.

– Hej, Matthew! – powiedział. – Dawno cię nie widziałem! Mogę się dosiąść?

Czy mógł się dosiąść? Właśnie napisał i wyreżyserował *Szósty zmysł*. Był nowym Stevenem Spielbergiem, oczywiście, że mógł się dosiąść! Wypiłem kilka drinków i dobrze się bawiłem (wtedy wystarczał mi jeszcze sam alkohol).

Wreszcie moi znajomi poszli spać i zostałem sam z panem M. Nightem. Pamiętam, że trochę się zdziwiłem, że w ogóle nie rozmawiamy o show-biznesie, ale o miłości i stracie, o dziewczynach i o LA, i o innych rzeczach, o których rozmawia się w barach. On też zdawał się dobrze bawić, śmiał się z moich głupich żartów, pomyślałem więc sobie: „Ej, ten facet naprawdę mnie lubi! Musi być chyba fanem *Przyjaciół*, bo wydaje się naprawdę skupiony na każdym moim słowie”.

Rzadko to robię – wiele razy sparzyłem się przez ten sposób myślenia – ale zacząłem snuć dzikie fantazje o tym, co ta rozmowa mogłaby oznaczać dla mojej kariery. Powiedział mi, że po drugiej stronie miasta otworzył się nowy bar, i zapytał, czy chciałbym z nim tam pójść. Czy chciałem tam pójść? Przecież to M. Night Pieprzony Shyamalan! Oczywiście, że chciałem!

Poszliśmy na parking po nasze samochody i pojechałem za nim do nowego lokalu, przekonany, że będę gwiazdą jego nowego filmowego hitu – owszem, nakręci nowy, znakomity, pełen zwrotów akcji film, a zaskakującym zakończeniem będę ja!

Wirowało mi w głowie. Nie wiem czemu – wydawał się zachwycony mną i moją pracą, a ja byłem dość pijany, żeby uwierzyć, że ta noc zmieni moje życie. Kiedy usiedliśmy w drugim barze, czułem się na tyle swobodnie

(byłem na tyle pijany), żeby zasugerować, że powinniśmy kiedyś razem pracować. Na jego twarzy pojawił się nagle dziwny wyraz; pamiętam, że natychmiast pożałowałem swoich słów. Poszedł do łazienki, a w tym czasie podszedł do mnie znajomy, który zapytał, jak mi mija wieczór.

– Słuchaj, cały wieczór spędziłem z M. Night Shyamalanem i wydaje mi się, że facet mnie uwielbia.

Znajomy był pod wrażeniem... Dopóki M. Night nie wrócił z łazienki.

– Matty – powiedział mój kolega, przyglądając się mu z bliska – czy mogę zamienić z tobą słówko na osobności?

Było to bardzo dziwne, ale alkohol wszystko czyni możliwym, więc oderwałem się na chwilę od swojego magicznego wieczoru.

– Matty – wyszeptał mój znajomy – to nie jest M. Night Shyamalan.

Odkrycie to kazało mi spróbować skupić na chwilę mój zmiękczonej wódką wzrok. W barowym półmroku spojrzałem na M. Night Shyamalana.

Nie.

Był.

Nawet.

Podobny.

Okazało się, że „M. Night” był w rzeczywistości mężczyzną indyjskiego pochodzenia, który może minimalnie przypominał M. Night Shyamalana (być może nazywał się N. Night Shyamalan?), który pracował jako *mâitre d'* w Mr. Chow Beverly Hills, popularnej restauracji, do której chadzałem w LA... i do której już nie chodzę, bo zaproponowałem ich *mâitre d'* wspólną pracę. „Co on sobie myślał o tym wieczorze?” – zastanawiałem się.

Rozdział 3. Bagaż

Moje życie przypominało nieustający *Dzień świstaka*. Nie bez powodu to mój ulubiony film.

Co wieczór chadzałem ze znajomymi do Formosa Café na bulwarze Santa Monica w West Hollywood. Nad barem wisały dwie tabliczki. Ta pod zdjęciami portretowymi głosiła: TU JADAJĄ GWIAZDY. Na drugiej widniał napis: WINO NA KIELISZKI, ale my nie piliśmy na kieliszki – piliśmy na pinty, kwarty i galony... i nie wino, ale wódkę.

„My”, czyli Hank Azaria, David Pressman, Craig Bierko i ja. Stworzyliśmy własny miniaturowy odpowiednik Rat Pack.

Poznałem Hanka, gdy miałem szesnaście lat, w CBS, gdzie brałismy udział w przesłuchaniu do pilota z udziałem Ellen Greene (tej z *Krwiożerczej rośliny*). Obaj dostaliśmy role, a on w pilocie zagrał mojego wujka. Dogadywaliśmy się tak dobrze, że gdy opuściłem gniazdo, żeby zamieszkać na swoim, wprowadziłem się do kawalerki w jego budynku. Był już wtedy naprawdę zabawnym gościem i nagrywał mnóstwo dubbingów. Dzięki tej robocie stał się też niesamowicie bogaty, ale na początku wszyscy chcieliśmy sławy. Sława, sława, sława – tylko tego pragnęliśmy. I dziewczyn, i... eee... sławy. Nic więcej nas nie obchodziło, a ja sądziłem, że sława zapełni tę ogromną otchłań, która rozrastała się we mnie bez końca.

Lecz w czasach poprzedzających sławę zapełniałem tę pustkę alkoholem.

Piłem nieustannie – studenckie lata spędziłem na picciu w Formosie – i prawdę mówiąc, zostałem w tym prymusem, członkiem Alkoól Beta Kappa. Miłość do alkoholu stała się sternikiem mojego życia, ale chyba nie zdawałem sobie sprawy z tego, w jakim stopniu mnie kontroluje, aż do pewnego wieczoru, kiedy wybrałem się na randkę z moją ówczesną dziewczyną Gaby. Gaby pisywała później dla „Veep” i masy innych pism,

a potem zaprzyjaźniliśmy się na całe życie, ale tamtego wieczoru wraz z grupą znajomych wybraliśmy się na pokaz iluzji do Universal City. Pamiętam, że zamówiłem jakąś specjalność baru, kipiącą alkoholem. Popijałem tego drinka, podczas gdy gość na scenie wyciągał króliki z kapeluszy, aż w końcu znużył nas niekończący się sznur jedwabnych szali z rękawów i wszyscy wróciliśmy do mieszkania Gaby na posiadówkę. Gaby nie miała w domu żadnego alkoholu, co oczywiście jest w porządku, ale mnie, dwudziestosiedmiolatka, nagle po raz pierwszy w życiu opanowało to nieprzyjemne uczucie. Moja krew zawrzała, domagała się więcej alkoholu; pragnąłem tylko kolejnego drinka i nie mogłem myśleć o niczym innym.

To właśnie tamtego wieczoru po raz pierwszy poczułem *obsesję* na punkcie alkoholu. Zauważyłem, że nikt inny nie wydawał się w najmniejszym stopniu przejęty brakiem trunków u Gaby – za to ja czułem tę przemożną siłę, jakbym był drobinkami metalu przyciąganymi przez wielki magnes. Przeraziło mnie to, zwłaszcza że najwyraźniej tylko ja się z tym zmagalem. Dlatego tamtego wieczoru postanowiłem, że nie pójdę szukać kolejnego drinka... ale nie byłem w stanie zasnąć, było mi niewygodnie, przewracałem się z boku na bok, zagubiony w tym. Czułem się niespokojny, rozdrażniony i zawiedziony, aż wreszcie wzeszło słońce.

Co się ze mną działo? Co było ze mną nie tak? Dlaczego byłem tam jedyną osobą, która marzyła o kolejnym drinku? Nie mogłem nikomu o tym powiedzieć, bo nawet ja sam nie rozumiałem, o co chodzi. Myślę, że przez wiele lat moje picie było dla ludzi tajemnicą – przynajmniej do pewnego stopnia, a z pewnością było nią w tamtym czasie. Byłem tylko dzieciakiem, marnującym odpowiednik studenckich czasów na chłanie, kobiety i rozśmieszanie kolegów – i kobiet. Co miałem wtedy przyznać?

Nikt nie wiedział, że piję w samotności. Trzymałem to w tajemnicy. To, ile wypijałem, gdy byłem sam, zależało w pełni od roku. W końcu doszedłem do takiej imprezowej butli z uszkiem – obalałem ją samodzielnie

w dwa dni. Ale tamtego wieczoru, gdy wybraliśmy się na pokaz magii, przestraszyłem się. Co się działo? Nigdy wcześniej nie doświadczyłem tego uczucia. Dlaczego nie byłem w stanie myśleć o choćby jednej pieprzonej rzeczy poza alkoholem? W barze po prostu zamawiasz kolejnego drinka... ale zwykle nie leżysz w środku nocy rozbudzony, żałując, że nie masz szklanki w dłoni. To była nowość. Coś innego. Straszego. I to był ten sekret.

Dziesięć lat później przeczytałem następujące słowa w „Wielkiej Księdze”⁶ Anonimowych Alkoholików: „Pijący myślą, że próbują uciec, podczas gdy tak naprawdę próbują uporać się z zaburzeniem psychicznym, o którego istnieniu nie wiedzieli”.

Eureka! Nareszcie ktoś mnie rozumie. Lecz dla mnie te słowa brzmiały zarazem cudownie i strasznie. Oznaczały, że nie jestem sam – byli też inni, którzy myśleli tak jak ja – ale także to, że jestem alkoholikiem i będę musiał rzucać picie każdego dnia przez resztę życia.

Jak mam się jeszcze kiedyś dobrze bawić?

Nie umiem zdecydować, czy właściwie lubię ludzi, czy nie.

Ludzie mają potrzeby, kłamią, zdradzają, kradną albo, co gorsza, chcą mówić o sobie. Alkohol był moim najlepszym przyjacielem, bo nigdy o sobie nie gadał. Po prostu był obok, jak niemy pies u nogi, i zerkał na mnie, zawsze gotowy do wyjścia na spacer. Odejmował tak wiele bólu, łącznie z samotnością, którą odczuwałem nie tylko wtedy, gdy byłem sam, ale także wśród ludzi. Dzięki niemu filmy stawały się lepsze, piosenki stawały się lepsze, *ja sam* stawałem się lepszy. Sprawiał, że czułem się komfortowo tam, gdzie byłem, i nie pragnąłem już znaleźć się gdzie indziej – gdziekolwiek. Dzięki niemu zadowalało mnie towarzystwo kobiety, z którą akurat byłem, i nie musiałem ciągle się zastanawiać, czy życie nie byłoby lepsze, gdybym spotykał się z kimś innym. Dzięki niemu przestałem być outsiderem we własnej rodzinie. Usuwał otaczające mnie mury – poza

jednym – choćby tylko na chwilę. Pozwalał mi zapanować nad uczuciami, a dzięki temu kontrolować mój świat. Towarzyszył mi jak przyjaciel. A ja byłem pewny, że bez niego bym zwariował.

I co do tego mam rację, nawiasem mówiąc – bez niego bym oszalał.

Sprawiał, że chciałem być zupełnie inną osobą. Rezygnacja z niego wydawała się niemożliwa. Gdyby ktoś kazał mi nauczyć się żyć bez niego, to jakby poprosił kogoś, żeby nie oddychał przez cały dzień. Za to zawsze będę alkoholowi wdzięczny. W końcu doprowadził mnie do zdrowego rozsądku.

Malcolm Gladwell twierdzi, że jeśli poświęcisz czemuś dziesięć tysięcy godzin, staniesz się ekspertem. Jeśli to prawda, byłem ekspertem w dwóch dziedzinach: tenisie lat osiemdziesiątych i piciu. Tylko jeden z tych tematów jest dość ważny, aby uratować życie.

Pozwolę wam zgadnąć, który z nich.

Ale gdy chciałem poczuć się mniej samotny wśród ludzi, wybierałem Hankę Azarię, Davida Pressmana, a w końcu Craiga Bierko.

Co ciekawe, zagrałem postać o nazwisku Azarian w *Beverly Hills, 90210*. Gościnny występ w dziewiętnastym odcinku dwudziestodwuodcinkowego pierwszego sezonu był wielką sprawą. *Beverly Hills, 90210* nie miał jeszcze statusu fenomenu kulturowego, gdy grałem Rogera Azariana, gwiazdę tenisa z liceum Beverly Hills i syna ambitnego, chłodnego biznesmena, ale główne wątki w tym odcinku (depresja u nastolatków, samobójstwo i kłopoty z nauką) pokazały, że serial nie będzie unikał prawdziwych problemów, niezależnie od tego, jak bardzo uprzywilejowane było środowisko, o jakim opowiadał.

Ten odcinek, który zapożyczył tytuł od samego T.S. Eliota (*Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień*), rozpoczyna się sceną, w której walę jak wściekły w piłki tenisowe, popisując się swoją formą z czołówki kanadyjskich rankingów. Moje biczące forhendy i agresywne kończące bekhendy pokazywały, że naprawdę umiem grać. Używałem nawet

staroświeckiej drewnianej rakiety Donnay, takiej jaką grał Björn Borg, z maleńką główką, którą udało mi się w tej scenie połamać, gdy za mocno uderzyłem. Jason Priestley jako Brandon Walsh, zauważywszy moją kiepsko skrywaną furję, pyta mnie następnie, ile rakiet zużywam tygodniowo, a ja, w jednej z tych chwil, gdy sztuka naśladuje życie, odpowiadam mu: „Zależy, czyją twarz widzę na piłce”.

Nie mogłem uniknąć schodów, nawet gdy grałem fikcyjną postać w telewizyjnym serialu. Pod koniec tamtego odcinka występuję z Brandonem w scenie, w której pijany przystawiam broń do swojej twarzy, a później ląduję na zamkniętym oddziale psychiatrycznym – tylko część z bronią udawałem, reszta to Metoda.

Nie miałem jeszcze dwudziestu dwóch lat. Przez kilka lat występowałem gościnnie – serial tu, serial tam.

Ważne było to, że pracowałem. Pierwszym sporym przełomem okazała się rola w serialu *Second Chance*, choć przyćmił to fakt, kto w nim roli nie dostał.

Nadal uważam, że *Second Chance* miał świetne założenie: czterdziestoletni facet nazwiskiem Charles Russell ginie w wypadku poduszkowca (bo przecież takie rzeczy ciągle się zdarzają) i udaje się do biura Świętego Piotra. Jeśli na Charlesa czekającego na sąd padnie złote światło, pójdzie do nieba, jeśli padnie czerwone, trafi do piekła – lecz jeśli pojawi się światło niebieskie, jak to się dzieje w przypadku pana Russella, otrzymuje miano Błękitnego Latarnika, co oznacza, że nie wiedzą, co z nim zrobić. I tak oto Święty Piotr postanawia odesłać go na Ziemię, żeby spotkał się z piętnastoletnim sobą i przeprowadził swoją młodszą wersję przez życie oparte na lepszych decyzjach. Dzięki temu, gdy znów wsiądzie do poduszkowca w wieku czterdziestu lat i zginie po raz drugi, to, ponieważ był lepszym człowiekiem niż uprzednio, światło zmieni się z niebieskiego „nie mamy pojęcia, co z tobą zrobić” na „zero wątpliwości, witaj w złotej wieczności”. Czy możecie sobie wyobrazić doskonalszy

pomysł na duet aktorski ojca i syna? Mój ojciec i ja zgłosiliśmy się więc na przesłuchanie. Potem nastąpiła katastrofa – ja dostałem zielone światło, żeby zostać synem Błękitnego Latarnika, a on nie dostał żadnego.

– Chcą ciebie. Mnie nie chcą – powiedział ojciec, gdy usłyszał wiadomość.

Spojrzenie, które mu rzuciłem, było chyba na tyle niejasne – w końcu dostałem ogromną rolę, nawet jeśli on nie dostał, więc wyobrażam sobie, że moja mina łączyła smutek wynikający z jego porażki i radość z mojego sukcesu – że dodał:

– Czy muszę to powtórzyć? Chcą ciebie. Mnie nie chcą.

Pomijając zranione uczucia mojego ojca, właśnie załatwiłem sobie swój pierwszy serial telewizyjny. Miałem siedemnaście lat i zarabiałem pięć kawałków tygodniowo. Moje ego wystrzeliło w kosmos; uznałem, że jestem zajebisty. O *Second Chance* też tak wszyscy myśleli. W tamtym sezonie serial trafił na dziewięćdziesiąte trzecie miejsce w rankingu liczącym dziewięćdziesiąt trzy pozycje. W ostatnich dziewięciu odcinkach (po początkowych trzynastu) zapomniano o całej tej historii ze Świętym Piotrem i Błękitnym Latarnikiem i serial opowiadał po prostu o mnie i moich kumplach oraz naszych rozmaitych przygodach. Nie miało więc znaczenia, że plasował się na końcu rankingu – spodobałem się komuś ważnemu na tyle, żeby uczynił mnie osiłą serialu, co tylko rozbuchało moje ego do epickich rozmiarów. I być może utorowało mi drogę do późniejszego sukcesu.

Mój ojciec uporał się z tą nowiną w ten sposób, że nie przyszedł na żadne nagranie poza ostatnim. Miał swoje powody, jak sądzę.

Dzięki temu doświadczeniu dostawałem potem rozmaite gościnne role, a dwa lata później trafiłem do serialu z udziałem Valerie Bertinelli. Serial ten, zatytułowany *Sydney*, opowiadał o wyczynach Valerie w roli prywatnego detektywa, a ja grałem jej nawijającego jak katarynka brata – to wszystko, co musicie wiedzieć o tych trzynastu odcinkach (emisję

Sydney przerwano w połowie sezonu). Ale choć nie udało mu się zachwycić publiczności, nigdy nie zapomnę dwóch rzeczy związanych z tym serialem.

Przede wszystkim, prawnika i obiekt westchnień Valerie grał aktor o nazwisku Craig Bierko – niemal natychmiast po spotkaniu z Craigiem na planie zadzwoniłem do Hanka Azarii i powiedziałem mu: „On gada jak my!”, co było największym komplementem, jakim mogłem kogoś obdarzyć. Ale zanim zdążyłem naprawdę zrozumieć, jak zabawny był Craig, wydarzyła się jeszcze jedna rzecz, o której muszę wam powiedzieć – na planie *Sydney* zakochałem się jak wariat w Valerie Bertinelli, która wyraźnie tkwiła w nieszczęśliwym małżeństwie i naprawdę kręciła ją uwaga dwóch najzabawniejszych facetów na świecie, adorujących ją i zalewających swoją uwagą.

Valerie Bertinelli – te siedem sylab kiedyś poruszało każdą część mojej duszy i nie tylko.

Na początku lat dziewięćdziesiątych nie było bardziej atrakcyjnej osoby od Valerie. Nie tylko była olśniewająca i pełna życia, ale miała też ten wspaniały, donośny, uroczy śmiech, którego Craig i ja pragnęliśmy słuchać przez cały dzień. A teraz, gdy Craig i ja dostaliśmy role, było to tak, jakby Valerie zyskała dwóch nowych klaunów do zabawy, a my rzuciliśmy się w to bez opamiętania. Cała nasza trójka świetnie się bawiła.

Ale dla mnie granie w *Sydney* i wygłupianie się z Valerie było czymś więcej niż zwykłą zabawą – to była poważna sprawa. Musiałem ukrywać swoje uczucia do niej podczas pracy (nie był to ostatni raz, gdy tak się zdarzyło), co było dramatycznie trudne. Moja słabość do niej osłabiała mnie; Valerie nie tylko była zdecydowanie poza moim zasięgiem, ale była też żoną jednej z najśłynniejszych gwiazd rocka na świecie: Eddiego Van Halena. Gdy kręciliśmy *Sydney*, zespół Eddiego, Van Halen, właśnie nagrał drugi z czterech albumów z rzędu, które stały się numerem jeden – byli prawdopodobnie najważniejszym zespołem na Ziemi pod koniec lat

osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych, a Eddie w tamtym czasie był prawdopodobnie najwspanialszym gitarzystą rockowym na świecie.

Jeśli chodzi o mnie, cóż, zawsze byłem w stanie zaciągnąć kogoś do łóżka, bo potrafiłem rozśmieszyć kobiety, ale wiedziałem, że zabawni goście muszą ustąpić pola muzykom. (W świecie muzyki również obowiązuje pewna hierarchia – twierdzą, że basiści zaliczają pierwsi, bo są powściągliwi i opanowani, a ich palce poruszają się delikatnie, lecz zdecydowanie [z wyjątkiem Paula McCartneya; on nigdy nie zaliczał jako pierwszy]; potem są perkusiści, bo to sama moc i zacięcie; dalej gitarzyści, bo mają te fantazyjne solówki; a na końcu, co dziwne, wokalista i lider, bo choć stoi tam z przodu, nigdy nie wygląda do końca seksownie, gdy musi odrzucać głowę i pokazywać zęby trzonowe, żeby zaśpiewać wysokie dźwięki). Jakikolwiek by był właściwy porządek, wiedziałem, że jestem daleko w tyle za Eddiem Van Halenem – nie tylko był muzykiem, co oznaczało, że miał łatwiej niż zabawny koleś, ale był też mężem obiektu mojego pożądania.

Ważne jest, aby w tym miejscu podkreślić, że moje uczucia do Valerie były prawdziwe. Byłem całkowicie zauroczony – miałem na jej punkcie obsesję i snułem wyszukane fantazje o tym, jak porzuci Eddiego Van Halena i spędzi resztę życia ze mną. Miałem dziewiętnaście lat i mieszkałem w kawalerce na rogu Laurel Canyon i Burbank (w budynku zwanym, wyobraźcie sobie, Club California). Ale fantazje i pierwsze miłości nie znajdują się na nieruchomościach, nie znajdują się na niczym prawdziwym.

Nie miałem pieprzonych szans. Oczywiście.

A jednak... Pewnego wieczoru, gdy byłem w domu Valerie i Eddiego, po prostu siedziałem tam i wpatrywałem się w Valerie, starając się ją rozśmieszyć. Jeśli ci się to udało, czułeś się, jakbyś miał dwa metry wzrostu. Z upływem wieczoru stało się jasne, że Eddie trochę zbyt intensywnie porozkoszował się owocami winorośli, po raz kolejny,

i w końcu po prostu odpłynął, nie dalej niż trzy metry od nas, ale jednak. To była moja szansa! Jeśli myślicie, że naprawdę nie miałem żadnych szans, to się mylicie, drodzy czytelnicy – Valerie i ja zaliczyliśmy wtedy długą sesję wyrafinowanych pocałunków. To się naprawdę działo – być może ona czuła to samo, co ja. Wyznałem jej, że myślałem o tym od dawna, a ona odpowiedziała tym samym. Gdy „Niebo” się skończyło, wskoczyłem do swojej czarnej hondy crx i ruszyłem do Club California, tak twierdząc, że mógłbym podeprzeć członkiem Krzywą Wieżę w Pizie, i z dziewiętnastoletnią głową pełną marzeń o życiu spędzonym z obiektem mojej sympatii bądź obsesji.

Następnego dnia opowiedziałem o tym Craigowi Bierko, a on dał mi rozpaczliwie potrzebną radę i nakreślił rzeczywistość, choć była to rada, której nie byłem gotowy przyjąć.

– Uważaj – powiedział.

„Po prostu jest zazdrosny” – pomyślałem, przygotowując się do następnego dnia na planie, lecz tym razem z Valerie jako moją nową dziewczyną.

Następny dzień w pracy wyglądał jednak inaczej, niż oczekiwałem. Valerie ani słowem nie wspomniała o tym, co się wydarzyło, i zachowywała się – słusznie – jakby to był zwyczajny dzień. Szybko załapałem i też wszedłem w rolę, ale w duchu byłem zdruzgotany. Wiele przeplakanych nocy i spędzanie większej części dni na odsypianiu kaca w mojej maleńkiej przyczepie – nie wspominając o wielu godzinach, gdy przyglądałem się, jak rola Craiga jako obiektu miłości Valerie w serialu rośnie – sprawiły, że stałem się bardzo smutnym, rozczarowanym nastolatkiem. Serial poniósł klęskę, a ja poczułem ogromną wdzięczność, gdy cztery tygodnie po tamtej pamiętnej nocy *Sydney* anulowano i nie musiałem już widywać Valerie.

Ona oczywiście nie zrobiła niczego złego, ale konieczność spotykania się z nią codziennie i udawania, że wszystko jest w porządku, za bardzo

przypominała mi codzienność z moją matką w Ottawie.

Przez całe życie pociągały mnie niedostępne kobiety. Nie potrzeba dyplomu z psychologii, żeby wysnuć wniosek, że miało to coś wspólnego z moją relacją z matką. Hipnotyzowała swoją obecnością wszystkich w każdym pomieszczeniu, do którego weszła. Gdy miałem sześć lat, byłem w jakiejś wytwornej sali bankietowej, a kiedy weszła tam moja matka – pamiętam to bardzo wyraźnie – wszyscy obrócili się w jej stronę. Chciałem, żeby odwróciła się i spojrzała na mnie, ale ona pracowała i nie mogła – rozgryzienie tego zajęło mi zaledwie trzydzieści siedem lat.

Od tamtej pory byłem uzależniony od „obrotu”. Gdy obrót nastąpił, mogłem zacząć rozśmieszać kobietę i sprawić, żeby zaczęła mnie pożądać. Po seksie nadchodziła rzeczywistość i zdawałem sobie sprawę, że w ogóle nie znam tych kobiet. Były dostępne, więc ich nie potrzebowałem. Musiałem znów wyjść i starać się zmusić kolejne, aby się obróciły. To dlatego przespałem się z tyloma kobietami. Próbowałem odtworzyć swoje dzieciństwo i wygrać.

Oczywiście wtedy nic z tego nie wiedziałem i myślałem po prostu, że coś jest nie tak z nimi. Niespodzianka, kochani – młodociany kanadyjski aktor miał poważny kompleks mamusi.

Ale miałem dziewiętnaście lat i życie dla wszystkich szybko biegło do przodu. Rok później Van Halen wydał album trafnie zatytułowany *For Unlawful Carnal Knowledge* [Za bezprawne stosunki cielesne], a ja wróciłem do prób podrywania kobiet w Formosie. I do starań, aby odtwarzać „obrót” tak często, jak się dało.

Czasem mi się udawało, ale za każdym razem wychodziłem za dwadzieścia druga w nocy, żeby pognać do najbliższego monopolowego po więcej wódki i pić dalej do rana. Siedziałem tam, opróżniałem butelkę (później już taką z uszkiem), oglądając *Dziewczynę na pożegnanie* czy nawet *Czysty i trzeźwy* z Michaeliem Keatonem (to dopiero zagwozodka), aż tak jak Eddiemu Van Halenowi urywał mi się film. W mojej głowie zaczęła też

kiełkować dokuczliwa myśl – nie jakaś potężna, ale jednak: „Pijesz co wieczór”, lecz szybko spłukiwał ją kolejny drink.

I każdego następnego dnia udawało mi się zawlec na lunch, gdzie spotykałem się z Craigiem Bierko, do dziś zdecydowanie najbliższym komikiem, jakiego spotkałem. Myślałem, że ja jestem błyskotliwy, ale Craig Bierko bił mnie na głowę. Hank Azaria został najbogatszym z naszej grupy, ponieważ podkładał głosy do *Simpsonów* (serial miał premierę w 1989 roku). Ja miałem być najślawniejszy, a David Pressman został rzemieślnikiem aktorstwa, jak jego ojciec, Laurence Pressman, oraz tym najbardziej szalonym z nas. David uwielbiał na przykład wbiegać do supermarketu z okrzykiem: „Mam straszne problemy, niech mnie ktoś ogoli!”, po czym stamtąd wybiegał. (Robił tak jeszcze grubo po czterdziestce; czasem dołączałem do niego i rozbieraliśmy się w miejscach publicznych, ale po trzydziestce przestałem, bo przecież jestem tym dojrzałym).

Do dziś nikomu nie udało się rozśmieszyć mnie tak jak Craigowi. Bycie zabawniejszym niż trio złożone z Hanka, Davida i mnie było praktycznie niemożliwe, ale Craig to potrafił. Bycie zabawniejszym niż Hank i ja bez Davida też było niespotykane, ale to też się Craigowi udawało. Wychodziliśmy na lunch, a on mówił coś tak zabawnego, że jeszcze kwadrans po lunchu, kiedy wracałem samochodem do domu, musiałem zjechać na pobocze, bo tak się zaśmiewałem, a gdy Craig mnie mijał i widział, jak się śmieję, wiedział, o co chodzi. Nie było nikogo zabawniejszego od niego. Nikogo.

Drugą rzeczą, która napędzała naszą przyjaźń, poza staraniami, aby być tym najbardziej błyskotliwym i najzabawniejszym, była sława – wszyscy byliśmy absolutnie zdesperowani, aby ją osiągnąć. Hank jako głos *Simpsonów* miał najbardziej lukratywną fuchę, ale nie była to kariera Ala Pacino, jakiej pragnął. Jeśli chodzi o mnie, no cóż, zagrałem w masie seriali telewizyjnych, ale w niczym, co przyniosłoby mi choć odrobinę

sławy... a sława, sława, sława była wszystkim, czego pragnął każdy z nas. W przerwach od śmiechu – i po tym, jak podzieliliśmy się już najnowszymi opowieściami o nieudanych przesłuchaniach czy scenariuszach, które przeczytaliśmy i które okazały się beznadziejne – cichsze chwile wypełniały głębokie zmartwienie, milczenie, tęsknota i lęk, że nigdy nam się nie uda, że sława jakoś przejdzie pomimo. Byliśmy czterema zabawnymi facetami o silnym ego, bon moty fruwały jak szrapnele, ale bitwa toczyła się dalej: bitwa o sławę.

Mocno trzymałem się przekonania, że sława wypełni tę pustkę we mnie, której nie chciała wypełnić Valerie. Ale teraz zostaliśmy tylko wódka i ja, i staraliśmy się bez powodzenia wykonać to najwyraźniej niewykonalne zadanie. Gdy sława w końcu się pojawiła, no cóż... dojdziemy do tego wkrótce.

Raz całowałem się z Davidem Pressmanem, czy też próbowałem, chociaż nie miałem zamiaru tego robić... nieważne.

Gdy mieliśmy po dwadzieścia parę lat, wybraliśmy się w kilku na wschód, do Vegas, z zamiarem zrobienia tego, co się robi w Vegas. Byliśmy praktycznie bez grosza, ale to nigdy nie powstrzymało czterech idiotów przed wyprawą do Miasta Grzechu. Miałem w kieszeni jakieś dwieście dolców; wynajęliśmy we czwórkę pokój z dwoma łózkami w motelu przy Las Vegas Strip. Dzieliłem łóżko z Davidem; w nocy chyba przyśniła mi się Gaby, moja była, i zacząłem przystawiać się do Davida, powtarzając takie rzeczy jak: „Ooo, mała” i „Ładnie pachniesz” czy „Streszczę się, obiecuję”. On też litościwie spał, ale jego podświadomość miała potrzebne środki, żeby powtarzać: „NIE!” i „Odsuń się!” oraz „Zostaw mnie w spokoju, do cholery!” W końcu zacząłem całować go po karku, co sprawiło, że obaj nagle się ocknęliśmy – na widok jego przerażonej miny powiedziałem tylko: „Zapomnij o tym” i wycofałem się szybko na swoją stronę łóżka.

Wyraźnie wszyscy potrzebowaliśmy się wyluzować.

Pierwszego wieczoru poszliśmy do kasyna i jakoś tak mi się poszczęściło, że wygrałem dwa tysiące sześćset dolarów w blackjacka. Żaden z nas nigdy nie miał przy sobie takiej gotówki.

Nadszedł czas, żeby niemądrze ją wydać.

Uniosłem ręce i jak król wykrzyknąłem:

– Załatwię wszystkim bzykanko!

Taksówkarz wywiózł nas za miasto, na pustynię, do miejsca o nazwie Dominions. Obiecywał, że tam zaspokoimy nasze potrzeby (przypuszczalnie dostawał dolę za każdą grupę młodych naiwniaków, których odstawiał do Dominions). Facet bez szyi poinformował nas, że aby w ogóle wejść do tego szlachetnego przybytku, ktoś musi rzucić przynajmniej tysiaka, a ponieważ dobrze mi poszło przy stolikach, ten zaszczyt przypadł mnie. Wyłożyłem tysiąc sześćset dolarów na butelkę szampana, a wtedy odprowadzono nas do osobnych, kwadratowych pokoików, gdzie na każdego z nas czekała młoda dama.

Sądziłem, że tysiąc sześćset dolarów, które już zdążyłem wydać, wystarczy na to, co, jak miałem nadzieję, teraz nastąpi, ale niestety się rypnąłem. Poza tym nie mogłem liczyć na żadne inne rypanie, jeśli nie zaproponuję kolejnych trzystu, co oczywiście zrobiłem, ale zanim zdążyłem zostać absolwentem tej wieczornej edukacji, w moich drzwiach stanęli David Pressman i pozostali dwaj goście, którzy potrzebowali własnych trzystudolarowych stypendiów. Zaspokoiwszy ich potrzeby finansowe, wróciłem do rzeczy. (Nie wpadłem na to, żeby to obliczyć, ale podam wam na wypadek, gdybyście potrzebowali: zacząłem od dwustu dolarów, wygrałem dwa tysiące sześćset, wybuliłem tysiąc sześćset na szampana i zapłaciłem po trzysta za każdego, co daje sumę dwóch tysięcy ośmiuset dolarów – wszystko, co miałem).

Gdy zobowiązania finansowe zostały uregulowane, młoda dama zaczęła dla mnie tańczyć, daleko po przeciwnej stronie pokoju, i choć wirowała w sposób, który był zupełnie do przyjęcia, nawet jeśli nieco w stylu lasek

z klubu Roxbury, ja byłem gotów przenieść nasz związek na następny poziom.

– O co chodzi, do cholery? – spytałem oględnie.

– Co? – odparła.

– Co?! Powinniśmy uprawiać seks! – wyjaśniłem. – Wydałem tu małą fortunę!

Potem z jakiegoś powodu wyjaśniła mi, że mogę ułożyć poduszki, gdzie tylko zechcę.

– To cudownie i bardzo się cieszę, serio, ale czy nie powinniśmy teraz zajmować się czymś innym? – spytałem błagalnie.

– Jesteś z policji?

– Nie! – odparłem, chociaż zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem do nich zadzwonić, żeby zgłosić oszustwo. – Przecież zapłaciłem ci tyle kasy... Mieliśmy umowę...

– Och! – przerwała mi. – To było tylko za taniec...

W tym momencie łomotanie do drzwi zwróciło moją uwagę na fakt, że moi kumple zderzyli się z tym samym rozczarowującym losem. Ale ponieważ w tym momencie byliśmy kompletnie spłukani, czterech wyruchanych (i niewyruchanych zarazem) frajerów ze łzami w oczach wyszło w atramentową czerń pustyni Mojave i rozpoczęło długą pieszą wędrówkę do motelu.

Jeden z moich przyjaciół, Nick, następnego dnia zabrał swoją dziewczynę na *Młode strzelby II*, a to już coś. W pierwszej części było wiele pytań bez odpowiedzi.

W 1994 roku Craig Bierko był gorącym towarem w tym szczególnym sezonie pilotów. Wszyscy biegaliśmy na przesłuchania do najnowszego zestawu sitcomów i seriali obyczajowych, ale to Craiga wszyscy się domagali. Poza tym był bardziej elokwentny ode mnie. Był też ode mnie znacznie przystojniejszy, ale nie zagłębiajmy się w to – nie chcemy mieć na

sumieniu chlipiącego autora. Powinienem go nienawidzić, ale bycie zabawnym zawsze wygrywa, więc postanowiłem dalej go kochać.

Miałem dwadzieścia cztery lata i już nie stawiałem się na połowie przesłuchań. Rozpraszałem się jako aktor. Picie powoli, lecz zdecydowanie wygrywało z przesłuchaniami, a poza tym nikt tak naprawdę się mną nie interesował. Nie dostawałem żadnych ról filmowych, a role w produkcjach telewizyjnych nieszczerze zadziwiały świat. Przez połowę czasu miałem kaca, przez resztę właśnie zmierzałem na lunch albo do Formosy. Pewnego dnia mój menedżer posadził mnie i powiedział, że ludzie, których śladem pragnę pójść – Michael Keaton, Tom Hanks – mają nastawienie, do którego powinienem dążyć. Poza tym świetnie się prezentowali, a do niego codziennie docierały wieści od kierowników castingów i producentów, że wyglądam nieciekawie.

Hank też zaczął się martwić, że marnuje swoje życie, i przestał przychodzić do Formosy i na wesołe lunche – zawsze bardzo poważnie traktował swoje ciało i karierę.

Nie powinno mnie to zdziwić, ale nagle zadzwonił do mnie mój ówczesny menedżer finansowy.

– Matthew, skończyły ci się pieniądze.

– A może by tak jakieś ostrzeżenie? – powiedziałem, śmiertelnie przerażony. – Nie przyszło ci do głowy, żeby mnie uprzedzić parę miesięcy wcześniej? No wiesz, zadzwonić i powiedzieć: „Cześć, Matthew, twoje finanse wyglądają nieco *anemicznie*”, zamiast czekać do chwili, gdy będę splukany?

Po drugiej stronie zapadła cisza, jakby pilnowanie czyichś dochodów, *zanim* ta osoba zbankrutuje, było zupełnie świeżą koncepcją dla menedżera finansowego.

Na szczęście miałem dość energii, żeby zaklepać sobie rolę w pewnym okropnym pilocie. Rzuciwszy słuchawkę mojemu teraz już byłemu menedżerowi finansowemu, obdzwoniłem agentów i powiedziałem, że

skończyła mi się kasa, więc potrzebuję roboty, jakiegokolwiek, czegokolwiek, i to natychmiast.

Jeśli, mili czytelnicy, wyobrażacie sobie, że tak dostałem rolę w *Przyjaciółkach*, nie podniecajcie się. Tamta rozmowa doprowadziła mnie do roli w serialu, który o mało nie sprawił, że mógłbym nigdy nie trafić do *Przyjaciół*.

L.A.X. 2194 był „komedią science fiction” o bagażowych z międzynarodowego lotniska w Los Angeles. Można by tak naprawdę na tym poprzestać, ale to nie wszystko: te liczby w tytule zdradzają nieoczekiwany zwrot – akcja toczyła się za dwieście lat, w przyszłości, a pasażerami byli kosmici. Główną rolę grał Ryan Stiles, jako robot i kierownik biura mówiący z dziwnym akcentem (serio, Ryan jest przezabawnym aktorem, ale o co chodziło z tym akcentem?), a ja byłem biednym facetem, który musiał przewodzić w tym bałaganie i załatwiać problemy z bagażem przybywających kosmitów, których grały osoby niskorosłe w idiotycznych perukach.

Jeśli to wszystko wydaje się przytłaczające, wiedzcie, że było o wiele gorzej. Przede wszystkim musiałem nosić futurystyczne wdzianko. Pomimo moich obaw (powtórzę: była to „komedia” o bagażowych, której akcja działa się za dwieście lat, a obcych grały osoby niskorosłe) dostałem za pilota dwadzieścia dwa i pół tysiąca dolarów, więc na jakiś czas byłem ustawiony, jeśli chodziło o drinki i jedzenie w Formosie... ale miało to także inne konsekwencje: ponieważ byłem związany z *L.A.X. 2194*, zniknąłem z rynku dla wszystkich innych produkcji.

Potem wydarzyła się katastrofa i nie mówię o tym, że postanowiono nakręcić cały sezon *L.A.X. 2194* – do tego, Bogu dzięki, nigdy nie doszło. Stało się to, że scenariusz nowego serialu zatytułowanego *Friends Like Us* został najbardziej rozchwytywanym tekstem tego sezonu. Wszyscy, którzy go czytali, wiedzieli, że będzie świetny; sam po przeczytaniu go

natychmiast zadzwoniłem do tych samych agentów, którzy ogarnęli mi *L.A.X. 2194*.

– Musicie załatwić mi rolę we *Friends Like Us* – powiedziałem.

– Nie ma szans – odparli moi agenci. – Jesteś związany z serialem o bagażowych. Zmierzyli cię już, żeby załatwić ci futurystyczne wdzianko i tak dalej.

Byłem zdruzgotany. Gdy przeczytałem scenariusz *Friends Like Us*, poczułem, jakby ktoś chodził za mną przez rok, kradnąc moje żarty, kopiując moje idiosynkrazje, kserując moje cyniczne, lecz dowcipne podejście do życia. Zwłaszcza jedna postać wydała mi się ciekawa: nie chodziło o to, że uważałem, iż mógłbym zagrać Chandlera. Ja byłem Chandlerem.

Ale byłem też Blainem w *L.A.X. 2194*. Ja pierdołę, czy wszyscy sobie żartują? Czy mam największego pecha ze wszystkich ludzi na świecie?

Potem było już tylko gorzej. Ponieważ *Friends Like Us* był gorącym towarem sezonu, wszyscy czytali scenariusz, wszyscy chodzili na przesłuchania i wszyscy, jak się zdawało, uznali, że Chandler był dokładnie taki jak ja, więc przychodzili do mojego mieszkania z prośbą o pomoc przed przesłuchaniami. Kilka osób nawet całkiem daleko zaszło, opierając się tylko na moich wyborach. Hank Azaria uznał, że serial jest tak dobry, iż zgłosił się na przesłuchanie dwa razy, do roli Joeya. Zgadza się – wziął udział w przesłuchaniu, odpadł, a potem ubłagał, żeby pozwolono mu jeszcze raz zgłosić się na przesłuchanie, i odpadł ponownie. (Później Hank zagrał w kilku odcinkach faceta Phoebe, za co dostał Emmy. Ja zagrałem w dwustu trzydziestu siedmiu odcinkach i nie dostałem żadnej nagrody).

Koniec końców znałem scenariusz do *Friends Like Us* praktycznie na pamięć, bo tyle razy przećwiczyłem go z kumplami – czasem nawet odgrywałem dla nich Chandlera i mówiłem, żeby naśladowali to, co robię, tak pewny byłem tego, że właśnie tak należy go zagrać. I nadal dzwoniłem do swoich agentów co trzy czy cztery dni, błagając o szansę.

Zapominamy jednak o Craigu Bierko, hicie LA. Pewnego ranka ściągnął Hank i mnie na śniadanie, a gdy weszliśmy, zobaczyliśmy Craiga siedzącego przy stoliku z otwartymi przed nim dwoma scenariuszami.

– Chłopaki – powiedział Craig – dostałem propozycje ról w dwóch serialach. Oba reżyseruje Jim Burrows, najlepszy reżyser w Hollywood. Jeden nosi tytuł *Best Friends*, a drugi to...

„Zaczekaj, nie mów, proszę, nie mów tego...”

– *Friends Like Us*.

Zaproponowano mu rolę Chandlera. Głowa mi eksplodowała.

– I musicie mi doradzić, którą mam przyjąć.

W pierwszym odruchu chciałem mu powiedzieć, żeby zabrał te swoje fuchy i poszedł się jebać. Ale był moim przyjacielem, więc Hank i ja zgodziliśmy się spełnić jego prośbę. Tamtego ranka wszyscy trzej przeczytaliśmy oba scenariusze, chociaż znałem już *Friends Like Us* na pamięć i było jasne, którą rolę powinien wziąć. Serce mi zamarło, bo wiedziałem, że jestem Chandlerem, ale też nie byłem dupkiem. Czułem się zdruzgotany. Obaj poradziliśmy Craigowi, żeby wybrał *Friends Like Us*.

(To przypomniało mi dialog z mojego odcinka *Beverly Hills, 90210*:

BRANDON: A co z przyjaciółmi?

ROGER: Przyjaciółmi? Mój ojciec mówi, że tylko im nie można ufać.

BRANDON: Zawsze go słuchasz?

ROGER: Nie).

Lunch zbliżał się do końca i nadszedł czas, aby Craig powiedział swoim agentom, co zdecydował. Hank pożegnał się i poszedł na siłownię, bo on ciągle chodził na siłownię, a ja poszedłem z Craigiem poszukać budki telefonicznej. (Żadnych komórek, ludzie, to był rok 1994). Najbliższa znajdowała się pod sklepem Freda Segala (tym samym, który, co ciekawe,

pojawia się też w moim odcinku *Beverly Hills, 90210*). Craig wrzucił parę monet do automatu, wystukał numer i czekał. W końcu go połączyli.

A potem stałem pół metra od Craiga i słuchałem, jak wybiera TEN DRUGI SERIAL! Nie mogłem uwierzyć swoim uszom. I tak nowy główny bohater *Best Friends* i ja pożegnaliśmy się. Pognałem do domu, żeby po raz kolejny zebrać o przesłuchanie do *Friends Like Us*.

Kilka tygodni później poszedłem na nagrania pilota *Best Friends* – serial był zabawny, Craig też był zabawny i grał główną rolę, której naprawdę chciał. Był to całkiem dobry, uroczy serial. Ale ostatnia dostępna rola w całym sezonie pilotów roku 1994, rola Chandlera we *Friends Like Us*, wciąż nie została obsadzona. A ja nadal byłem związany z tym pieprzonym futurystycznym serialem o bagażowych!

Kojarzycie sytuację, gdy czasem wszechświat ma dla was plany, w które trudno uwierzyć, gdy świat pragnie czegoś dla was, mimo że z całych sił staraliście się zamknąć tę drogę?

Witajcie w moim roku 1994.

Producentka z NBC, Jamie Tarses – och, słodka, magiczna Jamie Tarses, tak bardzo mi jej brakuje – która pomagała w stworzeniu *Friends Like Us* w NBC, podobno pewnego wieczoru w łóżku zwróciła się do swojego ówczesnego męża, Dana McDermotta, producenta w telewizji FOX.

– Hej, czy ten serial *L.A.X. 2194* będzie kontynuowany? – zapytała.

– Nie, jest okropny – odparł Dan. – Przede wszystkim opowiada o bagażowych w roku dwa tysiące sto dziewięćdziesiątym czwartym, którzy noszą futurystyczne kamizelki...

– Czy w takim razie Matthew Perry jest dostępny?

(O ironio, Jamie i ja byliśmy później przez kilka lat parą, sporo czasu po jej rozwodzie).

Parę dni później dostałem telefon, który miał odmienić moje życie.

– Jutro masz się spotkać z Martą Kauffman w sprawie *Friends Like Us*.

Nie kłamię: od razu wiedziałem, że to będzie ogromny sukces.

To Marta Kauffman, wraz z Davidem Crane'em, w największym stopniu odpowiadała za to, co przekształciło się w *Przyjaciół*. Następnego dnia, a była to środa, przeczytałem dla niej Chandlera i złamałem wszystkie zasady – przede wszystkim nie przyniosłem ze sobą ani jednej strony scenariusza (na przesłuchaniu należy mieć przy sobie scenariusz, bo w ten sposób przyznajesz przed scenarzystami, że praca nadal jest w toku). Ale ja już wtedy świetnie znałem scenariusz. Oczywiście wypadłem znakomicie. W czwartek przeczytałem dla wytwórni i wypadłem znakomicie, a w piątek przeczytałem dla stacji. I znów wypadłem znakomicie. Czytałem tekst w nieoczekiwany sposób, podkreślając słowa, których nikt inny nie akcentował. Znów byłem w Ottawie, z Murrayami; wywoływałem śmiech tam, gdzie nikomu innemu się nie udało.

Próbowałem rozbawić matkę.

I tak narodził się Chandler. To była teraz moja rola i nikt nie mógł tego powstrzymać.

W sezonie pilotów nowych seriali roku 1994 wybrano ostatniego aktora: Matthew Perry'ego jako Chandlera Binga.

Ten telefon u Freda Segala i pragnienie Craiga, aby zostać gwiazdą własnego serialu zamiast częścią grupy, uratowały mi życie. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby tamta rozmowa przebiegła inaczej. Nie jest to całkiem nieprawdopodobne, że mógłbym skończyć na ulicach centrum Los Angeles i ładować heroinę w żyłę aż do swojej przedwczesnej śmierci.

Pokochałbym heroinę – było to moje uzależnienie od opiatów w wersji na sterydach. Często mawiałem, że zażycie oxycontin przypomina zastąpienie krwi ciepłym miodem. Ale wyobrażam sobie, że w przypadku heroiny sam stajesz się miodem. Uwielbiałem uczucie, jakie dawały opiaty, ale coś w słowie „heroina” zawsze mnie przerażało. I to dzięki temu strachowi nadal żyję. Są dwa rodzaje narkomanów: tacy, którzy chcą się

nakręcić, i ci, którzy chcą się wyczilować. Nigdy nie rozumiałem gości od koksu – dlaczego ktokolwiek chciałby czuć się jeszcze bardziej obecny, bardziej zajęty? Ja pragnąłem wtopić się w kanapę i z tym cudownym uczuciem bez końca oglądać filmy. Byłem spokojnym narkomanem, nie w typie słonia w składzie porcelany.

Jasne, bez *Przyjaciół* mogłem zrobić karierę jako autor sitcomów – napisałem już pilota o tytule *Maxwell's House*, ale chociaż miałem pewien talent, scenariusz się nie sprzedał. Ale nie było możliwości, żebym został aktorem rzemieślnikiem. Nie wystarczyłoby mi to, żebym pozostał trzeźwy; nie było warte rezygnacji z heroiny. *Przyjaciele* okazali się tak dobrą i fajną robotą, że przynajmniej na chwilę ograniczyli wszystko. Byłem drugim bazowym New York Yankees. Nie mogłem tego spieprzyć. Nigdy bym sobie nie wybaczył.

Gdy zarabiasz milion dolarów tygodniowo, nie możesz sobie pozwolić na siedemnastego drinka.

Jakieś trzy tygodnie przed przesłuchaniem do *Przyjaciół* siedziałem sam w swojej kawalerce na rogu Sunset i Doheny, na dziewiątym piętrze – mieszkanie było bardzo małe, ale oczywiście miało wspaniały widok – i czytałem artykuł o Charliem Sheenie. Sheen znów wpakował się w jakieś kłopoty, ale pamiętam, że pomyślałem wtedy: „Co go to obchodzi – przecież jest sławny?”.

Nagle ukląknęłam, zacisnąłem powieki i zacząłem się modlić. Nigdy przedtem tego nie robiłem.

– Boże, możesz ze mną zrobić, co zechcesz. Tylko spraw, proszę, żebym stał się sławny.

Trzy tygodnie później dostałem rolę w *Przyjaciółkach*. A Bóg zdecydowanie dotrzymał swojej części umowy – lecz Wszechmogący, jak to Wszechmogący, nie zapomniał też o pierwszej części tej modlitwy.

Teraz, te wszystkie lata później, jestem pewny, że zostałem sławny po to, abym nie zmarnował całego życia na starania o sławę. Musisz być sławny, żeby wiedzieć, że to nie jest rozwiązanie. A nikt, kto sam nie jest sławny, tak naprawdę w to nie uwierzy.

Interludium. Trup

Kupiłem jej pierścionek z desperackiego lęku, że mnie zostawi. Nie chciałem być taki poharatany i samotny w covidzie.

Gdy poprosiłem ją o rękę, byłem na haju, po tysiącu ośmiuset miligramach hydrokodonu.

Poprosiłem nawet jej rodzinę o błogosławieństwo. Potem się oświadczyłem, nawalony jak messerschmitt. I na jednym kolanie. A ona też to wiedziała. I zgodziła się.

Siedziałem wtedy w Szwajcarii, na kolejnym odwyku. Tym razem w willi nad Jeziorem Genewskim, która miała swojego kamerdynera i szefa kuchni. Było to jedno z tych luksusowych miejsc, gdzie masz gwarancję, że nie spotkasz nikogo innego. (Co tym samym jest właściwie sprzeczne z celem każdego ośrodka odwykowego, o jakim słyszałem). Ale brak współtowarzyszy niedoli rekompensowała dostępność narkotyków, co z kolei, niestety, nie odróżniało go od innych kosztownych ośrodków odwykowych. Mógłbym zarobić krocie, gdybym pozwał te miejsca, ale to jeszcze bardziej zwróciłoby uwagę na moją sytuację, a tego nie chciałem.

Uciekłem się do swojej typowej sztuczki i zacząłem narzekać na silny ból brzucha, podczas gdy tak naprawdę nic mi nie dolegało (wprawdzie czułem się, jakbym non stop robił brzuski – a więc było to nieprzyjemne – ale nie był to Ból). Dali mi więc hydrokodon – tyle, żebym to poczuł – co okazało się dawką tysiąca ośmiuset miligramów dziennie. Dla porównania: jeśli złamałeś kciuk i trafiłeś na życzliwego lekarza bądź lekarkę, zapewne dostaniesz pięć tabletek po pół miligrama.

To nie wystarczyłoby, żeby ruszyć tego chłopa.

Codziennie dostawałem też wlewy z ketaminy. W latach osiemdziesiątych ketamina była bardzo popularnym narkotykiem. Dziś istnieje forma syntetyczna, stosowana z dwóch powodów: dla złagodzenia

bólu oraz w pomocy przy depresji. Jest na niej wypisane moje imię – równie dobrze mogliby ją nazywać „Matty”. Czułem się po niej, jakbym głęboko odetchnął. Wprowadzali mnie do pomieszczenia, sadzali, zakładali mi słuchawki, żebym mógł słuchać muzyki, zakładali mi opaskę na oczy i podłączali kroplówkę. To był ten trudny element – ciągle jestem lekko odwodniony, bo nie piję wystarczającej ilości wody (co za niespodzianka), więc znalezienie żyły nie było łatwe. Pod koniec przypominałem pieprzony igielnik. Do kroplówki dodawano odrobinę lorazepamu – który rzeczywiście czułem – a potem przez godzinę brałem kroplówkę z ketaminy. Gdy leżałem tam w całkowitej ciemności, słuchając Bon Iver, doświadczałem derealizacji i widziałem różne rzeczy – od tak dawna byłem w terapii, że nawet mnie to nie przerażało. Och, tam jest jakiś koniec? W porządku – niech sobie będzie... Gdy muzyka grała, a ketamina płynęła przeze mnie, wszystko skupiało się na ego i jego śmierci. Podczas tej godziny często wydawało mi się, że umieram. „Och – myślałem – czyli tak się czujesz, gdy umierasz”. A jednak ciągle zgłaszałem się na to gównu, bo było to coś innego, a wszystko, co inne, jest dobre. (Tak się składa, że jest to jedna z ostatnich kwestii w *Dniu świstaka*). Zażycie ketaminy przypomina oberwanie w głowę ogromną łopatą radości. Tylko kac był brutalny i cięższy od łopaty. Ketamina nie była dla mnie.

Gdy wracałem do pokoju, kamerdyner przynosił kolejne ubrania, w które się nie przebierałem, kucharz przyrządzał kolejny zdrowy posiłek, którego nie tykałem, a ja znów godzinami gapiłem się na Jezioro Genewskie, na totalnym pieprzonym haju. Ale nie był to dobry rodzaj haju. To było pijackie otumanienie, które mi się nie podobało.

Jakoś też doszło do tego, że byłem zaręczony.

W pewnym momencie geniusze z odwyku postanowili, że aby ulżyć mi w „bólu” żołądka, umieszczą mi w plecach jakieś dziwne medyczne ustrojstwo, ale do tego potrzebna była operacja. Nie zasnąłem więc przez całą noc, zażywszy tysiąc osiemset miligramów hydrokodonu przed

zabiegiem następnego dnia. Na sali operacyjnej dali mi propofol, wiecie, ten lek, który zabił Michaela Jacksona. Wtedy się dowiedziałem, że Michael Jackson nie chciał być na haju, chciał się odciąć. Zero przytomności. Kolejny mistrzowski talent, który zabrała nam ta straszna choroba.

O jedenastej rano dostałem zastrzyk. Obudziłem się jedenaście godzin później w innym szpitalu.

Okazało się, że propofol spowodował zatrzymanie akcji serca. Na pięć minut. Nie umarłem – ale nic nie biło.

Pozwolę sobie poprosić was, abyście przerwali lekturę tej książki na pięć minut – spojrzcie na telefon, zacznijcie w tym momencie.

[Wklejcie tu pięć minut swojego czasu]

Cholernie długo, co?

Powiedziano mi, że jakiś szwajcarski mięśniak nie miał ochoty, żeby koleś z *Przyjaciół* zmarł na jego stole, więc przez całe pięć minut mnie resuscytował, stukając i łomocząc w moją pierś. Gdybym nie występował w *Przyjaciółkach*, to czy przerwałby po trzech minutach? Czy *Przyjaciele* znowu uratowali mi życie?

Może i uratował mi życie, ale przy okazji złamał osiem żeber. Gdy leżałem tam w agonii, następnego dnia wmaszerował tanecznym krokiem lekarz prowadzący, z pewną siebie miną, i oznajmił:

– Tu nie dostanie pan żadnej ketaminy, a jeśli potrzebuje pan odwyku, mamy miejsce, do którego możemy pana wysłać.

– Przecież już jestem na pieprzonym odwyku! – wrzasnąłem i w rzadkim przejawie fizycznego gniewu przewróciłem stolik obok, zastawiony przyborami medycznymi. To przeraziło lekarza, który natychmiast wyszedł z sali. Przeprosiłem za bałagan i dałem stamtąd nogę.

(Ośrodek, o którym mówiłem, już przeprowadził szybki detoks, ale uśpili mnie na niewłaściwe dwa dni – pierwsze dwa [powinny to być dni trzeci i czwarty]. Gdy się ocknąłem, detoks akurat uderzył pełną parą i zszedłem z tysiąca ośmiuset miligramów do zera. Niewiele mogli na to poradzić kamerdyner i kucharz).

Te osiem złamanych żeber było, tak przy okazji, mniej więcej takim samym urazem, jakiego doznał rozgrywający New Orleans Saints, Drew Brees, podczas meczu w listopadzie 2021 roku przeciwko Tampa Bay Buccaneers. Brees złamał sobie kolejne trzy żebra tydzień później i przebił płuco – tylko po to, żeby być lepszym ode mnie – ale potem opuścił cztery mecze, więc uważam, że przynajmniej jesteście kwita. Co sprawia, że czuję się jak twardziel.

Pośród całego tego szaleństwa (ale przed epizodem z żebrami) spotkałem się z Adamem McKayem w sprawie ważnego filmu zatytułowanego *Nie patrz w górę*. Tego dnia nie było Chandlera – nie miałem weny. Nie mogłem się do tego zebrać. Pogadaliśmy tylko przez chwilę, a przed wyjściem powiedziałem bardzo spokojnie:

– Cóż, chciałbym ci pomóc, jak tylko mogę.

Adam odparł:

– Chyba właśnie to zrobiłeś.

Następnego dnia dostałem telefon, że mnie zatrudni – miał to być mój najważniejszy film. Była to obietnica odrobiny spokoju pośród burzy. Miałem zagrać republikańskiego dziennikarza. Trzy sceny z Meryl Streep. Tak, zgadza się. Udało mi się zagrać w scenie zbiorowej (między innymi z Jonah Hillem) w Bostonie, gdzie kręcono ten film – byłem wtedy na tysiącu ośmiuset miligramach hydrokodonu, ale nikt nie zauważył. Ale nie było szans, żebym mógł dalej grać z połamanymi żebrami, więc nigdy nie dotarłem do moich scen z Meryl. Zdruzgotało mnie to, ale za bardzo cierpiałem z bólu. Bóg jeden wie, jak Brees mógł dalej rzucać piłkę, ale nie

gra się scen z Meryl Streep z połamanymi zębami. A ja nie mogłem się uśmiechnąć, żeby nie bolało jak diabli.

Rola w *Nie patrz w górę* nie poszła zgodnie z planem, bo w moim życiu trwał pożar, ale była to dla mnie ważna lekcja: miałem szansę na zatrudnienie w czymś ważnym bez odgrywania szopki. Podczas tego spotkania Adam i ja byliśmy po prostu dwoma rozmawiającymi ze sobą facetami. Zachowam w pamięci tamtą chwilę, tamten dzień, tamtego człowieka. Co za porządny facet. I mam szczerą nadzieję, że nasze ścieżki znów się przetną (następnym razem upewnię się, że to rzeczywiście on).

Gdy nadszedł czas, aby opuścić Szwajcarię, wciąż brałem tysiąc osiemset miligramów oxy każdego cholernego dnia. Powiedziano mi, że po powrocie do Los Angeles nadal będę w stanie tyle dostać – a ja tego potrzebowałem, tylko po to, żeby zachować równowagę. Jak zwykle nie chodziło o bycie na haju; to było czyste odpieranie agonii. Wróciłem prywatnym odrzutowcem – nie było szans, żebym poleciał zwykłymi liniami lotniczymi, biorąc pod uwagę fakt, że cały świat rozpoznawał moją cholerną twarz – i kosztowało mnie to milutkie sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Po powrocie do LA poszedłem do swojej lekarki.

– Potrzebuję tysiąc osiemset miligramów dziennie – powiedziałem. Nie było sensu owijać w bawełnę.

– Och, nie – odparła. – Nie damy panu tyle. Nawet pacjenci onkologiczni dostają tylko sto miligramów.

To jedynie podkreśliło moją wdzięczność, że nie mam raka.

– Ale lekarz w Szwajcarii powiedział mi, że tyle dostanę po powrocie do domu.

– Och, oni może tyle podają – powiedziała – ale teraz ja tu rządę. Proszę, trzydzieści miligramów.

To nie było wystarczające. Czekały mnie straszne mdłości.

Mogłem zrobić tylko jedno: jeszcze tego samego wieczoru zarezerwowałem kolejny lot prywatnym odrzutowcem za sto

siedemdziesiąt pięć tysięcy i wróciłem do Szwajcarii.

– Musicie połączyć moją poranną i wieczorną dawkę.

– *Ich verstehe kein Englisch*⁷ – odparła szwajcarska pielęgniarka.

To może być problem. Moja pałaca potrzeba zmiany zasad kontra jej nieznajomość angielskiego. A to wszystko odbywało się w ramach jakiejś dziwnej niemiecko-angielskiej gry w kalambury.

Nie potrzebuję tabletki o szóstej rano. Potrzebuję jej w nocy, gdy robi się strasznie. Nie mogę znaleźć źródła tego lęku – jest uogólniony. Poza tym nie mogę spać, więc co noc negocjuję ze sobą. Myśli przychodzą tak szybko. Doświadczam też halucynacji słuchowych – słyszę głosy i rozmowy, a czasem nawet odpowiadam. Czasami też wydaje mi się, że ktoś chce mi coś podać, i wyciągam rękę, aby wziąć to nic od nikogo. Trzeźwy czy nie, ale to mnie trochę niepokoiło. Czy na domiar wszystkiego zwariowałem? To nie schizofrenia, po prostu cholerna masa głosów. Dowiaduję się, że głosy nie czynią mnie wariatem. Nosi to nazwę omamów słuchowych i ciągle przytrafia się różnym ludziom.

Na głosy nie ma lekarstwa. Oczywiście. Chociaż w sumie mam pewne lekarstwo, nazywa się ono „bycie kimś innym”.

Tak czy siak, potrzebowałem tych tabletek jako jednego strzału, na noc, bez oszczędzania żadnych na rano.

– Rano. Wieczorem. Razem – powiedziałem, pokazując na migi osiem tabletek w dłoni, zamiast jednej.

– *Nee, keine Ahnung*⁸ – odparła.

– Jutro rano. Zero tabletek. Teraz. Zamiast – dodałem, bardzo powoli.

– *Ich habe keine Ahnung, was Sie brauchen*⁹.

Ani ty, ani nikt inny – nikt nie wie, czego potrzebuję.

Po kolejnym powrocie do LA próbuję wytrzeźwieć i myślę: „Zaraz... jak to się stało, że się zaręczyłem? W moim domu mieszkają psy. Jak do tego

doszło?”.

Zapytałem jej rodziców, naćpany błagałem o jej rękę i tolerowałem psy.
Tak bardzo bałem się porzucenia.

Rozdział 4. Jakbym już tam kiedyś był

To było takie wyjątkowe, że miałem wrażenie, jakbyśmy wszyscy spotkali się w poprzednim życiu albo coś. Albo w przyszłym życiu, a z pewnością w tym. To był prawdziwy dzień. Ale dzień, z jakiego zrobione są marzenia.

Przez bardzo długi czas tak naprawdę nie chciałem za wiele mówić o *Przyjaciółach*. Po części dlatego, że zrobiłem też mnóstwo innych rzeczy, a wszyscy chcieli gadać tylko o Chandlerze – jak James Taylor, który musiał opowiadać o *Fire and Rain* (koszmarna opowiadka, jeśli słyszeliście, o co tam chodzi). Jak zespół, który nagrał genialny nowy album, ale na żywo wszyscy chcą słuchać tylko ich hitów. Zawsze podziwiałem Kurta Cobaina za to, że odmawiał grania *Smells Like Teen Spirit*, czy Led Zeppelin, którzy nie chcieli grać *Stairway to Heaven*. „New York Times” napisał kiedyś, że „*Przyjaciele*... kleją się [do Perry’ego] jak przepecona koszula”. Nie mieli racji – tak naprawdę to po prostu cholernie okrutne stwierdzenie – ale nie tylko oni tak myśleli. Byłem w czymś tak dobry, a jednak ponosiłem za to karę. W każdy piątkowy wieczór zostawiałem na scenie krew, pot i łzy – jak my wszyscy. I powinno to być coś dobrego, a nie coś, co dowodzi, że jest się wybitnym tylko w tym.

Nie narzekam. Jeśli już masz być zaszufadkowany w jakiejś roli, to jest to świetne rozwiązanie.

Ale w ostatnich latach zrozumiałem, co *Przyjaciele* znaczą dla ludzi. I od samego początku wiedzieliśmy, że to coś bardzo, bardzo wyjątkowego.

Byłem ostatnim aktorem obsadzonym w całym sezonie pilotów seriali w 1994 roku – właściwie dostałem tę robotę ostatniego dnia tamtego sezonu.

Gdy *L.A.X. 2194* znalazł się już, dzięki Bogu, we wstecznym lusterku, zyskałem wolność, aby stać się Chandlerem Bingiem. Poniedziałek po

piątku, gdy mnie zatrudniono, był pierwszym dniem mojego nowego życia – to była duża sprawa i chyba wszyscy tak czuliśmy, ponieważ wszyscy stawiliśmy się punktualnie. Matt LeBlanc był pierwszy, codziennie; Aniston ostatnia, codziennie. Samochody były coraz ładniejsze, ale kolejność pozostała ta sama.

Usiedliśmy przy stole. Wszyscy widzieliśmy się po raz pierwszy – oprócz mnie i Jennifer Aniston.

Jennifer i ja poznaliśmy się przez wspólnych znajomych jakieś trzy lata wcześniej. Natychmiast mnie zauroczyła (jak mogło być inaczej?), polubiłem ją i miałem wrażenie, że ona też jest zaintrygowana – może coś z tego miało wyniknąć. Wtedy dostałem dwie roboty jednego dnia – jedną było *Haywire*, program w rodzaju *America's Funniest Home Videos*, drugą sitcom. Zadzwoiłem więc do Jennifer i oznajmiłem:

– Tobie pierwszej chciałem o tym powiedzieć!

Zły pomysł – czułem tężęjący po drugiej stronie słuchawki lód. Gdy teraz o tym pomyślę, jasne jest, że mogła uznać, iż za bardzo ją lubię albo w niewłaściwy sposób... a ja tylko pogorszyłem sytuację zaproszeniem jej na randkę. Odmówiła (co bardzo utrudniło wyjście z nią na randkę), ale powiedziała, że chciałaby się ze mną zaprzyjaźnić, a ja jeszcze bardziej pogorszyłem pogorszenie, gdy wypaliłem:

– Nie możemy być *przyjaciółmi*!

Teraz, kilka lat później, o ironio, *jesteśmy* przyjaciółmi. Na szczęście, chociaż nadal mnie pociągała i uważałem, że jest wspaniała, tego pierwszego dnia byliśmy w stanie zapomnieć o przeszłości i skupić się na fakcie, że oboje dostaliśmy najlepszą robotę, jaką Hollywood mogło zaoferować.

Wszyscy pozostali byli dla mnie zupełnie nowi.

Courteney Cox miała na sobie żółtą sukienkę i była obezwładniająco piękna. O Lisie Kudrow słyszałem od wspólnego znajomego i okazała się równie olśniewająca, zabawna i niesamowicie błyskotliwa, jak powiedział

ten znajomy. Mattie LeBlanc był miłym i spokojnym gościem, a David Schwimmer miał niezwykle krótko przystrzyżone włosy (grał Poncjusza Piłata w swojej trupie teatralnej w Chicago) nad tą swoją twarzą zbitego psa i od razu okazał się niebywale zabawny, do tego ciepły, bystry i kreatywny. Po mnie to on proponował najwięcej żartów – ja pewnie podsuwałem z dziesięć dziennie, z czego dwa trafiały do serialu. Nie tylko dla swojej postaci – podrzucałem żarty dla wszystkich. Podchodziłem do Lisy i mówiłem:

- Wiesz, może byłoby zabawnie, gdybyś spróbowała powiedzieć to i to...
- A ona próbowała.

Reżyser, Jimmy Burrows, też był najlepszy w branży – wyreżyserował *Taxi* i *Zdrówko*. Instynktownie wiedział, że naszym Pierwszym Zadaniem powinno być poznanie się i wytworzenie chemii.

Od razu zaczęło iskrzyć.

Zawsze chciałem być tym jedynym zabawnym. Ale wtedy, w dojrzałym wieku dwudziestu czterech lat, szybko zrozumiałem, że lepiej jest, gdy wszyscy są zabawni. Widziałem już, że to będzie coś dużego; wiedziałem to od początku, ale nie powiedziałem nic głośno. Częściowo dlatego, że nie słyszy się, aby aktor spieprzył próbę czytaną tak strasznie, że uprzejmie prosi się go o wyjście minutę przed nagraniami. Ale to jutro – na razie Jimmy zabrał naszą szóstkę do mieszkania Moniki i poprosił, żebyśmy po prostu ze sobą porozmawiali. Tak też zrobiliśmy; gadaliśmy i żartowaliśmy: o związkach, karierach, miłościach, stratach. Właśnie wtedy zadzierzgnęła się między nami więź, która, o czym Jimmy wiedział, miała mieć zasadnicze znaczenie.

W szóstkę zjedliśmy lunch na świeżym powietrzu. Był piękny wiosenny dzień. Gdy jedliśmy, Courteney – wówczas jedyna naprawdę znana osoba z naszej grupy – powiedziała:

- Tu nie ma gwiazd. To praca zespołowa. Wszyscy powinniśmy być przyjaciółmi.

Biorąc pod uwagę jej status – zagrała w *Więzach rodzinnych* i *Ace Venturze*, wystąpiła gościnnie w *Kronikach Seinfelda* i zatańczyła z Bruce'em Springsteenem w teledysku do *Dancing in the Dark* – mogła zrobić wszystko; swobodnie mogła wtedy powiedzieć: „To ja jestem gwiazdą”. Do diabła, mogła zjeść lunch gdzie indziej, a my musieliśmy się z tym pogodzić. Zamiast tego po prostu powiedziała:

– Postarajmy się naprawdę i poznamy się.

Zauważyła, że to działało w *Kronikach Seinfelda*, i chciała, aby sprawdziło się też w przypadku *Przyjaciół*.

Zrobiliśmy więc tak, jak zasugerowała. Od tamtego pierwszego ranka staliśmy się nierozłączni. Jedliśmy razem każdy posiłek, graliśmy w pokera... Na początku byłem kawalarzem na całego, strzelałem żartami jak komediowa maszyna przy każdej okazji (zapewne ku irytacji wszystkich), starając się, aby wszyscy mnie polubili dla mojej zabawnej osobowości.

Bo dlaczego ktoś miałby mnie polubić z innego powodu? Piętnaście lat zajęło mi zrozumienie, że nie muszę być automatem do żartów.

Tamtego pierwszego popołudnia przydzielono nam garderoby, co ostatecznie nie miało znaczenia, bo nigdy w nich nie siedzieliśmy. Cały czas spędzaliśmy razem. Pamiętam, że gdy tamtego pierwszego wieczoru rozchodziliśmy się do samochodów i żegnaliśmy ze sobą, pomyślałem: „Jestem szczęśliwy”.

Nie byłem przyzwyczajony do tego uczucia.

Tamtego wieczoru obdzwoniłem znajomych (poza Craigiem Bierko, w związku z tym, co wcześniej zaszło) i opowiedziałem im, jaki cudowny dzień przeżyłem. Potem, zgodnie ze swoim zwyczajem, spędziłem kolejny wieczór w „koledżu” – Formosie. Pamiętam, że tamtego wieczoru powiedziałem, iż gram w serialu tak dobrym, że był lepszy niż cokolwiek,

o czego napisaniu mógłbym marzyć... Wszyscy moi przyjaciele cieszyli się moim szczęściem, ale ja poczułem jakąś zmianę.

Może wyrastałem z tej całej Formosy? Dostałem pracę, która miała odmienić moje życie, i musiałem – do diabła, rozpaczliwie *chciałem* – stawiać się rankiem, więc piłem o wiele mniej niż zwykle. W głębi mieszkania miałem nawet rower spinningowy i używałem go codziennie, dzięki czemu zgubiłem jakieś pięć kilo młodzieńczego/alkoholowego tłuszczu między pilotem a pierwszym odcinkiem.

Tamtej nocy poszedłem do łóżka z myślą: „Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę tam jutro”. Następnego ranka, gdy jechałem samochodem z rogu Sunset i Doheny przez Cahuenga Pass do siedziby Warner Bros. w Burbank, zorientowałem się, że w trakcie jazdy pochylałem się ku przedniej szybie. Tak bardzo chciałem znaleźć się już na miejscu.

Tak było przez kolejną dekadę.

Dzień drugi był ważny. Zgłosiliśmy się do nowego budynku – budynku nr 40 – na naszą pierwszą próbę czytania. Ale nadal wisiła nad nami myśl, że każdy z nas może jeszcze zostać zwolniony i zastąpiony kimś innym (Lisa Kudrow, na przykład, została początkowo obsadzona w roli Roz w serialu *Frasier*, ale zwolnił ją w trakcie przesłuchania nikt inny jak... reżyser *Przyjaciół*, Jimmy Burrows). Jeśli żart się nie udał albo coś było nie tak, no cóż, każdego można było wymienić, zanim jeszcze porządnie znalazł drogę do swojej garderoby.

Ale ja *znałem* Chandlera. Mogłem uścisnąć mu dłoń. *Byłem* nim.

(I cholernie przypominałem go z wyglądu).

Tamtego dnia w sali panował tłok – właściwie były tylko miejsca stojące. Przyszli tam scenarzyści, producenci, ludzie ze stacji. Musiało być ze sto osób, ale ja byłem bajerantem, i to doskonałym. Ponownie przedstawiono nas Marcie Kauffman, Davidowi Crane'owi i Kevinowi Brightowi – osobom

stojącym za serialem, które nas zatrudniły – i niemal od razu wszyscy poczuliśmy, że staną się dla nas namiastką rodziców.

Przed rozpoczęciem próby wszyscy przeszliśmy się po sali, aby się przedstawić i opowiedzieć, co robimy w serialu. Potem nadszedł czas na czytanie. Jak pójdzie? Czy chemia, którą dopiero zaczęliśmy tworzyć, pojawi się, czy byliśmy tylko sześciorgiem młodych beznadziejnych przypadków udających, że będzie to dla nas wielki przełom?

Niepotrzebnie się martwiliśmy – byliśmy gotowi, wszechświat był gotowy. Byliśmy profesjonalistami – kwestie wyfruwały z naszych ust. Nikt się nie pomylił. Wszystkie żarty trafiły na miejsce. Skończyliśmy przy burzliwych owacjach.

Wszyscy czuli zapach pieniędzy.

Obsada czuła zapach sławy.

Po czytaniu nasza szóstka wpakowała się do furgonetki i zawieziono nas na właściwy plan do studia Stage 24, gdzie mieliśmy rozpocząć próby. Ale to próba pod koniec dnia dobiła targu – żarty, chemia, scenariusz, reżyseria, wszystko było magiczne. Wszystkie elementy zdawały się łączyć w jedną przezabawną, przekonującą, potężną całość. A my wszyscy to wiedzieliśmy.

Serial miał odnieść sukces i odmienić życie wszystkich na zawsze. Przysięgam, że jeśli ktoś uważnie słuchał, mógł wtedy usłyszeć pyknięcie. To był odgłos spełnionych marzeń.

To było wszystko, czego, jak wówczas myślałem, pragnąłem. Rola we *Friends Like Us* miała zapełnić całą moją wewnętrzną pustkę. Do diabła z Charliem Sheenem. Będę tak sławny, że cały ból, jaki w sobie nosiłem, roztopi się jak szron w świetle słońca, a wszelkie nowe zagrożenia będą się ode mnie odbijać, ponieważ ten serial stanie się polem mocy, którym się osłonię.

W show-biznesie obowiązuje niepisane prawo, że aby być zabawnym, musisz albo *wyglądać* zabawnie, albo być starszym. A tutaj my, sześcioro atrakcyjnych ludzi, wszyscy dwudziestoparoletni, śpiewająco radziliśmy sobie ze wszystkimi żartami.

Tamtego wieczoru wracałem do domu, będąc w siódmym niebie. Nie było korków, miałem same zielone światła, a podróż, która zwykle zajmowała pół godziny, trwała piętnaście minut. Uwaga, która, jak czułem, zawsze mi umykała, miała wypełnić każdy kąt mojego życia, jak pokój oświetlony przez błyskawicę. Teraz ludzie mnie polubią. Będę w sam raz. Liczyłem się. Nie byłem zbyt emocjonalnie nachalny. Byłem gwiazdą.

Teraz nic nie mogło nas powstrzymać. Nikt w sali bankietowej nie musiałby się odwracać, żeby mnie zauważyć. Teraz wzrok wszystkich byłby zwrócony na mnie, nie na tę ładną kobietę idącą metr przede mną.

Ćwiczyliśmy przez resztę tygodnia i to wtedy zaczęliśmy zauważać coś jeszcze. Pracowałem jako aktor od 1985 roku i nigdy nie wydarzyło się to ani wcześniej, ani później, i było to piękne: nasi szefowie w żadnym calu nas nie tyranizowali. Panowała prawdziwie twórcza atmosfera. Mogliśmy proponować żarty i najlepszy żart zwyciężał, nieważne, kto go wymyślił. Kobieta od cateringu powiedziała coś zabawnego? Nie ma znaczenia, dopiszcie to. Dzięki temu byłem nie tylko aktorem, ale również kreatywnym autorem.

Twórcy serialu zabrali każdego z nas na lunch, żeby nas poznać i móc włączyć do serialu niektóre aspekty naszych prawdziwych osobowości. Podczas lunchu powiedziałem dwie rzeczy: po pierwsze, że chociaż nie uważałem, że jestem nieatrakcyjny, nie miałem za grosz szczęścia do kobiet i wszystkie moje związki zwykle zmierzały ku katastrofie, a po drugie, że niekomfortowo czułem się w ciszy – każdą chwilę milczenia musiałem przerwać żartem. A to stało się fundamentalną wymówką Chandlera Binga, żeby mógł być zabawny – doskonałe w przypadku sitcomu – do tego Chandler też nie miał powodzenia u kobiet (jak krzyczy do Janice, gdy ta

wychodzi z jego mieszkania: „Wystraszyłem cię! Powiedziałem za dużo; jestem niezdarny, beznadziejny i desperacko szukam miłości!”).

Ale pomyślcie, czy istnieje lepszy bohater sitcomu niż ktoś, kto niezręcznie czuje się w ciszy i musi przerywać milczenie żartem?

To wszystko było aż nadto prawdziwe, zarówno w przypadku Chandlera, jak i moim. Dość wcześnie podczas produkcji *Przyjaciół* zrozumiałem, że nadal potężnie bujam się w Jennifer Aniston. Nasze powitania i pożegnania zrobiły się niezręczne. A potem zadałem sobie pytanie: „Jak długo mogę na nią patrzeć? Czy trzy sekundy to za długo?”.

Ten cień jednak zniknął w gorącym blasku serialu. (Oraz jej porażającym braku zainteresowania).

Podczas wieczornych nagrań nikt nie popełniał błędów. Czasem powtarzaliśmy sceny, jeśli żart się nie udał – ale błędy? Po prostu nigdy się nie zdarzały. Tak wiele seriali ma nagrania wpadek z planu, ale na planie *Przyjaciół* powstało tylko kilka. Od pilota i dalej... Tak naprawdę tamten pilot był bezbłędny. Byliśmy jak New York Yankees: zręczni, profesjonalni, od samego początku w szczytowej formie. Byliśmy gotowi.

A ja mówiłem w sposób, w jaki nikt wcześniej w serialach komediowych nie mówił, podkreślałem dziwne elementy, wybierałem w zdaniu wyraz, o którym nigdy nie pomyślelibyście, że może być głównym akcentem, wykorzystując kadencję Murraya-Perry’ego. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że mój sposób mówienia przesączy się do kultury w kolejnych kilku dziesięcioleciach – na razie po prostu starałem się znaleźć interesujące sposoby podkreślenia kwestii, które już same w sobie były zabawne, ale uważałem, że mógłbym sprawić, żeby naprawdę zatańczyły. (Marta Kauffman miała później powiedzieć, że autorzy podkreślali słowo zwykle nieakcentowane w zdaniu tylko po to, żeby się przekonać, co z nim zrobić).

Nawet jeśli pojawiały się problemy z postaciami, byliśmy w stanie rozwiązać je na tyle, że te rozwiązania tworzyły własne kultowe momenty.

Gdy przeczytałem scenariusz po raz pierwszy, wiedziałem, że jest inny, bo był tak skupiony na bohaterach i inteligentny. Ale na samym początku Matt LeBlanc martwił się, że ponieważ był w scenariuszu tym zabójczym kobieciarzem w typie macho, Rachel, Monica i Phoebe nie zaprzyjaźnią się z nim, nie polubią go i przez to jego postać będzie mniej wiarygodna.

Nie pomagało to, że Matt był bardzo przystojny – miał wygląd aktora pierwszoplanowego, do tego stopnia, że gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, poczułem ukłucie zazdrości. Ale był taki miły i zabawny, że wszelka zazdrość szybko zniknęła – mimo to nie był w stanie znaleźć właściwej drogi do swojej postaci. Tylko on w serialu nie został właściwie dookreślony – był opisany jako przystojniak w stylu Pacina, bezrobotny aktor, więc tak to grał, ale to się nie sprawdzało. W pewnym momencie podczas przymiarek garderoby włożył brązowe skórzane spodnie, ale na szczęście wszyscy zabronili mu je nosić, zwłaszcza Marta, która była za sterem.

Potem nadszedł ten moment na początku nagrań, gdy Matt miał wymianę zdań z Courteney na temat dziewczyny, z którą się spotykał, i ich nieudanego seksu. Courteney pyta go, czy myślał o tym, żeby zająć się partnerką, a Joey po prostu nie rozumie tej idei. To właśnie w tamtej chwili zmienił się z kobieciarza w uroczego, bezużytecznego, głupiutkiego szczeniaczka. Podkreślał to poprzez stały żart, w którym ktoś mu coś powtarza, a on tego nie rozumie. Znalazł swoje miejsce w serialu, a była nim zasadniczo rola starszego, głupiego brata Rachel, Moniki i Phoebe. Wszystko było na swoim miejscu.

Czasem Matt przychodził do mojej garderoby, głównie podczas nagrań pierwszego sezonu, i pytał, jak ma wygłosić swoje kwestie. Odpowiadałem mu, a on schodził na dół i wypowiadał je znakomicie... ale zasłużył na nagrodę Most Improved Player, ponieważ w dziesiątym sezonie to ja przychodziłem do jego pokoju i pytałem *jego*, jak on wygłosiłby niektóre z *moich* kwestii.

To wszystko jednak miało dopiero nadejść. Na razie nagrywaliśmy odcinki przed jesienną emisją w 1994 roku. I na razie nikt nie wiedział, kim jesteśmy.

Gdy wszystkie odcinki zostały nagrane, pozostało tylko znalezienie naszego okienka w ramówce. W NBC wiedzieli, że mają coś wyjątkowego, więc umieścili nas między *Szaleję za tobą* a *Kronikami Seinfelda*. Było to doskonałe miejsce, wprost wymarzone. To było jeszcze przed czasami streamingu, więc godzina emisji była kwestią zasadniczą. Ludzie pędzili do domów, aby zdążyć na serial o ósmej czy dziewiątej wieczorem. I planowali życie wokół ulubionego serialu, nie na odwrót. Dlatego godzina w pół do dziewiątej w czwartki pomiędzy dwoma ogromnymi serialami była wielką sprawą.

Poleciliśmy do Nowego Jorku odrzutowcem należącym do wytwórni Warner Bros. na spotkania, na których mieliśmy zaprezentować serial partnerom. To podczas tej wycieczki powiedziano nam, że serial nosi teraz tytuł *Przyjaciele* (gdy zmienili nazwę, uznałem, że to okropny pomysł – nigdy nie twierdziłem, że jestem bystry), i *Przyjaciele* okazali się hitem także u partnerów – wszystko się układało. W Nowym Jorku świętowaliśmy, upijaliśmy się, imprezowaliśmy; później ruszyliśmy dalej, do Chicago, na kolejne spotkania i kolejne imprezy.

Potem musieliśmy przeczekać lato do emisji premierowego odcinka. Wypełniłem ten czas trzema godnymi uwagi rzeczami: hazardem w Vegas na rozkaz Jimmy'ego Burrowsa, samotną wyprawą do Meksyku i sesją pocałunków w kanciapie z Gwyneth Paltrow.

Poznałem Gwyneth po powrocie do Williamstown w Massachusetts. Grała tam w sztuce teatralnej, a ja odwiedzałem dziadka. Na jakiejś wielkiej imprezie wymknęliśmy się do schowka na szczotki i zaczęliśmy się całować. Oboje byliśmy jeszcze na tyle nieznani, że nie trafiło to do

tabloidów, ale w związku z tym Jimmy'emu Burrowsowi przypadło zadanie sprowadzenia mnie do rzeczywistości.

Po spotkaniach z partnerami stało się jasne, że serial będzie hitem, więc Jimmy zabrał nas wszystkich odrzutowcem do Vegas – po drodze obejrzelśmy pilotażowy odcinek *Przyjaciół* – a gdy dotarliśmy na miejsce, wręczył nam po sto dolarów i kazał postawić, i się zabawić, bo gdy jesienią serial zostanie wyemitowany, już nigdy więcej nie będziemy mogli tego zrobić.

– Wasze życie kompletnie się zmieni – powiedział Jimmy – więc zróbcie parę rzeczy publicznie teraz, bo gdy staniecie się tak sławni, jak macie się stać, już nigdy nie będziecie mogli tego zrobić.

I właśnie to zrobiliśmy; jako szóstka świeżych przyjaciół upiliśmy się, obstawialiśmy i szwendaliśmy się po kasynach, sześcioro bliskich nieznajomych na weekendowej wycieczce, nikomu nieznani, nieproszeni o autografy czy zdjęcia, żadnego z nas nie ścigali paparazzi – milion mil od tego, co miało nadejść, czyli dokumentowania każdej chwili naszego życia w miejscach publicznych, aby wszyscy mogli to już zawsze oglądać.

Nadal pragnąłem sławy, ale czułem już dziki i dziwny aromat w powietrzu – czy sława, ta nieuchwytna kochanka, naprawdę miała wypełnić całą pustkę, jaką w sobie nosiłem? Jak by to było, gdybym nie mógł postawić dwudziestki na czarne w jakimś jaskrawo oświetlonym kasynie, z wódką z tonikiem w dłoni, żeby ktoś nie wykrzyknął: „Matthew Perry właśnie postawił dwie dychy na czarne, chodźcie wszyscy to zobaczyć!”. To było ostatnie lato mojego życia, gdy mogłem całować się na imprezie z dziewczyną o imieniu Gwyneth i nikogo, oprócz Gwyneth i mnie, to nie obchodziło.

Czy zapłata będzie tego warta? Czy rezygnacja z „normalnego” życia będzie warta ceny, jaką trzeba będzie zapłacić, tego, że ludzie będą mi grzebać w śmieciach, robić zdjęcia przez teleobiektyw, gdy będę w najgorszej formie, albo w najlepszej, albo wszystko pomiędzy?

Co ja im powiem?

I co miałbym powiedzieć Bogu, gdyby przypomniał mi o mojej modlitwie, tej, którą wyszeptałem trzy tygodnie przed tym, jak dostałem rolę w *Przyjaciółach*?

„Boże, możesz ze mną zrobić, co zechcesz. Tylko spraw, proszę, żebym stał się sławny”.

On miał dotrzymać połowy umowy – ale oznaczało to również, że w ramach drugiej połowy mógł zrobić ze mną, co chciał. Byłem całkowicie zdany na miłosierdzie Boga, który czasem był miłosierny, a czasem uważał, że zupełnie w porządku jest przybić własnego syna do pieprzonego krzyża.

Który kierunek wybrałby dla mnie? Który wybrałby Święty Piotr? Złoto, czerwień czy błękit?

Chyba miałem się przekonać.

Ponieważ słowa Jimmy’ego Burrowsa o nadciągającej sławie nadal dźwięczały mi w uszach, uznałem, że powinienem wybrać się na ostatnią wycieczkę jako anonimowy człowiek. Pod koniec lata 1994 roku poleciałem sam do Meksyku. Niedawno rozstałem się ze swoją dziewczyną, Gaby, i postanowiłem wybrać się na pijacki rejs solo. Wałęsałem się po Cabo, upijałem i dzwoniłem ze swojego pokoju do dziewczyn z LA. Potem, każdej nocy rejsu, wybierałem się na jakąś dziwaczną imprezę, gdzie wszyscy byli cali w nerwach, dopóki nie przyniesiono dzbanka alkoholu, a potem się rozkręcało. Czułem się samotny, z nikim nie sypiałem, w Cabo było gorąco, ale w moim wnętrzu zimno. Czułem, że Bóg mnie obserwuje, czeka. Najbardziej niepokojącą rzeczą było to, że wiedziałem, że Bóg jest wszechwiedzący, co oznaczało, że już wiedział, co jest mi pisane.

Premiera *Przyjaciół* odbyła się w czwartek 22 września 1994 roku. Początkowo serial uzyskał siedemnaste miejsce w rankingach, co było

naprawdę dobrym wynikiem dla świeżej produkcji. Recenzje też były przeważnie znakomite.

Przyjaciele... obiecują, że będą... niebanalni i uwodzicielscy... Obsada jest atrakcyjna, dialogi to kwintesencja 1994 roku... *Przyjaciele* są tak blisko osiągnięcia doskonałości, jak to możliwe w przypadku nowego serialu.

„New York Times”

Przyjaciele mają tak wiele dobrych posunięć, że naprawdę nie ma niczego, czego można by tu nie lubić. Ten serial jest lekki jak pianka, tak że po każdym odcinku może być wam trudno przypomnieć sobie, co dokładnie się w nim działo, poza tym, że się uśmialiście.

„Los Angeles Times”

Śmiała obsada zapewnia grad przekomarzanek, z szelmowską skromnością, która sugeruje, że uważają, że występują w jakiejś sztuce Neila Simona pokolenia X.

„People”

Jeśli fani *Szaleję za tobą* i *Kronik Seinfelda* poradzą sobie z różnicą wieku, powinni czuć się jak u siebie z tą szóstką, gdy tak przesiadują i gawędzą o życiu, miłości, związkach, pracy i sobie nawzajem.

„The Baltimore Sun”

Pojawiło się też parę nienawistnych recenzji.

Jeden z bohaterów opowiada, że śniło mu się, że zamiast penisu miał telefon, a gdy ten zadzwonił, „okazało się, że to moja matka”. A to w pierwszych pięciu minutach. [To] okropna produkcja... bardzo zła...

Wśród gwiazd jest urocza Courteney Cox, niegdyś zabawny David Schwimmer, Lisa Kudrow, Matt LeBlanc i Matthew Perry. Wszyscy wyglądają ładnie i przykro patrzeć, jak się upokarzają.

„The Washington Post”

Anemiczny i niewart emisji w czwartkowe wieczory.

„Hartford Courant”

Ale przecież Dick Rowe, specjalista A&R z wytwórni Decca, odmawiając Beatlesom, powiedział Brianowi Epsteinowi w 1961 roku, że „zespoły gitarowe są już na wylocie”. Ciekawe, jak się czują ci recenzenci dziś, po tym, jak zjechali prawdopodobnie najbardziej ulubiony serial wszech czasów. Naprawdę się zgapili w tym wypadku. Czy nienawidzili też *Seinfelda*? *MASH-a*? *Zdrówka*? *St. Elsewhere*?

Nie byliśmy na wylocie. Byliśmy definicją prime time’u, gdy prime time nadal się liczył. Telewizyjną gorączką złota. Co jeszcze ważniejsze od świetnych recenzji, mieliśmy zaledwie o dwadzieścia procent mniej widzów niż *Szaleję za tobą*, co było niesamowicie wysokim wynikiem dla nowego serialu. Po szóstym odcinku prześcignęliśmy już *Szaleję za tobą*, co oznaczało, że byliśmy superhitem. Wkrótce dotarliśmy do pierwszej dziesiątki, potem do pierwszej piątki i nie opuściliśmy jej przez dekadę. Jak dotąd nikt tego nie przebił.

A więc przyszła – sława. Zgodnie z naszymi przewidywaniami *Przyjaciele* okazali się wielkim hitem, a ja nie mogłem narazić tego na szwank. Uwielbiałem pozostałych aktorów, uwielbiałem scenariusz, uwielbiałem wszystko w tym serialu... ale borykałem się też ze swoimi uzależnieniami, co tylko potęgowało moje poczucie wstydu. Skrywałem tajemnicę, o której nikt nie mógł się dowiedzieć. A nawet kręcenie odcinków mogło być bolesne. Jak przyznałem w programie *Przyjaciele: spotkanie po latach* w 2020 roku: „Czułem się, jakbym miał umrzeć, gdyby [widownia] się nie

roześmiała. A to z pewnością nie jest zdrowe. Czasem wypowiadałem jakąś kwestię i nikt się nie śmiał, a ja się pociłem i – i jakbym dostawał drgawek. Jeśli nie wywoływałem śmiechu, jaki miałem wywołać, wpadałem w panikę. Czułem się tak każdego wieczoru”.

Ta presja sprawiła, że byłem w kiepskim stanie; wiedziałem też, że z sześciu osób tworzących ten serial tylko jedna była chora. Sława, której tak pragnąłem, jednak nadeszła – w Londynie było tak, jakbyśmy byli Beatlesami, z tymi ludźmi krzyczącymi pod naszymi pokojami hotelowymi – a serial w końcu trafił do wszystkich zakątków globu.

Pod koniec października 1995 roku – pomiędzy emisją piątego i szóstego odcinka drugiego sezonu – poleciałem do Nowego Jorku, aby zaliczyć swoją pierwszą wizytę w *Late Show*, gdy pojawienie się u Lettermana było zwieńczeniem popkulturowej sławy. Włożyłem ciemny garnitur – w pewnym momencie Letterman wskazał palcem klapę mojej marynarki i powiedział:

– W stylu końca lat sześćdziesiątych, brytyjska inwazja, trochę jakby modsi. Panie i panowie, ten człowiek gra w serialu numer jeden w Ameryce. Powitajcie, proszę, Matthew Perry’ego!

Wyszedłem wolnym krokiem gwiazdy. Udało mi się. Ale ledwo mogłem ustać na nogach ze zdenerwowania, więc z radością usiadłem.

Uścisnąłem dłoń Lettermana i dałem nura w swoją przećwiczoną rutynę, długi opis typowego odcinka *Wyspy Gilligana*. Jakoś to rozkręciłem tak, że niby opowiedziałem tę samą historię Jaserowi Arafatowi, który zatrzymał się w tym samym hotelu co ja (było to podczas obchodów pięćdziesiątej rocznicy powstania ONZ i wszyscy światowi oficjele zjechali się do miasta). Była to dokładnie taka dziwaczna, rozwlekła opowieść, jakie Letterman uwielbiał. Widownia odpowiedziała śmiechem – udało mi się nawet sprawić, że Dave parę razy parsknął – a mój wstrząsający strach został odpowiednio ukryty.

Wszystko było dobrze. To był złoty czas. Właśnie skończyłem dwadzieścia pięć lat. Grałem w największym serialu komediowym na świecie; zatrzymałem się w hotelu w Nowym Jorku i patrzyłem, jak światowi przywódcy wsiadają do wind, popychani przez flanki ochroniarzy, wkładam garnitur za tysiąc dolarów, zanim pójde poprzekomarzać się z Dave'em Lettermanem.

To była sława. A tuż za łuną miasta, za drapaczami chmur i migotaniem bladych gwiazd ponad śródmiejskim niebem, Bóg spoglądał na mnie i czekał na rozwój sytuacji. Nie musiał się spieszyć, nic go nie ograniczało. Cholera, w końcu to on wynalazł czas.

Nie zapomniałby. Coś nade mną wisiało. Miałem pewien pomysł, co to mogło być, ale nie byłem pewny. Coś związanego z piciem co wieczór... ale jak źle miało być?

Niszczycielska siła dopiero się rozkręcała. Serial był kulturalnym kamieniem probierczym; dokądkolwiek poszliśmy, otaczały nas tłumy (David Schwimmer opowiadał później historię, jak zaczepiła go na ulicy gromada młodych kobiet, które odepchnęły jego dziewczynę z drogi, żeby się do niego zbliżyć). Pod koniec 1995 roku, mniej więcej w tym czasie, gdy pojawiłem się u Lettermana, miałem też nową i bardzo sławną własną dziewczynę. Ale zanim do tego dojdziemy, miałem pewne niezłatwione sprawy z tym „drugim” Chandlerem.

Nie miałem żadnych wieści od Craiga Bierko przez dwa lata, to jest od chwili, gdy dostałem rolę Chandlera – przeprowadził się do Nowego Jorku i urwał nam się kontakt.

Best Friends, serial, który Craig wybrał zamiast *Friends Like Us*, nie wypalił. (Warren Littlefield, były prezes stacji NBC, napisał później w swoich wspomnieniach o tym, jak Craig nie wybrał *Przyjaciół*: „Dzięki Bogu! Craig Bierko miał w sobie coś z postaci Snidely Whiplash. Jakby pod jego skórą kipiał gniew. Atrakcyjny aktor pierwszoplanowy, którego

uwielbiasz i który potrafi zagrać rolę komediową, to bardzo rzadki przypadek”). Pracował nieprzerwanie – w końcu zagrał w *The Music Man* na Broadwayu i w filmie *Długi pocałunek na dobranoc* z Geeną Davis i Samem Jacksonem, a także w wielu innych naprawdę fantastycznych rzeczach – ale rozbieżność naszych losów sprawiła, że z naszej przyjaźni zostały zgliszcza.

Tęskniłem za nim. Nadal miał najbystrzejszy komediowy umysł ze wszystkich ludzi, jakich poznałem, i uwielbiałem to w nim – a także wiele więcej. Nie mogłem już chodzić do Formosy po to, żeby po prostu tam posiedzieć; tęskniłem też za tamtym życiem. Przerzuciłem się na picie w swoim mieszkaniu, bo tak było najbezpieczniej. Choroba się pogłębiała, ale ja tego nie dostrzegałem, nie wtedy. Gdyby ktokolwiek zobaczył, ile piję, mógłby się zaniepokoić i poprosić, żebym przestał. A zaprzestanie było oczywiście niemożliwe.

Pewnego dnia Craig Bierko niespodziewanie do mnie zadzwonił. Chciał do mnie wpaść. Byłem zachwycony, ale pełen obaw. Znacie to uczucie, gdy zaczynacie się spotykać z osobą, na którą leciał wasz najlepszy przyjaciel? Tak właśnie się czułem; przyjąłem rolę, którą on mógł i powinien był wziąć, i nastąpił dla mnie złoty czas, a potem platynowy, a potem z innego rzadkiego metalu, jeszcze nieodkrytego.

Nie miałem pojęcia, jak będzie wyglądało to spotkanie z byłym kumplem. Marta Kauffman skomentowała to później tak: „Przesłuchaliśmy niezliczoną liczbę aktorów [do roli Chandlera], ale wszystko potoczyło się tak, jak powinno”. Ale nie mogłem powiedzieć nic w tym stylu do Craiga, bo to, co miało się wydarzyć – cud – przydarzył się mnie, nie jemu. (To był jego wybór, nie mój).

Gdy przyszedł do mojego mieszkania, atmosfera była bardzo napięta. To on odezwał się pierwszy.

– Chcę, żebyś wiedział, że bardzo mi przykro, że nie odzywałem się do ciebie przez te dwa lata – powiedział. – Po prostu nie mogłem sobie

poradzić z tym, że stałeś się bogaty i sławny dzięki roli, którą ja odrzuciłem. Obaj byliśmy dość dobrzy, żeby dostać tę rolę, no i... tak... po prostu sobie z tym nie poradziłem.

Wysłuchałem go, zapadła cisza. Ruch uliczny na Sunset cofnął się aż do Freda Segala na bulwarze La Cienega.

Uznałem, że nie wspomnę o Fredzie Segalu.

Nie mogłem znieść tego, co *naprawdę* miałem powiedzieć, ale musiałem to zrobić.

– Wiesz co, Craig? To nie daje tego, co myśleliśmy. Niczego nie naprawia. – Cóż za trzeźwiąca myśl jak na dwudziestosześcioletka, który pragnął w życiu jedynie sławy i dopiero co zrozumiał, że ta sława nie zapełniła żadnej pustki. Nie, tym, co zapełniło tę pustkę, była wódka.

Craig wpatrywał się we mnie. Chyba mi nie uwierzył; chyba nadal mi nie wierzy. Myślę, że tak naprawdę muszą się spełnić wszystkie twoje marzenia, żebyś zrozumiał, że były to niewłaściwe marzenia.

Później, gdy promowałem *Studio 60*, opowiedziałem „Guardianowi”: „Grałem w serialu o najgorszej oglądalności w historii telewizji [*Second Chance* w 1987 roku] i takim o największej oglądalności [*Przyjaciele*], ale żaden z nich nie wywarł takiego wpływu na moje życie, jaki myślałem, że będzie miał”.

Biorąc wszystko pod uwagę, nie ma szans, abym nie zamienił się miejscami z Craigiem ani z Davidem Pressmanem, ani z gościem ze stacji benzynowej na końcu ulicy – zamieniłbym się z nimi w jednej chwili i na zawsze, gdybym tylko mógł dzięki temu nie być tym, kim jestem, takim, jaki jestem, przytwierdzonym do płonącej obręczy. Ich mózgi nie chcą ich zabić. Spokojnie śpią w nocy. Nie oczekuję, że dzięki temu poczują się lepiej w związku z wyborami, jakich dokonali, z tym, jak potoczyło się ich życie.

Oddałbym wszystko, aby tak się nie czuć. Ciągle o tym myślę i nie jest to próżna myśl – to bezwzględny fakt. Ta faustowska modlitwa, którą

wypowiedziałem, była głupia, dziecinna. Nie miała żadnego oparcia w rzeczywistości.

Ale stała się rzeczywistością.

Mam pieniądze, rozpoznawalność i bliskie spotkanie ze śmiercią na dowód.

Interludium. Zoom

W końcu wróciłem ze Szwajcarii do Los Angeles. Akurat panował covid. Wszystko było pozamykane. Wszyscy pozamykaliśmy się w małych pokoikach, przerażeni na myśl o śmierci. Ale mój umysł odzyskiwał jasność i znów toczyłem walkę o trzeźwość.

Pandemia była dla mnie nieco łatwiejsza do zniesienia z dwóch powodów. Po pierwsze, działa się poza moją głową, oraz – po drugie – dała mi cholernie dobrą wymówkę do ukrywania się w moim niemal tysiącmetrowym mieszkaniu zajmującym całe czterdzieste piętro Century Building w Century City.

W końcu poczułem, że z moimi żebrami jest lepiej. Trzeźwiałem. To oznaczało, że powoli zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że jestem zaręczony i mieszkam z kobietą oraz dwoma psami. Rzecz jasna, nie byłem na to gotowy. Mieszkasz ze mną? Mieszkamy razem? Mamy wybrane imiona dla dzieci i całą resztę?

Ukląkłeś na kolano, żeby się oświadczyć, co bardzo zaszkodziło twojemu żołądkowi, pamiętasz?

Nie pamiętałem – nie muszę dodawać, że się rozstaliśmy.

Rozdział 5. Bez czwartej ściany

Wiecie, jak podczas covidu niektórzy czuli, jakby w kółko przeżywali ten sam dzień?

Oto dzień, który chciałbym przeżywać w kółko (Dzień Świstaka mojego Dnia Świstaka). Właściwie chciałbym przeżywać go codziennie przez resztę życia. Ale nie mogę. Dlatego jedynym sposobem, żeby się z tym uporać, jest opowiedzieć to jak historię, sprawdzić, czy to pomoże.

(To oczywiście go nie przywróci).

Był sylwester 1995 roku, Taos w Nowym Meksyku. Przez całe popołudnie graliśmy w piłkę na śniegu: ja i moja dziewczyna, Julia Roberts, oraz grono naszych przyjaciół. Ona była największą gwiazdą filmową na świecie, a ja występowałem w telewizyjnym serialu numer jeden.

Z początku podrywaliśmy się przez faks. Gdzieś na świecie znajduje się jakiś półmetrowy stos faksów – półmetrowe zaloty, pełne wierszy i fantazji, i dwie supergwiazdy zakochujące się w sobie i zbliżające się do siebie w pięknym, romantycznym stylu.

Czułem się wtedy, jakbym unosił się w powietrzu. Byłem w centrum tego wszystkiego i nic nie mogło mnie dotknąć. To do mnie należał rozpalony do białości płomień sławy – wkładałem w niego dłoń, ale jeszcze nic mnie nie parzyło; było to bierne centrum. Jeszcze nie zdążyłem się dowiedzieć, że sława nie wypełni pustki, ale wtedy wypełniała ją całkiem przyjemnie, dziękuję bardzo.

Pierwszy sezon *Przyjaciół* okazał się superhitem, a ja w zasadzie wpłynąłem w sezon drugi. Zaliczyłem występ u Lettermana, byłem umówiony do Leno. Trafiliśmy na okładki „People” i „Rolling Stone”, gdy oba te czasopisma naprawdę się liczyły. Teraz pojawiły się propozycje filmowe. Dlaczego nie? Dostawałem wszystko, czego pragnąłem.

Propozycja roli za milion dolarów tutaj, propozycja roli za milion dolarów tam. Nie byłem Julią Roberts, ale ona jest tylko jedna.

Potem wydarzyło się coś, co przytrafia się tylko sławnym ludziom. Podeszła do mnie Marta Kauffman i powiedziała, że chyba powinienem wysłać kwiaty Julii Roberts.

Chodzi o Julię Roberts – największą gwiazdę we wszechświecie?

– Jasne, świetnie, ale dlaczego? – odparłem.

Okazało się, że zaproponowano Julii, by wystąpiła w drugim sezonie w odcinku *Ten po Superpucharze*, i miała się zgodzić na udział w serialu pod warunkiem, że grałaby w scenach ze mną. Pozwólcie, że powtórzę – miała zgodzić się na udział w serialu pod warunkiem, że zagrałaby w scenach ze mną. (Czy miałem dobry rok, czy jak?) Ale najpierw musiałem ją oczarować.

Długo i intensywnie rozmyślałem, co napisać. Chciałem, żeby brzmiało to profesjonalnie, jak gwiazda do gwiazdy. (No cóż, gwiazda do znacznie większej gwiazdy). Ale chciałem też, aby znalazła się tam również nutka flirtu, odpowiadająca temu, co powiedziała Julia. Nadal jestem dumny z tego, co ostatecznie postanowiłem. Posłałem jej trzy tuziny czerwonych róż i bilecik o treści:

Jedyną rzeczą bardziej ekscytującą od perspektywy twojego udziału w serialu jest to, że w końcu mam pretekst, żeby wysłać ci kwiaty.

Nieźle, co? Bałem się zasnąć wieczorem, ale mogłem czarować urokiem osobistym, gdy było to potrzebne. Jednak moje dzieło nie było w żadnym razie ukończone. W odpowiedzi napisała, że jeśli odpowiednio wyjaśnię jej fizykę kwantową, zgodzi się wziąć udział w serialu. Wow. Przede wszystkim koresponduję z kobietą, dla której wymyślono szminkę, a teraz muszę przysiąść do książki.

Następnego dnia wysłałem jej artykuł dotyczący dualizmu korpuskularno-falowego i zasady nieoznaczoności i splątania, i tylko część z tego miała charakter metaforyczny. Alexa Junge, scenarzystka serialu, wiele lat później powiedziała „The Hollywood Reporter”, że „[Julia] interesowała się [Matthew] z daleka, ponieważ jest przeuroczy. Zawzięcie flirtowali przez faks. Dawała mu kwestionariusze w rodzaju «Dlaczego powinnam umówić się z tobą na randkę?», a wszyscy w pokoju scenarzystów pomagali mu wyjaśnić jej dlaczego. Mógłby to swobodnie zrobić bez nas, ale nie było wątpliwości, że należymy do Drużyny Matthew i staramy się pomóc mu osiągnąć cel”.

W końcu wszystkie nasze wysiłki się opłaciły. Julia nie tylko zgodziła się zagrać w serialu, ale przysłała mi też prezent: bajgle – całe mnóstwo bajgli. Pewnie, czemu nie? W końcu to cholerna Julia Roberts.

I tak rozpoczęły się nasze trzymiesięczne zaloty przez faks. To było w czasach przed internetem i przed telefonami komórkowymi – całą korespondencję prowadziliśmy przez faks. A tych faksów było wiele. Setki. Z początku były to obrzeża romansu: ja wysyłałem jej wiersze, prosiłem, aby wymieniła nazwiska hokeistów Los Angeles Kings, którzy tworzyli tak zwaną Potrójną Koronę, i inne tym podobne rzeczy. I nie żebyśmy oboje nie byli zajęci – ja grałem w najbardziej popularnym serialu na Ziemi, a ona grała w filmie Woody’ego Allena, *Wszyscy mówią: Kocham cię*, we Francji. (No przecież). Ale trzy czy cztery razy dziennie siadałem przy faksie i patrzyłem, jak kartka powoli ujawnia jej następny list. Byłem tak podekscytowany, że w niektóre wieczory, gdy na jakiejś imprezie flirtowałem z atrakcyjną kobietą, przerywałem rozmowę i gnałem do domu, żeby sprawdzić, czy przyszedł faks. Dziewięć razy na dziesięć tak było. Były takie błyskotliwe – to, jak łączyła zdania, jak postrzegała świat, jak wypowiadała swoje niezwykle myśli, to wszystko było takie ujmujące. Nierzadko czytałem te wiadomości po trzy, cztery, czasem pięć razy, szczerząc się do tej kartki jak jakiś bałwan. Jakby umieszczono Julię na tej

planecie, żeby świat się uśmiechnął, a teraz zwłaszcza ja. Cieszyłem się jak jakiś piętnastolatek na pierwszej randce.

A to było jeszcze przed naszą pierwszą rozmową, o spotkaniu nawet nie mówię.

Pewnego wczesnego poranka coś się zmieniło. Faks od Julii skrecił w stronę romantycznych odcieni. Zadzwoiłem do kumpla i powiedziałem:

– To mnie przerasta. Musisz tu natychmiast przyjechać. Powiesz mi, czy się mylę.

Gdy przyszedł, pokazałem mu faks, a on powiedział:

– No, nie mylisz się. To cię z pewnością przerasta.

– Co mam odpowiedzieć?

– No, jak się czujesz?

– Och, spierdalaj – odparłem. – Po prostu powiedz mi, co mam odpisać.

I tak „Cyrano” i ja ułożyliśmy i wysłaliśmy wiadomość, która też skręcała w romantyczną stronę. Potem staliśmy przy faksie i spoglądaliśmy po sobie. Dwaj mężczyźni wgapiający się w maszynę.

Po jakichś dziesięciu minutach w moim mieszkaniu rozległ się zgrzyt faksu: brzdęk i furkot, i syczące wiadomości z kosmosu.

Zadzwon do mnie, brzmiała wiadomość, a pod spodem podany był numer telefonu.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Julii Roberts. Denerwowałem się jak diabli, jak za pierwszym razem u Lettermana. Ale rozmowa przebiegła gładko – udało mi się rozśmieszyć Julię i ludzi, cóż to był za śmiech... Okazała się wyjątkowo błyskotliwą osobą, niezwykle inteligentną. Już wiedziałem, że należy do pierwszej trójki gawędziarzy, jakich poznałem w życiu. Jej opowieści były tak dobre, że w pewnym momencie zapytałem ją, czy ułożyła je wcześniej.

Pięć i pół godziny później, gdy zakończyliśmy rozmowę, zorientowałem się, że już się nie denerwuję. Potem byliśmy niepowstrzymani – tu

pięciogodzinna rozmowa, tam czterogodzinna. Coś się między nami zaczynało; jeszcze nie byłem pewien co, ale coś na pewno.

Było jasne, że poraziło nas jak grom.

Pewnego czwartku mój telefon znów zadzwonił.

– Będę u ciebie w sobotę o drugiej.

Klik.

No i proszę.

Skąd w ogóle wiedziała, gdzie mieszkam? Co jeśli jej się nie spodobam? Co jeśli te faksy i telefony były bardzo urocze, ale gdy przyjdzie do prawdziwego życia, ona już mnie nie zechce?

Dlaczego nie mogę przestać pić?

I oczywiście o drugiej po południu tamtej soboty rozległo się pukanie do drzwi. Oddychaj głęboko, Matty. Gdy otworzyłem drzwi, w progu stała uśmiechnięta Julia Roberts.

Chyba powiedziałem coś w rodzaju:

– Ach, *ta* Julia Roberts!

Nawet w takich chwilach żarty po prostu wyfruwały. Craig pewnie powiedziałby to szybciej, ale nie było go tutaj. Roześmiała się tym śmiechem Julii Roberts, który potrafiłby wyprowadzić w morze tysiąc okrętów. I wszelkie napięcie jakby wyparowało. Zapytała mnie, jak się miewam.

– Czuję się jak największy farciarz na świecie. A co u ciebie?

– Chyba powinienes teraz zaprosić mnie do środka.

Wpuściłem ją, dosłownie i w przenośni, i nasz związek się rozpoczął. Byliśmy już parą, gdy zaczęliśmy kręcić odcinek *Ten po Superpucharze*.

Ale zanim go nagraliśmy, wydarzył się sylwester w Taos. Nadchodził rok 1996. Spotykałem się z Julią Roberts. Nawet poznałem jej rodzinę. Julia przyjechała po mnie swoim pomarańczowym garbusem, po tym, jak ściągnęła mnie na miejsce prywatnym samolotem. Myślałem, że mam pieniądze. Nie, to *ona* miała pieniądze.

Przez cały dzień graliśmy w piłkę na śniegu. Później Julia spojrzała na mnie, następnie na zegarek – 23.45 – wzięła mnie za rękę i powiedziała:

– Chodź ze mną.

Wskoczyliśmy do dużego niebieskiego pikapa i ruszyliśmy pod górę pośród wirującego śniegu. Nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy. Zdawało się, jakbyśmy zmierzali ku samym gwiazdom. W końcu dotarliśmy na szczyt. Na chwilę się przejaśniło i zobaczyliśmy Nowy Meksyk i kawał terenu w stronę Kanady. Gdy tam siedzieliśmy, dzięki Julii czułem się królem świata. Prószył śnieg i tak rozpoczął się rok 1996.

W lutym Julia pojawiła się u Lettermana, który naciskał, aby odpowiedziała, czy się spotykamy. Dopiero co wystąpiła gościnnie w odcinku *Przyjaciół* zatytułowanym *Ten po Superpucharze*. Tamten odcinek – pełen gościnnych ról gwiazd takich jak Julia, Jean-Claude Van Damme, Brooke Shields czy Chris Isaak – obejrzały prawie pięćdziesiąt trzy miliony widzów, była to najliczniejsza widownia serialu w historii po Super Bowl. Same wpływy z reklam były oszałamiające – ponad pół miliona dolarów za trzydzieści sekund czasu antenowego. Serial był teraz zdecydowanie główną dojną krową NBC.

(A jednak nadal pamiętam parę takich nocy, gdy myślałem: „Szkoda, że nie gram w *Oстрым dyżurze* zamiast w *Przyjaciółach*”. Nigdy nie dostanę wystarczającej uwagi. Problem nadal tam był, mój odcisk palca, kolor moich oczu).

Nakręciliśmy sceny Julii w podwójnym odcinku kilka dni po Nowym Roku – między szóstym a ósmym stycznia. Dla mnie napisano kwestie takie jak: „Wtedy używałem humoru jako mechanizmu obronnego – Bogu dzięki, że już tego nie robię” i „Poznałem idealną kobietę”. Nasz pocałunek na kanapie był tak prawdziwy, że ludzie myśleli, że *był* prawdziwy.

I taki był. Była cudowna w serialu, a nasza chemia zdawała się sączyć z telewizorów w całej Ameryce.

Odpowiadając Lettermanowi, Julia znów dowiodła swego geniuszu, pogrywając ze wszystkimi:

– Tak, spotykam się z Matthew Perrym, ale z jakiegoś powodu, może dlatego, że wystąpiłam w odcinku *Ten po Superpucharze*, ludzie uważają, że chodzi o Matthew Perry’ego z *Przyjaciół*. Tak naprawdę chodzi o właściciela sklepu z pasmanterią, którego poznałam w Hoboken. Ale Matthew Perry z *Przyjaciół* też jest miły, więc nie przeszkadza mi ta omyłka.

Nazwała mnie też „niesamowicie bystrym, zabawnym i przystojnym”.

Wtedy odpowiedź na wszystko brzmiała „tak”.

Gdy zakończyliśmy nagrania do drugiego sezonu, w kwietniu udałem się do Vegas, aby zagrać w swojej pierwszej dużej produkcji. Zapłacono mi milion dolarów za rolę w *Polubić czy poślubić* z Salmą Hayek. Do dziś jest to prawdopodobnie mój najlepszy film.

Gdybyśmy kręcili ten film dziś, pewnie pojechałbym z trzema osobami, przede wszystkim dlatego, że boję się być sam. Ale wtedy byłem tylko ja. Nie przepełniał mnie strach tak jak dziś. Chyba dlatego na wojny posyłano młodych ludzi. Są młodzi – nie boją się, są niezwyciężeni.

Nie zrozumcie mnie źle, denerwowałem się rolą w *Polubić czy poślubić*. Byłem w Vegas, z trzydziestomilionowym filmem na barkach. Pierwszego dnia, gdy odwożono mnie do domu, powiedziałem do szofera:

– Niech się pan zatrzyma.

Zrobił to, a ja zwymiotowałem ze strachu tuż przy drodze.

Przy filmie nie tylko pracuje się wolniej, ale też działa to tylko wtedy, jeśli rzeczywiście czujesz to, co starasz się przedstawić. Bywa, że trudno przestawić się na taką głębszą pracę, a dla mnie było to tym trudniejsze, że w filmach zwykle kręci się sceny nie po kolei.

Pamiętam, jak drugiego dnia zdjęć do *Polubić czy poślubić* kręciliśmy scenę w gabinecie lekarza położnika, gdzie po raz pierwszy mieliśmy

usłyszeć bicie serca naszego dziecka. Nie miałem pojęcia, jak wywołać w sobie takie uczucie, biorąc pod uwagę fakt, że dopiero co poznałem Salmę. Później, pamiętam, jedna ze scen wymagała ode mnie płaczu. Tego też bardzo się obawiałem. Myślałem o tym przez cały dzień i zamartwiałem się przez całą noc. Koniec końców jakoś dałem radę. Sztuczka jest łatwa – musisz pomyśleć o czymś, co budzi w tobie wielki smutek. Ale trudno jest zgrać się w czasie, bo musisz to zrobić w odpowiednim momencie i wielokrotnie powtarzać.

Tamtego dnia płakałem przez cały dzień na planie *Polubić czy poślubić*. Podszedłem do Andy'ego Tennanta, reżysera, i powiedziałem:

– Stary, robimy to od dziesięciu godzin. Skończyły mi się zasoby.

Andy odparł:

– Musimy to zrobić jeszcze dwa razy, stary.

Na samą myśl o tym wybuchnąłem płaczem, po czym obaj się roześmialiśmy i zgodziliśmy, że chyba jeszcze została jakaś rezerwa. (Tak naprawdę aktorstwo dramatyczne jest dla mnie łatwiejsze niż komediowe. Patrzę na scenę i myślę sobie: „Nie muszę być zabawny? To będzie łatwizna”. Jak dotąd cztery razy nominowano mnie do Emmy. Raz za komedię, trzy razy za film obyczajowy).

Zacząłem wymyślać całkiem fajne strategie służące czerpaniu z prawdziwych uczuć, aby stać się bardziej aktorem pierwszoplanowym niż zabawnym aktorem seriali komediowych. W południe w hotelu Stratosphere w Vegas urządzą wielki pokaz fajerwerków – kazałem wtedy Salmie spojrzeć na hotel, bo tak poczuł się mój bohater, gdy spotkał jej bohaterkę.

Salma też starała się z całych sił. Na początku nagrań przyszła do mojej przyczepy i powiedziała:

– Poprzytulajmy się trochę na łyżeczkę.

Odstawiłem swojego najlepszego Chandlera – spóźniony refleks i sardoniczne spojrzenie – i odparłem:

– Och, okej! Poprzytulajmy się *trochę* na łyżeczkę!

Salma zawsze miała bardzo drobiazgowy i przydługie pomysły na to, jak zagrać jakąś scenę, lecz jej rozwlekłe propozycje nie zawsze były pomocne. W jednej ze scen miałem wyznać jej miłość. Zasugerowała, żebyśmy nie patrzyli na siebie – zamiast tego powinniśmy spoglądać na naszą wspólną przyszłość. Słuchałem tego nonsensu przez jakieś dwadzieścia minut, aż w końcu oznajmiłem:

– Posłuchaj, Salma. W tej scenie mówię, że cię kocham. Ty sobie patrz, na co chcesz, ale ja zamierzam patrzeć na ciebie.

Przez cały czas kręcenia filmu przeglądałem scenariusz i proponowałem żarty Andy’emu Tennantowi, który był bardzo bystrym i niewiarygodnie miłym gościem. Powstrzymywał mnie – ja skakałem i robiłem te swoje zabawne rzeczy, a on odciągał mnie na bok i mówił:

– Nie musisz tego robić. Oglądanie cię jest wystarczająco interesujące bez tego.

Ten sposób myślenia pozwolił mu wyciągnąć ze mnie jeden z najlepszych występów w mojej karierze. Czy mógł to być inny sposób na powiedzenie: „Matty, jesteś wystarczająco dobry”, które to słowa pragnąłem usłyszeć przez całe życie? (Andy później wyreżyserował dziesiątki filmów, włącznie z *Hitch: Najlepszy doradca przeciętnego faceta*, w którym wystąpił Will Smith. Mili faceci chyba nie zawsze kończą ostatni).

Andy również miał głowę otwartą na pomysły innych. Pewnego dnia odwiedził mnie na planie mój przyjaciel Andrew Hill Newman i wymyślił kwestię: „Jesteś wszystkim, czego pragnąłem, lecz o tym nie wiedziałem”. Zapisałem ją i wręczyłem Andy’emu, któremu ogromnie się spodobała i stała się najsłynniejszą kwestią w tym filmie. A jeśli chodzi o filmy, prawdopodobnie najlepszą kwestią, jaką kiedykolwiek wygłosiłem.

Pewnego dnia podczas nagrań widać było w tle grupę ludzi na skuterach wodnych na jeziorze Mead. Zapytałem, czy mógłbym popływać na takim podczas przerwy na lunch. Ale to był początek filmu i powiedziano mi, że to zbyt niebezpieczne.

Lecz odpowiedź na wszystko brzmiała wtedy „tak”, więc po prostu powiedziałem:

– Eee, musicie się na to zgodzić.

Tak więc wyruszyłem na jezioro Mead. Słońce świeciło wysoko na niebie, błękitna woda iskrzyła jak ogień. Gdy tak śmigałem na skuterze, w oddali widziałem zaporę Hoovera, gdzie mieliśmy kręcić kulminacyjną scenę filmu, oraz Górę Wilsona górującą nad wszystkim niczym ostrzeżenie. Lecz wszystko w moim życiu toczyło się doskonale. Moją dziewczyną była najpiękniejsza i najślawniejsza kobieta na świecie; grałem w serialu telewizyjnym, który był numerem jeden w Ameryce; zarabiałem mnóstwo pieniędzy dzięki nagraniom do filmu, który był skazany na to, by stać się przebojem kasowym. Ostro dodawałem gazu na tym skuterze, czując to łagodne połączenie z wodą, skręcając to w jedną, to w drugą stronę, uderzenia o fale podrywały mnie na siedzeniu, prawa dłoń obracała się, obracała i obracała, wyciskając z maszyny, ile się dało.

Nagle skręciłem gwałtownie w prawo, ale moje ciało poleciało prosto do przodu. Znalazłem się w powietrzu, a potem nie byłem już w powietrzu. Gdy wynurzyłem się na powierzchnię, odwróciłem się i spojrzałem na miejsce, z którego wypłynąłem; na brzegu stało czterdzieści osób, cała ekipa, która przyglądała się, jak ryzykuję film, i która teraz jak jeden mąż dała nura do jeziora Mead, żeby mnie wyciągnąć.

Gdy wróciłem na brzeg, wiedziałem, że jestem ranny. Tamtego wieczoru mieliśmy kręcić ważną scenę – scenę narodzin dziecka, kluczowy moment – i musiałem być do tego w formie. Tymczasem cały byłem obolały; najgorzej załatwiłem sobie szyję. Ekipa wiedziała, że jest mi ciężko, więc

wezwali lekarza, który zajrzał do mojej przyczepy i wręczył mi jedną tabletkę w plastikowym opakowaniu.

– Proszę to zażyć, gdy pan skończy – powiedział lekarz. – Wszystko będzie dobrze.

Schowałem tabletkę do kieszeni i jak Boga kocham, gdybym jej wtedy nie wziął, przez kolejne trzy dekady nic nie potoczyłoby się tak, jak się potoczyło. Kto wie? Ja wiem tylko, że to było bardzo złe.

Mój bohater w *Polubić czy poślubić* to agent nieruchomości, który jeździ czerwonym mustangiem. Scena tamtego wieczoru ciągnęła się bez końca, lecz tuż przed świtem skończyliśmy zdjęcia. Czułem, jak słońce zbliża się do horyzontu.

– Jak myślicie, czy mogę wrócić tym mustangiem do Vegas? – zapytałem.

Jestem zdumiony, że po tej porażce ze skuterem wodnym zgodzili się na cokolwiek. Ale jednak się zgodzili.

Gdy opuściłem plan zdjęciowy, pierwsze promienie słoneczne w Nevadzie zakradały się nad Górę Wilsona. Opuściłem dach mustanga i połknąłem tabletkę. Myślałem o Julii; myślałem o locie nad jeziorem Mead, kompletnie beztroski. Myślałem o swoim dzieciństwie, ale nie bolało, nie wtedy. Gdy tabletkę zaczęła działać, coś się we mnie przełączyło. I to za tym przełączeniem goniłem przez resztę życia. Myślałem o sławie i Craigu Bierko, o braciach Murray i *Przyjaciółach*. Nadchodziło lato, całe w różowych cirrusach i łagodnym, pustynnym powietrzu. To było moje różowe niebo. Czułem się tak dobrze, że gdybym zderzył się wtedy z lokomotywą, pewnie spojrzalbym tylko na maszynistę i powiedział: „Zdarza się, bracie”. Leżałem na trawniku przydomowego ogrodu w Kanadzie, znów otoczony rzygowinami Murraya. Nie mogłem uwierzyć, jak dobrze mi jest; czułem pełną i czystą euforię. Tabletkę zastąpiła krew w moim ciele ciepłym miodem. Byłem panem świata. Najwspanialsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Nic nigdy

nie mogło się posypać. Pamiętam, że kiedy jechałem tym czerwonym mustangiem kabrioletem do wynajętego domu w Vegas, myślałem: „Jeśli mnie to nie zabije, zrobię to jeszcze raz”. To wspomnienie jest oczywiście niedobre w kontekście tego, co nastąpiło później, ale zarazem jest dobre. Tamtego ranka poczułem niebo – niewiele osób tego doświadcza. Znalazłem się blisko Boga. Uścisnąłem jego dłoń.

Czy był to Bóg, czy ktoś inny?

Moim pierwszym krokiem po powrocie do domu było skontaktowanie się z tamtym lekarzem. Powiedziałem mu, że tabletki zadziałały na ból (postanowiłem pominąć część dotyczącą Boga). Poszedłem spać, a gdy się obudziłem, okazało się, że dostarczono mi kolejne czterdzieści tych tabletek. Eureka!

„Ostrożnie, Matty, coś, co sprawia, że czujesz się tak dobrze, musi się wiązać z konsekwencjami”. Teraz znam te konsekwencje – i to jak dobrze. Ale wtedy jeszcze ich nie znałem. Szkoda, że to nie wszystko, co jest do powiedzenia na temat *Polubić czy poślubić*. Zabawne historyjki od kuchni o tym, jak kręci się filmy. Żałuję, że muszę przekłuć tę bańkę symbiozy celebrycko-korporacyjnej, ale za blichtrzem i drinkami z martini i kamerami toczy się też zwykłe życie. Jednak tym, czego nikt nie mógł dostrzec, było to, że czyjeś życie, pewnie najmniej prawdopodobnego kandydata, miało dać nura przez wrota piekieł.

Półtora roku później łykałem pięćdziesiąt pięć takich tabletek dziennie. Gdy zgłosiłem się do ośrodka odwykowego w Minnesocie, ważyłem pięćdziesiąt osiem kilogramów, a moje życie było w ruinie. Czuję czysty lęk, byłem pewny, że umrę, nie miałem pojęcia, co się ze mną stało. Nie chciałem umrzeć, chciałem tylko poczuć się lepiej.

Oczywiście zdanie: „Matthew Perry trafił na odwyk” stało się wielkim newsem. Nawet nie dostałem szansy na przepracowanie swoich problemów w spokoju. Wszyscy wiedzieli. Trafiło to na okładki wszystkich czasopism – nawet nie miałem tej anonimowości, jaką cieszyli się wszyscy inni. Byłem

przerażony. Byłem też młody, więc szybko doszedłem do siebie. Dwadzieścia osiem dni później stanąłem na nogi i znów wyglądałem zdrowo.

To było wielkie wydarzenie medialne, ale daleko mu było do rozmiarów tego drugiego.

Granie w filmach to całkiem inna bajka niż praca w produkcjach telewizyjnych. W *Przyjaciółkach*, jeśli było ci smutno z jakiegoś powodu, udawałeś, że jesteś najsmutniejszą osobą na świecie – zasadniczo dla tylnego rzędu widowni na żywo w studiu. W twoim występie jest rodzaj mrugnięcia do widowni, jakbyś mówił: „Hej, ludzie, patrzcie na to. To wam się spodoba”. Gdy kręcisz sitcom, to jakbyś co tydzień występował w jednoaktówce. Na widowni siedzi trzysta osób, a ty musisz się dla nich otworzyć.

Praca nad filmem toczy się znacznie, znacznie wolniej – jest długie ujęcie, potem zbliżenie, a potem jeszcze bliższe zbliżenie. A jeśli twoja postać była smutna, grałeś ją smutno. Nie było żadnego puszczania oka – to byli profesjonaliści. Lecz w *Przyjaciółkach* nawet próby robiliśmy szybko. Pamiętam, jak Alec Baldwin pojawił się kiedyś gościnnie i powiedział: „Ludzie, ależ wy pędzicie!”.

Ciągle mieliśmy jakichś gości, co oznaczało, że musieliśmy improwizować. Do moich ulubionych należał Sean Penn – wystąpił w dwóch odcinkach w ósmym sezonie i dał czadu. Jego wątek wymagał, żebym przebrał się za różowego króliczka (to było Halloween), więc na koniec próby czytanej powiedziałem:

– Zawsze marzyłem o pracy z Seanem Pennem, ale nigdy nie sądziłem, że będę musiał do tego włożyć kostium różowego króliczka.

Choć na planie brakowało prawdziwej czwartej ściany mieszkania, *Przyjaciele* nie obalili też metaforycznej czwartej ściany. Najbliżej tego byliśmy z Seanem – zaproponowałem krótką scenę końcową po głównym

wątku, w której miałem wyjść za kulisy w kostiumie króliczka. Sean wtedy przechodzi, a ja mówię:

– Sean, możemy zamienić słówko?

– Jasne, Matthew, co tam?

– Wiesz, sporo o tym myślałem. I chyba jesteś odpowiednią osobą, żeby to przegadać. – Palę w tym czasie papierosa, a gdy gaszę go moją ogromną króliczą stopą, dodaję: – Zastanawiałem się, czy nie przerzucić się na role dramatyczne.

Sean Penn mierzy mnie wzrokiem przez jakieś pięć sekund i mówi tylko:

– Powodzenia.

Wywołało to salwy śmiechu podczas próby czytanej. Ale łamało regułę, której nigdy nie złamaliśmy przez dziesięć lat kręcenia serialu. Nawet ktoś tak potężny jak Sean Penn i ja w idiotycznym ogromnym różowym kostiumie króliczka nie dostaliśmy zielonego światła na obalenie czwartej ściany. Została na swoim miejscu. Dokładnie tam, gdzie powinna być.

Wszyscy mieli szczególne lata w *Przyjaciołach*, gdy cały świat mówił o ich postaci. Pierwszy sezon należał do Davida Schwimmera, drugi do Lisy, piąty i szósty do Courteney i mnie, siódmy i ósmy do Jen, a do Matta (Most Improved Friend) dziewiąty i dziesiąty. Niektórzy z nich otrzymali Nagrody Emmy za te sezony, a wszyscy powinniśmy byli zdobyć więcej nagród, niż zdobyliśmy, ale chyba istnieje jakieś uprzedzenie wobec atrakcyjnych bogatych ludzi posiadających mieszkanie o wiele za duże jak na nowojorską rzeczywistość... tyle że, jak zawsze podkreślałem, nie było czwartej ściany.

W tym pierwszym roku – roku Davida – zjawił się on pierwszego dnia w mojej garderobie. Wniósł do swojej postaci tę oryginalną minę zbitego psa i było to po prostu cholernie zabawne. Był też pierwszym z nas, który wystąpił w reklamie, pojawił się w *The Tonight Show*, kupił dom, nakręcił

własny film. W tamtym pierwszym roku był najpopularniejszy i zasłużył na to. Był przekomiczny.

Tamtego dnia w mojej garderobie usiadł naprzeciwko mnie.

– Matty – zaczął – tak się zastanawiałem. Kiedy będziemy renegotjować nasze kontrakty, powinniśmy zrobić to jako zespół. Wszyscy powinniśmy dostać taką samą kwotę.

David był zdecydowanie w najlepszej pozycji negocjacyjnej. Nie mogłem uwierzyć w jego słowa. Oczywiście byłem zachwycony. Nie miałem żadnego problemu, aby skorzystać z jego szczodrości.

Ta decyzja okazała się ogromnie lukratywna później. David z pewnością miał pozycję, dzięki której mógł zażądać najwięcej pieniędzy z nas, ale tego nie zrobił. Chciałbym myśleć, że postąpiłbym tak samo, ale nie jestem pewien, czy zdobyłbym się na to, będąc chciwym dwudziestopięcioletkiem. To dzięki jego decyzji dbaliśmy o siebie nawzajem podczas niezliczonych stresujących negocjacji ze stacją i dało nam to ogromną siłę. W ósmym sezonie zarabialiśmy milion dolarów za odcinek; w sezonie dziesiątym zarabialiśmy jeszcze więcej – dostawaliśmy milion sto tysięcy czterdzieści dolarów i prosiliśmy o nagrywanie mniejszej liczby odcinków. Co za barany, co do jednego. To, co nam zaoferowano, zawdzięczaliśmy dobroci Davida i jego sprytnemu wyczuciu biznesowemu. Wiszę ci jakieś trzydzieści milionów, David. (I tak byliśmy idiotami).

Udział w *Przyjaciołach* był jedną z tych rzadkich jak jednorożec sytuacji, gdzie nowiny stawały się coraz lepsze. Lecz poza ekranem sprawy nie toczyły się tak pomyślnie. Pod koniec kwietnia 1996 roku pojawiłem się u Jaya Leno i przyznałem, że jestem singlem. Związek z Julią Roberts mnie przerósł. Towarzyszyło mi ciągłe przekonanie, że ze mną zerwie – dlaczego nie miałyby tego zrobić? Nie byłem wystarczająco dobry; nigdy nie mogłem taki być; byłem popsuty, nieuczciwy, nie można było mnie kochać. Dlatego zamiast mierzyć się z nieuniknioną agonią utraty, zerwałem z piękną i błyskotliwą Julią Roberts. Być może uważała, że zniza się do

gościa z telewizji, a teraz ten gość z telewizji z nią zerwał. Nawet nie próbuję opisać jej osłupienia.

Postanowiłem poimprezować na Cape Cod z braćmi Murray. Nie mam pojęcia, dlaczego wybrałem Cape Cod ani dlaczego bracia Murray ze mną pojechali. Wyobrażałem sobie, że to po prostu nowe miejsce do szlajania się po barach. To tam zauważyłem jednak, że coś się zmieniło – pojawiła się jakaś nowa dynamika. Dziewczyny same do mnie zagadywały; dni nerwowego zaczepiania kobiet i słabych tekstów się skończyły. Po prostu stałem w kącie z wódką z tonikiem w dłoni, a one do mnie podchodziły.

Lecz żadna z nich nie była Julią Roberts.

Przechodziłem detoks ponad sześćdziesiąt pięć razy w życiu – ale pierwszy raz zdarzył się, gdy miałem dwadzieścia sześć lat.

Mój vicodinowy nawyk teraz ostro się rozkręcił. Jeśli oglądacie trzeci sezon *Przyjaciół*, mam nadzieję, że przerazicie się, widząc, jak chudy jestem pod koniec tego sezonu (opioidy rozpieprzają ci apetyt, poza tym wywołują ciągłe wymioty). W finałowym odcinku zobaczycie, że mam na sobie białą koszulę i beżowe spodnie; i jedno, i drugie wygląda na przynajmniej o trzy rozmiary za duże. (Porównajcie to do różnicy w moim wyglądzie między ostatnim odcinkiem szóstego sezonu a pierwszym sezonu siódmego – odcinkami poświęconymi oświadczeniom Chandlera i Moniki. W tych dwóch odcinkach mam na sobie ten sam zestaw ubrań – z założenia to ten sam wieczór – ale w przerwie między nagraniami straciłem ze dwadzieścia trzy kilogramy. Moja waga w czasie kręcenia *Przyjaciół* wahała się pomiędzy pięćdziesięcioma ośmioma a stu dwoma kilogramami).

Możecie prześledzić przebieg mojego uzależnienia na podstawie zmian mojej wagi z sezonu na sezon – jeśli przybrałem na wadze, chodziło o alkohol, gdy byłem chudy, o prochy. Jeśli mam bródkę, to łykałem *mnóstwo* prochów.

Pod koniec trzeciego sezonu przez większość czasu obmyślałem, jak zdobyć pięćdziesiąt pięć tabletek vicodinu dziennie – musiałem mieć tyle albo strasznie chorowałem. To była praca na pełen etat: dzwonienie, chodzenie po lekarzach, udawanie migren, wyszukiwanie nieuczciwych pielęgniarek, które dadzą mi to, czego potrzebowałem.

Zajął mi chwilę zorientowanie się, co się dzieje. Na początku brałem jakieś dwanaście tabletek dziennie, potem pewnego dnia rzuciłem kompletnie i czułem się absolutnie okropnie. „Dzieje się ze mną coś bardzo złego”, myślałem, ale nie przerywałem. „Dokończę ten sezon *Przyjaciół*, a potem zgłoszę się na jakąś terapię”.

O mało się wtedy nie wykończyłem. Gdyby sezon trwał jeszcze kolejny miesiąc, już by mnie tu nie było.

Podczas pracy nigdy nie byłem na haju. Uwielbiałem tych ludzi – zawsze chciałem się dla nich starać i byłem drugim bazowym New York Yankees. Ale uzależnienie budzi się, zanim sam się obudzisz, i chce cię mieć tylko dla siebie. Alkoholizm zwycięży za każdym razem. Gdy tylko podniesiesz rękę i powiesz: „Mam problem”, alkohol szydzi: „Chcesz coś powiedzieć? W porządku, zniknę na jakiś czas. Ale wrócę”.

Nigdy nie znika na dobre.

Szybko zaklepałem kolejny film, *Bohaterowie z przypadku*, komedię, w której występował Chris Farley, a reżyserem był Christopher Guest. Zapłacili mi za to dwa miliony dolarów. Kręciliśmy w górnianej części północnej Kalifornii, niedaleko Eureka. Farley był dokładnie tak zabawny, jak możecie sobie wyobrazić, chociaż jego uzależnienia w połączeniu z moimi oznaczały, że z trudem daliśmy radę dokończyć tę cholerną rzecz. Kręciłem w tym samym czasie *Przyjaciół* i *Bohaterów z przypadku* i byłem zmęczony. Tabletki nie działały tak jak dawniej. Musiałem wziąć garść tylko po to, żeby nie mdliło mnie przez cały czas.

Jedzenie kłóciło się z ćpaniem, więc nic nie jadłem. Poza tym i tak zawsze miałem takie nudności, że nie chciało mi się jeść. Ciągle

wymiotowałem. Nie był to wielki problem na osobności, ale nie jest już tak prosto, kiedy jesteś w środku lasu i rozmawiasz z Christopherem Guestem. „Za trzydzieści sekund się porzygasz. Lepiej wymyśl jakąś wymówkę, żeby przeprosić i odejść”. Wymiotowałem za drzewami, za głazami, w damskich toaletach. Słyszałem opowieści o ludziach przeglądających własne wymiociny w poszukiwaniu kawałków tabletek, które mogliby ponownie zażyć, ale nie mogłem się do tego zmusić. Miałem już w kieszeni tyłu lekarzy, że rzadko czułem potrzebę tego typu. Ale w toalecie trzymałem dwa ręczniki – jeden do wycierania wymiocin, a drugi do ocierania łez. Umierałem, lecz nie mogłem nikomu o tym powiedzieć.

Potem zmarł Chris Farley. Jego choroba postąpiła szybciej niż moja. (Poza tym czułem zdrowy lęk przed słowem „heroina”; był to lęk, którego nie podzielaliśmy). Gdy się o tym dowiedziałem, wybiłem pięścią dziurę w ścianie garderoby Jennifer Aniston. A Keanu Reeves nadal kroczy pośród nas. Musiałem promować *Bohaterów z przypadku* dwa tygodnie po jego śmierci; publicznie omawiałem jego śmierć spowodowaną przez narkotyki i alkohol.

Przez cały ten czas byłem naćpany.

Nikt o tym nie wiedział – ani moja rodzina, ani znajomi, nikt. Nieustannie niemożliwie mnie mdliło. Co jakiś czas próbowałem rzucić prochy – trzy dni tu, cztery dni tam – ale to tylko sprawiało, że czułem się tak chory i tak zbierało mi się na wymioty, że nie dało się tego utrzymać.

Pewnego wieczoru siedziałem w domu i próbowałem znaleźć w tym wszystkim jakiś sens, gdy zadzwoniła moja była dziewczyna.

– Wiem, że dzieje się z tobą coś złego – powiedziała. – Zabieram cię do lekarza.

Poddałem się. Wszystko jej opowiedziałem. Nigdy tyle nie przepłakałem w życiu. Tajemnica się wydała. Ktoś jeszcze wiedział.

Następnego dnia poszedłem do lekarza. Kazał mi udać się do Hazelden.

– Mają tam duże jezioro – powiedział lekarz, a ja pomyślałem: „To Minnesota, dość blisko do Kanady. Przynajmniej będę się czuł jak w domu przy tej gównianej pogodzie...”.

Ale byłem tak przerażony, że odchodziłem od zmysłów. To było realne. Jechałem na odwyk. Miałem dwadzieścia sześć lat.

Udałem się do Hazelden, żeby odstawić prochy, i udało mi się nie nauczyć absolutnie niczego.

Plan był taki, że przed wyprawą do Minnesoty przejdę błyskawiczny detoks. W ramach błyskawicznego detoksu wprowadzają cię w śpiączkę na dwa lub trzy dni i wypełniają antagonistami opiatów. Na końcu powinieneś być trzeźwy. (Tak przy okazji, teraz wiem, że to nie działa, choć nadal stosuje się to jako terapię).

I tak oto poddałem się błyskawicznemu detoksowi, a potem udałem do Hazelden, ale po przyjeździe czułem się jak trup. O detoksach od opioidów mawiają, że nie mogą cię zabić, ale mogą sprawić, iż pożałujesz, że nie umarłeś. (Detoksy, które mogą cię zabić, to te od alkoholu i benzo). Leżałem w swoim pokoju w Hazelden i byłem niewiarygodnie chory – kopałem jak pieprzony pies. Wierzgałem rękoma i nogami w czystym przerażeniu. Nieustannie błagałem o odrobinę ulgi, ale odpowiadano mi tylko: „Jesteś po detoksie, po prostu się rozluźnij”.

Ale nie byłem czysty – jedynie zszedłem z pięćdziesięciu pięciu tabletek vicodinu dziennie do zera, w sumie nagle odstawiłem go całkowicie. Zacząłem, jak mawiają, „tulić się do ścian” – aby zrobić choćby kilka kroków, musiałem przytrzymać się najbliższej ściany.

Teraz wiem, że gdybym nie przeszedł błyskawicznego detoksu, daliby mi coś na złagodzenie tej agonii, ale uznali, że jestem po detoksie, więc zostawili mnie w spokoju. Zejście z pięćdziesięciu pięciu do zera pokazuje, że chyba byłem cholernie silną osobą, była to jednak najczystsza forma piekła.

Mniej więcej w dziesiątym dniu mojego pobytu uczestniczyłem w sesji grupowej, gdy wszystko trochę się zamgliło. Podobno powtarzałem: „Wszystko w porządku, totalnie w porządku”, ale nie było w porządku. Nauka wpojona mi w dzieciństwie – że nigdy nie mogę być niegrzecznym chłopcem – była tak ugruntowana, że chyba nawet podczas silnego ataku padaczki musiałem się upewnić, że nie robię zamieszania.

Gdy ocknąłem się po ataku, byłem znów we własnym pokoju, gdzie zebrał się cały przerażony zespół. Nie wiedząc, co się stało, i wyraźnie nadal dezorientowany, powiedziałem:

– O mój Boże, nie wierzę, że przyjechaliście do Kalifornii, żeby się ze mną zobaczyć. To takie miłe!

– Nie jesteś w Kalifornii – sprostował ktoś – tylko w Minnesocie. Miałeś atak padaczki.

Zostałem tam przez kolejne dwa tygodnie, a pod koniec pobytu czułem się, jakbym zarządzał tym miejscem; byłem tam królem. Mój sposób zarządzania opierał się na naśladowaniu Michaela Keatona w filmie *Czysty i trzeźwy*. Byłem na tyle młody, że przybrałem na wadze, pograłem trochę w tenisa i przestałem łykać prochy. W duchu jednak wiedziałem, że znów zacznę pić. Gdy poczułem się lepiej, wróciłem do Kalifornii – nie wróciłem do normalności, ale czułem się dobrze. Ale jak już powiedziałem, nie dowiedziałem się niczego o tym, co się ze mną dzieje. Nie dowiedziałem się o AA ani o tym, jak wieść trzeźwe życie; po prostu odstawiłem vicodin, i tyle. Dla tych z was, którzy oglądali serial, był to początek czwartego sezonu – wtedy wyglądałem najlepiej. Nadal nie dość dobrze dla Jennifer Aniston, ale całkiem nieźle.

Po powrocie do Kalifornii wytrwałem sześćdziesiąt osiem dni, a potem wypilem pierwszego drinka, hołdując teorii, że przecież to nie picie o mało mnie nie zabiło, tylko opiaty. Wódka tylko wypełniała pustkę, a ponieważ ta pustka nadal istniała, coś musiało ją zapęłnić.

Piłem co wieczór do 2001 roku.

Okres poprzedzający Hazelden był prawdopodobnie najlepszym rokiem w moim życiu, najlepszym rokiem, jaki ktokolwiek mógłby sobie wymarzyć. Radości płynące ze sławy jeszcze nie wyparowały do końca, chociaż gdybym wtedy umarł, na moim nagłówku widniałby napis: TU LEŻY MATTHEW PERRY – ZERWAŁ Z JULIĄ ROBERTS albo CZY MÓGŁBYM BYĆ GŁUPSZY I BARDZIEJ MARTWY?

W 1999 roku ostro zadurzyłem się w kobiecie, z którą pracowałem przy filmie. (Zaczynałem mieć historię zakochiwania się w kobietach, które były sławne, jak moja matka kiedyś w Kanadzie). Wszystkie mury runęły, a ja byłem po prostu sobą... a potem ona wybrała kogoś innego, w kim się zakochała.

Byłem w stanie zdobyć większość osób, których pragnąłem, ale ten przypadek nadal boli. Co tylko pokazuje, że wyjątek potwierdza regułę: gdy kogoś zdobędę, muszę zostawić tę osobę, zanim ona mnie zostawi, bo przecież jestem niewystarczający i zaraz to wyjdzie na jaw, lecz gdy ktoś, kogo chcę, nie wybiera mnie, to tylko dowodzi, że nie wystarczam i że to wyszło na jaw. Orzeł: ona wygra, reszka – ja przegram. Tak czy siak, do dziś, jeśli ktoś wymieni jej imię, czuję ucisk w żołądku. Lęk, który powoduje mną w każdej minucie, ziścił się. Wspomniała nawet, że moje picie jest problemem – kolejny koszt mojego uzależnienia. Pomyślelibyście, że to mogłoby mnie otrzeźwić, ale tylko pogorszyło sytuację. Zapaliłem świece w całym domu, piłem, obejrzałem film, w którym razem wystąpiliśmy, dręczyłem się, samotny, ze złamanym sercem, starając się o tym zapomnieć. Bezskutecznie.

Byłem wzdęty i wyglądałem strasznie, i było to niebezpieczne.

Pamiętam, jak zdałem sobie sprawę, gdy byłem w dziewiątej klasie w Ottawie, że Michael J. Fox miał film numer jeden i serial telewizyjny numer jeden jednocześnie, i nawet wtedy, w wieku czternastu lat, parowało mi z uszu z zawiści. Później powiedziałem „New York Timesowi”:

„Chcesz uwagi, chcesz kasy i chcesz najlepszego miejsca w restauracji”. Przewińmy do przerwy między sezonem piątym i szóstym *Przyjaciółt*. Gram w *Jak ugryźć dziesięć milionów*, który miał premierę na początku 2000 roku, i oczywiście miałem swój serial telewizyjny numer jeden i film numer jeden.

A ja? Łykałem tyle prochów, że nie byłem w stanie wyjść z sypialni. W czasie, gdy moglibyście pomyśleć, że Matthew Perry świętował i był ulubieńcem całego miasta, ja tylko zadawałem się z dilerami narkotyków i żyłem w ciemnych pomieszczeniach i w czarnej rozpacz.

W przyrodzie, gdy pingwin zostaje ranny, inne pingwiny otaczają go i podpierają, dopóki nie poczuje się lepiej. To właśnie robili dla mnie koledzy i koleżanki z *Przyjaciółt*. Czasem przychodziłem na plan strasznie skacowany, a Jen i Courteney, które uważały treningi kardio za lekarstwo na wszystko, ustawiły za kulisami rower spinningowy. Pomiedzy próbami i nagraniami wychodziłem tam i jeździłem na nim, jakby ścigały mnie ognie piekielne – robiłem wszystko, aby tylko przywrócić moc umysłu. Byłem pingwinem – rannym, ale zdeterminowanym, by nie zawieść tych cudownych ludzi ani nie zawalić serialu.

Uzależnienie nadal mnie niszczyło – pewnego razu, w scenie w kawiarni, gdy mam na sobie garnitur, zasnąłem na kanapie, a katastrofie zapobiegł Matt LeBlanc, który szturchnął mnie i obudził tuż przed moją kwestią; nikt tego nie zauważył, ale ja wiedziałem, jak blisko krawędzi byłem.

Ale zawsze stawiałem się na planie i zawsze znałem kwestie.

Nagle zachorowałem na zapalenie trzustki. Miałem trzydzieści lat.

To było podczas przerwy. Byłem sam, znowu, nic się nie działo – nie kręciłem żadnego filmu, nie było niczego, tylko czas ciągnący się powoli jak smoła, zsuwający się wężami Los Angeles w kierunku bezkresnego oceanu. Siedziałem w domu miesiącami i piłem – sam, żebym mógł pić; piłem, więc byłem sam. (Jak już mówiłem, alkoholizm rozpaczliwie pragnie dopaść cię, gdy jesteś sam). Oglądałem w kółko film *Joe Black*,

choć opowiada o śmierci (czyli mnie) próbującej rozgryźć, czym jest miłość. Doskonale. Ale to było tak, jakbym sam był Joe Blackiem, pytanym ciągle: „Co teraz robimy?”. Byłem jak śmierć: piłem, oglądałem film, traciłem przytomność, budziłem się, piłem, oglądałem film, traciłem przytomność.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, poczułem, jak w mój brzuch wsuwa się nóż. Przebił otrzewną, lekko się przekręcił, jego ząbkowane ostrze zahaczyło o żyły, podgrzewając moją krew do wrzenia, i powędrował dalej. Nóż się zagłębiał, a ja usłyszałem, jak krzyczę z bólu, jak zwierzę rozdzierane na strzępy w wąwozie.

Zadzwoiłem do swojej tak jakby dziewczyny w tamtym czasie, cudownej Jamie Tarses, i udało mi się powiedzieć:

– Coś jest nie tak.

Jamie była aniołem z niebios – przyjechała prosto do mojego domu, wsadziła mnie, przelewającego się przez ręce, do samochodu i zawiozła do najbliższego szpitala.

Na izbie przyjęć krzyczałem:

– Musicie mi zrobić płukanie żołądka! Musicie mi zrobić płukanie żołądka!

Lekarz tylko na mnie spojrzał.

– Nie muszę panu płukać żołądka. To nie zatrucie pokarmowe.

– To co to jest, do kurwy nędzy?! – zawyłem.

– Ma pan zapalenie trzustki – odparł. – Coś, czego można dostać jedynie od nadużywania alkoholu.

Tak naprawdę jest kilka przyczyn zapalenia trzustki – możecie mieć chorobę autoimmunologiczną, infekcję, kamice żółciową, ale przeważnie dostaje się tego, gdy pije się w chuj alkoholu. O zapaleniu trzustki u trzydziestolatka jeszcze nikt nie słyszał. Brawo ja! Kolejny rekord.

– Pierdolę to – powiedziałem. – Nie, wcale nie piję za dużo...

Mógł to być wstyd, mogło to być wyparcie. Myślę, że trudno je rozróżnić. Cokolwiek to było, zmusiłem Jamie, aby odwiozła mnie do domu.

Po jakiejś godzinie spędzonej w domu wiedziałem, że coś jest bardzo nie tak, więc tym razem pojechaliśmy do innego szpitala, w którym dostaliśmy tę samą odpowiedź.

Przez trzydzieści dni i nocy leżałem w szpitalu, gdzie podawano mi płyny przez kroplówkę (jedynym sposobem leczenia zapalenia trzustki jest zostawienie jej w spokoju, co oznaczało, że nie mogłem nic jeść ani pić przez trzydzieści dni) i każdej z tych nocy zasypiałem z Jamie Tarses przy boku – kazała sobie nawet przywieźć łóżko – więc budziłem się także w jej obecności. (Nadal uważam, że Jamie była posłańcem od dobrotliwego Boga i że nikt z nas nie był jej wart – wiem, że ja nie byłem). Oglądaliśmy w kółko serial *Prezydencki poker*, a ja paliłem – tak, paliłem w swojej sali szpitalnej. To były inne czasy albo byłem tak cholernie sławny, że nie miało to znaczenia. W którymś momencie mnie przyłapali i kazali mi przestać. Byłem jednak tak zdesperowany, że wypisałem się ze szpitala na własne żądanie, zapaliłem papierosa i znowu się zgłosiłem.

Ponowne przyjęcie trwało siedem godzin. Ale było warto.

Aby złagodzić ból, podłączyli mnie do maszyny, która podawała mi stałe dawki leku o nazwie Dilaudid. To opioid zmieniający związek mózgu z bólem – gdyby tylko istniał w ludzkiej formie. Uwielbiałem dilaudid – był to mój nowy ulubiony lek i zostałem w tamtym szpitalu przez sto dni, gdyby dalej mi go podawali. Przez tamte trzydzieści dni miałem Jamie u boku, byłem naćpany i szczęśliwy. Szczególnie szczęśliwy, gdy podpisałem umowę na sezony szósty i siódmy, umowę, która dzięki bezinteresownemu i genialnemu pomysłowi Davida Schwimmera przyniosła nam pięćdziesiąt milionów dolarów. Podpisałem ten kontrakt z sondą pokarmową w ręce i dilaudidem krążącym w moim mózgu.

Ale skapnęli się – najwyraźniej prosiłem o zbyt duże dawki cudownego leku.

– Nic panu nie jest – powiedział lekarz. – Zapalenie trzustki ustąpiło. Musi pan wyjść do domu. Jutro.

– Czyli nie dacie mi dilaudidu na wieczór?

– Nie – odparł. – Nie damy.

Jakoś przetrwałem tę noc, ale nikt nie wiedział, co ze mną zrobić.

Z lewej strony sceny wchodzi mój ojciec. Niech go Bóg błogosławi. Zaproponował, abym zamieszkał z nim i jego rodziną w Ojai, mieście leżącym na północ od Los Angeles.

– Zamieszkał z nami – powiedział. – Pójdiesz na parę mityngów AA. Ogarniesz się.

To było nie najgorsze rozwiązanie, a ponieważ nie miałem nic innego do roboty, wróciłem do swojego domu przy Chelan Way w Hollywood Hills po parę rzeczy. Byłem trzeźwy, ale właśnie jechałem na dilaudidzie przez trzydzieści dni, więc nadal byłem na lekkim haju. Jamie czekała, podczas gdy ja spakowałem torbę, a potem pojechałem za nią swoim zielonym porsche krętymi drogami. Gdy skręciłem w pierwszą w lewo na Chelan Drive, zobaczyłem, jak środkiem drogi prosto na mnie jedzie furgonetka kuriera, więc gwałtownie skręciłem i wcisnąłem hamulec, ale koła natrafiły na jakąś trawę i samochód pojechał dalej, aż do schodów prowadzących do jakiegoś domu. Rozwalił je i wjechał do salonu. Na szczęście nikogo nie było w domu, ale auto nadawało się na złom, podobnie jak schody.

I znowu te pieprzone schody.

Zachowałem się jak trzeba i czekałem na przybycie policji. Zerkałem co chwilę na niebo, zastanawiając się, kiedy na moją głowę spadnie kolejne kreskówkowe kowadło. Byłem tam wystarczająco długo, aby ktoś zrobił mi zdjęcie i sprzedał je magazynowi „People” – mój samochód w czyimś domu, ja w drodze do zamieszkania z ojcem w Ojai.

Jakbym znów miał piętnaście lat i mieszkał z ojcem w Kalifornii. Codziennie przyjeżdżał po mnie samochód, który zawoził mnie na plan *Przyjaciół*. Ale nie minęło wiele czasu i znów sięgnąłem po vicodin, a potem znów zacząłem pić i znów mi się to spodobało. Zacytuję mojego terapeutę: „Rzeczywistość to smak nabyty”, a mnie nie udało się go nabyć. Przemyciałem narkotyki i alkohol do domu mojego ojca; jego żonę tak to złościło, że w końcu ojciec bardzo spokojnie powiedział mi, że muszę się stamtąd zabrać.

„W porządku, zabiorę się stąd, ale żadne z was nigdy nie zobaczy ani centa z moich pieniędzy” – pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos.

Wróciłem na następny sezon *Przyjaciół* napruty i wszyscy wiedzieli, że coś z tym trzeba zrobić.

Słyszałem już o metadonie, leku, którego jeden mały łyk podobno mógłby mnie uwolnić od konieczności łykania pięćdziesięciu pięciu tabletek vicodinu dziennie. Jedyne haczyk polegał na tym, że musiałeś wypijać ten jeden łyżeczek dziennie albo czekał cię poważny zespół odstawienia. „Jak dla mnie brzmi dobrze” – pomyślał mój zdesperowany umysł. Dostałem lek natychmiast i mogłem wrócić do *Przyjaciół* następnego dnia, ostry jak brzytwa.

Powiedziano mi, że metadon nie ma żadnych skutków ubocznych. To nie była prawda. Tak naprawdę był to początek końca.

Poza tym wszystko grało. *Przyjaciele* nadal byli sukcesem. A potem inny członek obsady przyszedł do mojej przyczepy. Tym razem nie był to David i nie była to dobra wiadomość.

– Wiem, że pijesz – powiedziała.

Dawno już przestałem się w niej podkochiwać – od kiedy zaczęła się spotykać z Bradem Pittem, pogodziłem się z tym – i obmyśliłem, ile dokładnie czasu mogę patrzeć na nią, żeby nie było to niezręczne, a jednak konfrontacja z Jennifer Aniston była druzgocąca. A ja byłem skołowany.

– Skąd wiesz? – zapytałem. Przecież nigdy nie pracowałem pijany. – Starąłem się to ukryć...

– Czujemy zapach – odparła, w nieco dziwny, ale życzliwy sposób, a liczba mnoga była jak uderzenie obuchem.

– Wiem, że za dużo piję – przyznałem – ale nie do końca wiem, co z tym zrobić.

Czasem nie byłem w dość dobrej formie, żeby wsiąść do samochodu i pojechać na plan (nigdy nie pracowałem na haju, ale z pewnością na kacu), więc brałem limuzynę – powiem wam, że to ściąga pełne wątpliwości spojrzenia. Każdy pytał, czy wszystko u mnie w porządku, ale nikt nie chciał zatrzymać pociągu *Przyjaciół*, bo serial był żyłą złotą, a ja czułem się z tym po prostu okropnie. Moja największa radość stała się zarazem największym koszmarem – byłem tak bliski schrzanienia tej cudownej rzeczy.

W końcu dostałem w pracy towarzysza trzeźwości¹⁰, ale to tak naprawdę nie pomagało. Pewnego dnia wziąłem jakieś leki, a że dzień wcześniej piłem, to kopnęło mnie podczas próby na oczach wszystkich. Ale to miało ciekawy zwrot: byłem nawalony, ale nie wiedziałem tego, więc uważałem, że nie ma niczego do ukrycia. Nie wiedziałem, że jestem nawalony, ale bełkotałem. Ludzie nie mogli zrozumieć ani słowa z tego, co wydobyło z moich ust. A ja nie miałem o tym pojęcia.

Gdy wróciłem do garderoby, znów czekała tam na mnie cała ekipa serialu.

– Co zamierzasz zrobić, Matty? – zapytali.

– To leki, załatwię to. Przepraszam.

Tamtego wieczoru nie piłem, a następnego dnia stawiłem się do pracy, ale stąpałem po cienkim lodzie.

Zadzwoiłem do swojego menedżera.

– No – powiedział. – Przyłapali cię.

Scenarzyści, obsada – cholera, wszyscy – już wiedzieli, więc powiedziałem:

– Musisz mi załatwić jakiś film. Zaraz. Zabierz mnie stąd.

Kolejny raz moim rozwiązaniem była przeprowadzka. Nadal uważałem, że jeśli usunę się z sytuacji, w której się znalazłem, będę w stanie rzucić wszelkie prochy i picie i dać z siebie wszystko, żeby wygrać. (W rzeczywistości tylko potrajałem swoje obowiązki zawodowe, podczas gdy picie i prochy dalej eskalowały). Ponieważ dokądkolwiek pójdziesz, tam jesteś. To również przypomniało mi o czasie, gdy błagałem o pilota i dostałem *L.A.X. 2194*. Wtedy miałem dość energii, aby dostać rolę w pilocie, a dzięki temu dość pieniędzy, aby pić w Formosie; teraz, u świtu nowego stulecia, miałem dość energii, aby dostać rolę w filmie, jeśli chciałem. *Kto pierwszy, ten lepszy* miał być nagrywany w Dallas, a ja nie miałem pojęcia, dlaczego uznałem, że będzie to doskonałe miejsce na wytrzeźwienie...

Kto pierwszy, ten lepszy okazał się kiepskim filmem, jeszcze gorszym przez to, jak kiepsko w nim zagrałem.

Byłem w fatalnej formie, kompletnie przeciążony. Pracowałem przez cztery dni w tygodniu przy filmie, po czym wracałem prywatnym samolotem do Los Angeles, żeby grać w *Przyjaciołach*. W samolocie miałem napełniony wódką bidon, z którego ciągle popijałem, gdy czytałem swoje kwestie. (Właściwie, jeśli dobrze liczyć, jechałem na metadonie, xanaksie, kokainie i pełnej ćwiartce wódki dziennie). Pewnego dnia w Dallas pojawiłem się, żeby nagrać scenę, i zorientowałem się, że nagraliśmy ją parę dni wcześniej. Wszystko się sypało.

Jamie Tarses – piękna, wspaniała, troskliwa, genialna Jamie Tarses – przyleciała do Teksasu i w zasadzie robiła za moją pielęgniarkę, ale ja nadal piłem i łykałem prochy, i próbowałem to przed nią ukryć. Pewnego

wieczoru oglądaliśmy telewizję, gdy w pewnej chwili Jamie spojrzała na mnie i zauważyła:

– Wyglądasz, jakbyś zniknął.

Otworzyło się okno – wprawdzie ledwie widoczna szczelina, ale było otwarte.

– Nie chcę zniknąć – wyszeptałem. – Zatrzymaj wszystko.

Zadzwoiłem do swojego menedżera, zadzwoniłem do ojca, obdzwoiłem wszystkich.

– Jestem kompletnie rozpiardolony – powiedziałem. – Potrzebuję pomocy. Muszę pójść na odwyk.

Zdjęcia do *Kto pierwszy, ten lepszy* przerwano, co później kosztowało mnie sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Niewielka cena za ocalenie mojego życia. *Przyjaciele* przesunęli moje sceny. A ja udałem się do ośrodka odwykowego, tym razem w Marina del Rey, w zachodniej części Los Angeles. Byłem samochodem, który właśnie z prędkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę uderzył w mur; zielonym porsche uderzającym w schody. (Pieprzone, *pieprzone* schody).

Pierwszego dnia oznajmili:

– Idź do swojego pokoju. Nie bierzesz już więcej leków.

Ale równie dobrze mogli powiedzieć:

Idź do swojego pokoju i po prostu przestań oddychać.

Ale ja muszę oddychać, żeby żyć.

Nie. Ludzie już to robili. Poszli tam i przestali oddychać.

Dokładnie tak się czułem.

Spędziłem tam miesiąc. Pewnego wieczoru paliłem papierosa, padał deszcz, w palarni huśtała się żarówka, a ja powiedziałem na głos:

– Tak wygląda piekło. Jestem w piekle.

To właśnie w del Rey sięgnąłem w końcu po „Wielką Księgę” Anonimowych Alkoholików. Na jakiejś trzydziestej stronie przeczytałem:

„Ci ludzie nie pili po to, aby uciec; pili, aby pokonać pragnienie, które wymykało się kontroli ich umysłu”.

Zamknąłem książkę i się rozplakałem. Płacę teraz na samą myśl o tym. Nie byłem sam. Istniała cała grupa ludzi, którzy myśleli tak jak ja. (A William Silkworth napisał to 27 lipca 1938 roku). Była to wspaniała i zarazem straszna chwila. Ten fragment oznaczał, że już nigdy nie będę sam. Oznaczał również, że jestem alkoholikiem i będę musiał rzucać picie i prochy teraz i codziennie, dzień po dniu, przez resztę mojego życia.

Ludzie z Marina del Rey stwierdzili: „Ten gość to hardkor. Trzydzieści dni mu nie wystarczy. Potrzebuje dłuższej terapii”, i wysłali mnie do ośrodka w Malibu, gdzie spędziłem pierwsze dwanaście dni kompletnie bez snu. Moje enzymy wątrobowe wystrzeliły poza skalę. Ale po jakichś trzech miesiącach trochę mi się poprawiło – uczestniczyłem w terapii grupowej i „starałem się”, jak mawiają.

Mieszkałem w ośrodku odwykowym, gdy Monica i Chandler wzięli ślub. To było 17 maja 2001 roku.

Dwa miesiące wcześniej, 25 marca 2001 roku, byłem w trakcie detoksu, gdy ludzie u władzy postanowili dać nam wszystkim wolny wieczór na oglądanie oscarowej gali. Leżałem tam, zlany potem i targany drgawkami, przepełniony lękiem, ledwie słuchając, gdy Kevin Spacey wszedł na podium i zaintonował:

– W kategorii najlepsza aktorka pierwszoplanowa nominowano:

Joan Allen za rolę w filmie *Ukryta prawda*,

Julliette Binoche za rolę w filmie *Czekolada*,

Ellen Burstyn za rolę w filmie *Requiem dla snu*,

Laure Linney za rolę w filmie *Możesz na mnie liczyć*,

oraz

Julię Roberts za rolę w filmie *Erin Brockovich*.

A Oscara otrzymuje... Julia Roberts!

Patrzyłem, jak Julia całuje swojego ówczesnego chłopaka, Benjamina Bratta, i wchodzi po schodach, aby odebrać nagrodę.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – powiedziała. – Jestem *taka* szczęśliwa...

Gdy wygłaszała swoją mowę, w tamtym ośrodku odwykowym odezwał się głos: nagły, smutny, gniewny, błagalny, przepełniony tęsknotą i łzami, kłóący się ze wszechświatem, podczas gdy Bóg spokojnie postukiwał laską w twarde, zimny świat.

Zażartowałem.

– Przyjmę cię z powrotem – powiedziałem. – Przyjmę cię z powrotem.

Cała sala wybuchła śmiechem, choć nie była to zabawna kwestia w sitcomie. Teraz to było prawdziwe życie. Ci ludzie z telewizji nie byli już moimi ludźmi. Nie, moimi ludźmi byli ci, przed którymi leżałem i trząłem się, opatulony kocami. I miałem szczęście, że ich mam. Ratowali mi życie.

Gdy Julia przeżywała swój wielki wieczór w Hollywood, ja wgramoliłem się do łóżka i wgapiłem w sufit. Tamtej nocy nie mogłem zasnąć. Myśli miały się po mojej głowie, jakby ktoś wystrzelił pocisk w aluminiową puszkę: „Tamten niebieski samochód, tamten górski szczyt. Wszystkie niebieskie samochody, wszystkie górskie szczyty, nie ma ich, zniknęły jak eter w próżni strachu”. Ogromnie cieszyłem się jej szczęściem. Ja sam byłem po prostu wdzięczny, że przeżyłem kolejny dzień. Gdy jesteś na dnie, dni są długie.

Nie potrzebowałem Oscara. Potrzebowałem tylko kolejnego dnia.

Interludium. Otchłań

Uzależnienie jest jak Joker. Pragnie tylko zobaczyć, jak cały świat płonie.

Rozdział 6. Bruce Willis

Po trzech długich miesiącach odwyku nareszcie poczułem się lepiej.

Stanąłem na nogi przejęty myślą, że przestanę żyć pod dyktando alkoholizmu i uzależnienia. Nie piłem i nie ćpałem, w ogóle straciłem na to ochotę. Ster przejęło coś wykraczającego daleko poza mnie. Cuda się zdarzają.

Pierwszym posunięciem, jakie wykonałem, było złożenie wizyty Jamie Tarses.

– Potrzebuję czasu, żeby się oswoić z byciem trzeźwym – oznajmiłem. – Dlatego będzie mi go brakowało na inne rzeczy. Jestem ci niewymownie wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Zaczęła blednąć.

– Po prostu... nie mogę sobie teraz pozwolić na związek – dodałem.

Żeby była jasność: w ramach należytego zadośćuczynienia dla wspaniałej, kochanej Jamie za to, że na dwa lata zawiesiła na kołku znaczną część swojego wypełnionego ważnymi obowiązkami życia, by w praktyce robić za moją niańkę, wziąłem i zakończyłem nasz związek. Jamie Tarses była jedną z naj: cudowniejszych, piękniejszych, inteligentniejszych... Uwielbiałem sposób, w jaki działał jej umysł. No ale cóż, zerwałem z nią – co jedynie dowodzi faktu, że bycie trzeźwym wcale nie uczyniło mnie mądrzejszym; jeśli już, to przeciwnie: sprawiło, że stałem się totalnym idiotą. Jamie była bodaj najbardziej wyjątkową osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem na swojej drodze, w dodatku kochała mnie. Tyle że nie byłem na to gotowy.

Tamtego dnia oczywiście wcisnąłem Jamie kit. Byłem przecież wielką, od niedawna trzeźwą gwiazdą, i myślałem tylko o tym, żeby zaliczać wszystkie dziewczyny w południowej Kalifornii.

Co też robiłem. (Tu powinien się znaleźć rysunek z kowadłem lądującym na mojej głowie).

Z racji mojego gwiazdorskiego statusu bez trudu znajdowałem chętne dziewczyny. Każde spotkanie zaczynałem następującymi słowami:

– Cześć, przepraszam za spóźnienie. Super wyglądasz, wiesz? Nie mogłem się doczekać, kiedy cię wreszcie poznam. – Pauza na stosowną pozytywną reakcję. – Chciałbym, żeby od początku nie było między nami żadnych niedomówień. Dlatego możesz czytać we mnie jak w otwartej księdze. Pytaj, o co chcesz, a ja będę odpowiadał zgodnie z prawdą.

Tu następowała dalsza wymiana serdeczności. Jeśli wszystko szło po mojej myśli, dziewczyna skwapliwie potakiwała, doceniając moją szczerość, emocjonalną ekspresywność i otaczającą mnie aurę układnego zaangażowania.

Wtedy waliłem z grubej rury.

– Nie jestem pewien, czego szukasz, ale jeżeli zależy ci na emocjonalnej więzi, to zdecydowanie nie polecam siebie. – Pauza, żeby dotarło. – Nie będę do ciebie wydzwaniał. Nie zostanę twoim chłopakiem. Natomiast jeśli chcesz się po prostu zabawić, to zdecydowanie dobrze trafiłaś.

Jak się okazuje, Cyndi Lauper – wielka filozofka dwudziestego wieku – miała rację: dziewczyny rzeczywiście chcą się po prostu zabawić. Na wypadek gdyby przekaz nie był wystarczająco jasny, zwykle dodawałem odrobinę pieprzu dla podkreślenia smaku tej uderzającej do głowy potrawy, którą im serwowałem.

– Jestem niezwykle namiętną osobą – mówiłem lekko speszony, żeby nie pomyślały, że jest dokładnie na odwrót. – Właściwie to też trochę ze mnie romantyk. Nawet kiedy wyciskam siódme poty na orbitreku, słucham piosenek o kobietach pod presją.

– Co nie zmienia faktu, że nie jestem gotowy na to, by zaangażować się emocjonalnie – powtarzałem, chcąc mieć całkowitą pewność, że zostałem

dobrze zrozumiany. – Od niedawna jestem trzeźwy, przed momentem zakończyłem długi związek i nie szukam kolejnego.

Po tych słowach zwykle stawiałem kropkę nad i.

– Pewnie chciałabyś zajrzeć do menu? Słyszałem, że znakomicie tu karmią.

Zdumiewa mnie, jak wiele kobiet udawało mi się omamić czymś takim. Spora część z nich zapewne łudziła się, że zdoła mnie zmienić. Słucham? Ach, naturalnie. Zdarzało się, że jedna czy druga nagle wstawiała od stolika i wychodziła. Niektóre odpowiadały: „Nie interesuje mnie to”, po czym przerywały randkę. Nikogo chyba nie zdziwi, jeśli powiem, że to właśnie one najbardziej mnie fascynowały.

Ale w większości przypadków mój monolog działał bez zarzutu.

Piszę „działał”, ale to przecież oczywiste, że gdyby w dowolnej chwili podmienić moją głowę na ośli zad, nikt by nawet nie zauważył różnicy. Nie dość, że zerwałem z najwspanialszą kobietą pod słońcem, to jeszcze proponowałem tym wszystkim dziewczynom coś, co było jedną wielką stratą jebanego czasu. Seks jest super i w ogóle, ale uważam, że gdybym poświęcił tamte lata na coś więcej niż tylko cczą zabawę, byłbym dziś o wiele bardziej spełnionym człowiekiem.

Niewykluczone, że to była moja największa pomyłka w życiu wręcz usianym błędami – które, jak wiadomo, bardzo trudno się naprawia.

Poznałem wtedy co najmniej pięć kobiet, o których myślałem, że mógłbym się z nimi ożenić i mieć dzieci. Gdybym to zrobił, nie siedziałbym teraz sam jak palec w wielkim domu z widokiem na ocean, nie mając go z kim dzielić, jeśli nie liczyć towarzysza trzeźwości, pielęgniarce i ogrodnika dwa razy w tygodniu. Nawiasem mówiąc, tego ostatniego często muszę przekupywać studolarówką, żeby wyłączył pierdoloną dmuchawę do liści. Nie do wiary, że wysłaliśmy człowieka na Księżyc, a nie potrafimy wyciszyć tego cholerstwa.

Jedną z tych kobiet była Natasha Wagner. Piękna, inteligentna, troskliwa i seksowna. Córka Natalie Wood i Richarda Gregsona. Po tragicznej śmierci matki zamieszkała z ojczymem, Robertem Wagnerem, a potem również z jego żoną, Jill St. John. Natasha miała wszystko, była doskonała! Tyle że wcale nie szukałem doskonałości, po prostu chciałem *więcej*, coraz więcej i więcej. Nasze drogi się rozeszły, ponieważ po tym, jak wygłosiłem przed Natashą przemowę, nie pociągnąłem odpowiednio tematu i nie zaczęliśmy się normalnie spotykać. Pozostało mi więc szukanie kolejnych, jeszcze doskonalszych kobiet, mimo że przecież już je znalazłem.

Kilka lat później jechałem Pacific Coast Highway samochodem z rodzaju tych, które służą do pokazania, jak bardzo masz wszystkich w dupie; kabrioletem tak wypasionym, że dziś za nic nie potrafię sobie przypomnieć jego marki. Jechałem wpatrzony w załamujące się srebrne tafle, powstałe wskutek wybarwienia fal przyboju przez ostre promienie słońca. Na brzegu kolesie z deskami surfingowymi nadaremnie czekali na tę Jedną Jedyną. Doskonale rozumiałem ich uczucia.

Nagle zabrzączał telefon. Dzwoniła Natasha. Zadurzyła się we mnie, dlatego musiałem ją spławić – „taką masz zasadę, Matty, taką masz zasadę!” – ale pomimo odrzucenia wciąż zachowywała się przyjaźnie.

– Hej, Matty! – odezwała się typowym dla siebie pogodnym tonem. Zawsze, bez względu na okoliczności, była promienna jak poranek nad oceanem. Czasem musiałem odwracać wzrok, żeby nie dać się oślepić.

– Cześć, Natasho! – Jak wspaniale, że się odezwała. – Co u ciebie?

Może, skoro do mnie przekreśliła, istniała szansa, żebyśmy...

– Zostałam mamą! – oznajmiła. – Niedawno urodziłam córeczkę. Ma na imię Clover!

– O proszę... – mruknąłem, ale szybko się otrząsnąłem, a przynajmniej tak mi się wydawało. – Wspaniała wiadomość. I piękne imię!

Pogadaliśmy jeszcze przez kilka chwil, a potem się rozłączyliśmy. Wtedy, zupełnie nagle, mój szpanerski wóz zaczął zjeżdżać na bok – ponieważ *ja*

go tam kierowałem – i zahamował gwałtownie tuż na skraju urwiska. Słońce nadal wisało wysoko na niebie, surferzy ujeżdżali spienione grzbiety, a ja siedziałem zdumiony siłą swoich emocji. Przez moją głowę przetaczała się wielka fala, na którą wszyscy tak bardzo czekali.

– Mogła mieć to dziecko ze mną – rzuciłem w powietrze, łkając jak niemowlę.

Czułem się tak strasznie nieszczęśliwy i samotny. Przeplakałem dobre trzy kwadranse, zanim stopniowo, niczym chmury, które zasnuwają niebo nad oceanem, nasunęła mi się nowa myśl.

„To było mocne...” – stwierdziłem w duchu.

Zastanawiałem się, jaka mogła być przyczyna aż tak silnej reakcji. Czemu się rozsypałem? Łamałem sobie głowę, aż w końcu dotarło do mnie, co spieprzyłem: uganiałem się za godziną albo dwiema rozkoszy w ramionach kobiet, wielu kobiet, a w tym czasie życie przechodziło mi koło nosa. Po to trzeźwiałem? Żeby robić takie rzeczy bez opamiętania? Na pewno Bóg stworzył mnie do czegoś lepszego.

Musiałem odnaleźć sens istnienia. Życie Natashy było w pełnym rozkwicie, a moje stawało się jedną wielką pomyłką.

Ilekcio usiłuję rozgryźć mechanizmy uzależnienia i trzeźwości w moim przypadku, nieustająco zawieszam się na słowach: „Jestem w stanie wytrwać w trzeźwości, chyba że coś się wydarzy”.

W niektóre spokojne dni wracałem myślami do nieodległej przeszłości i zastanawiałem się, czemu właściwie sięgałem po prochy albo narkotyki po tym, jak wyszedłem na prostą. Kiedy byłem trzeźwy, w pełni sił i czułem się jak normalny człowiek, czasem wyobrażałem sobie, że w bejsbolówce i ciemnych okularach przechadzam się wśród zwykłych ludzi zwiedzających Rancho La Brea albo zatrzymuję się przy którejś z gwiazd w Alei Sław po to tylko, żeby się przekonać, jak to jest. Nie że:

„Jako celebryta jestem lepszy od nich”, ale: „Ach, więc tak wygląda życie na trzeźwo”.

Tyle że nadal często bywałem zaledwie gościem w tej krainie. Było mi strasznie trudno zapuścić w niej korzenie. Ale dlaczego? Przecież widziałem, jak setki ludzi dokoła mnie robią to zupełnie bezkarnie.

Spotykałem się niemal dosłownie ze wszystkimi kobietami w Los Angeles, ale też poznałem jedną w Nowym Jorku, do której zapalałem szczególnym uczuciem. Nie dochowywałem jej wierności, ale kochałem ją. Byłem sławny, od niedawna trzeźwy i miałem ochotę przelecieć całą żeńską populację hrabstwa Los Angeles. Wiele pań pozwalało się omamić, moja przemowa przynosiła efekty o wiele częściej, niż miała prawo. Tymczasem kobieta z Nowego Jorku była niczym troskliwa matka: niesamowicie opiekuńcza, do tego piękna, dlatego oczywiście ciągnęło mnie do niej – i dlatego oczywiście schrzaniłem sprawę. Na szczęście moje życie w tamtym czasie nie było wyłącznie pasmem porażek. W Los Angeles pomagałem innym w walce z uzależnieniem od alkoholu: przyjmowałem na siebie obowiązki sponsora¹¹, w razie potrzeby odbierałem telefony i udzielałem rad. *Przyjaciele* szli jak burza i nie musiałem się martwić, że serial stanie się kolejną rzeczą, którą spieprzę. Wszedłem w nowy sezon – nazwałem go „moim”, bo Chandler był na ustach wszystkich – z czystą głową. Nawiasem mówiąc, dziewiąty sezon *Przyjaciół* był jedynym, w którym od początku do końca zagrałem na trzeźwo. Ktoś zgadnie, kiedy zdobyłem swoją jedyną nominację do Emmy dla aktora komediowego? Tak jest, w trakcie trwania dziewiątego sezonu. To chyba o czymś świadczy, prawda? Co robiłem inaczej? *Słuchałem*. Nie stałem i nie czekałem na swoją kolej, by wygłosić kwestię. W aktorstwie słuchanie bywa ważniejsze od mówienia. Staram się kierować tą zasadą również w prawdziwym życiu. „Wiedz więcej, mów mniej” – to moja nowa mantra.

Zleciały dwa lata. „Może właśnie tak się czują normalni ludzie”, myślałem. Może odnalazłem swoje powołanie, niezwiązane z *Przyjaciółmi*

i moim statusem gwiazdy ani w ogóle z czymkolwiek. Może mam pomagać innym, pokazywać im, jak odzyskać i zachować trzeźwość.

Wtedy coś się wydarzyło. A przecież... „jestem w stanie wytrwać w trzeźwości, chyba że coś się wydarzy”.

Jedna z kobiet, które uraczyłem swoją przemową, przywiązała się do mnie. W takich sytuacjach – jak już wiemy – zaczynam się wycofywać.

Ten przypadek nie był wyjątkiem.

– Nie kocham cię – powiedziałem. – Kiedy się poznaliśmy, uprzedziłem cię, że nie zamierzam się angażować... Pamiętasz ten mój monolog, po którym zapytałem cię o menu?

Niestety było już za późno. Połknęła haczyk, który zarzuciłem, i przez to cierpiała.

Po to trzeźwiałem? Żeby sypiać z kobietami i je ranić? Na pewno Bóg stworzył mnie do czegoś lepszego.

Zatrzymała się w hotelu Beverly Hills. Poszedłem do niej, ale nie pozwoliła się ugłaskać. Pod tym względem kojarzyła mi się z moją matką – nieważne, jak bardzo starałem się wykorzystać swój urok i poczucie humoru, nic nie było w stanie ukoić jej bólu.

W końcu pobiegła do łazienki, zostawiając mnie samego w pokoju. Na szafce nocnej przy jej łóżku zauważyłem przewróconą buteleczkę vicodinu. Trzy tabletki wysypały się na blat i leżały w kręgu światła rzucanego przez lampkę. Kobieta zamknęła się w łazience i wyła. Nie panowałem nad sytuacją. „Chyba że coś się wydarzy...” Wziąłem te tabletki i jakoś przetrwałem noc, ale tym samym pożegnałem się z trzeźwością po dwóch latach czystości.

Wpadłem po uszy w szambo. Bo kiedy raz się złamiesz, głód powraca i zanim się obejrzysz, znów zaczyna cię ganiać, tylko bardziej.

Nie potrafiłem z tego wybrnąć. Szybko przeszedłem do zaopatrywania się we własne prochy, a potem znowu zacząłem pić, świadomie

zapoczątkowując długi zjazd w nicość. To było silniejsze ode mnie, nie byłem w stanie nic z tym zrobić.

Z dzisiejszej perspektywy wiem, że należało porozmawiać z kimś o problemie. Ale wtedy musiałbym przestać pić, a to nie wchodziło w grę.

To było jakoś w 1999 roku. Siedziałem zupełnie sam w mojej wielkiej, zbyt wielkiej willi przy Carla Ridge, jednym z licznych domów z pięknym widokiem na nieckę Los Angeles. Gdzieś tam, na dole, tętniło zwyczajne życie (Rancho La Brea, Aleja Sław), które tu, na górze, starałem się przeczekać z drinkiem w jednej i marlboro light w drugiej ręce. Zakończyła się emisja piątego sezonu *Przyjaciół*. Ross i Rachel właśnie wzięli ślub w Las Vegas, czym ubiegli Chandlera i Monicę. *Przyjaciele* stali się kulturowym wzorcem, punktem odniesienia dla nowego tysiąclecia, najpopularniejszym serialem na świecie i dla mnóstwa widzów żelazną pozycją w programie telewizyjnym.

I jeszcze te powiedzonka! „*Bardziej już się nie dało?*” podbiło kraj i nagle wszyscy zaczęli tak mówić. W Białym Domu urzędował Clinton, a data jedenastego września nie oznaczała nic szczególnego, chyba że akurat wypadały twoje urodziny albo rocznica ślubu. Cała woda na świecie spływała do mieniącego się jeziora, na którego powierzchni unosiły się najpiękniejsze bezimiennie ptaki.

Z zadumy wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Kurier. Poczułem się przez chwilę jak Samuel Taylor Coleridge w 1797 roku, gdy jego natchniony sen w oparach opium zakłóciło przybycie niezapowiedzianego gościa, legendarnego „człowieka z Porlock”. W swym zmętniętym od narkotyku umyśle Coleridge wyśnił całość poematu *Chan Kubitaj*, ale rozproszony przez przybysza zapamiętał jedynie pięćdziesiąt cztery wersy – i tylko tyle opublikował jeszcze w tym samym roku.

Rzecz jasna, nie porównuję się do Coleridge’a, ale w chwili przyjazdu kuriera tak jak ów romantyczny poeta przebywałem w zupełnie innym

wymiarze. Widok za oknem, w ręku wódka z tonikiem, w ustach słodki posmak papierosa... wszystko to sprawiło, że przeniosłem się w bezpieczne miejsce, w którym nie byłem już sam. Gdzieś w głębi domu moja piękna żona i cudowne dzieci dokazywały w pokoju zabaw, podczas gdy tata korzystał z odrobiny wyciszenia w swojej sali projekcyjnej. Chcecie się poczuć naprawdę samotni? Zafundujcie sobie indywidualny seans w sali projekcyjnej. W takich chwilach, gdy mój umysł spowijała najgęstsza mgła, wyobrażałem sobie, że moje życie wcale nie jest pełne dziur, a przeszłość została rozminowana przez facetów z wykrywaczami metali i przemieniona w krainę łagodności.

Ale nie. Dzwonek brzęczał i nie pozwalał mi trwać w przyjemnym zamuleniu, a ponieważ nie miałem żony ani dzieci, w końcu sam musiałem z ociąganiem wstać i otworzyć drzwi. „Człowiek z Porlock” wręczył mi przesyłkę, w której znajdował się scenariusz zatytułowany *Jak ugryźć 10 milionów*. Mój menedżer dopisał na okładce: „To może być strzał w dziesiątkę”.

Nie był to tekst na miarę *Chana Kubłajaja*, ma się rozumieć, ale od razu było widać, że odniesie wielki sukces.

Czytanie scenariuszy zawsze szło mi dosyć opornie. Przyjmowałem angaże za miliony dolarów, a udawało mi się przebrnąć przez raptem kilka stron. Przyznaję to ze wstydem, zwłaszcza że dziś sam piszę scenariusze i zdaję sobie sprawę, jaką drogą przez mękę jest nakłanianie aktorów do lektury. Niewykluczone, że bez względu na wysokość ewentualnego honorarium za film mają do tego taki stosunek jak ja wtedy: ktoś odrywa ich od życia wypełnionego zabawą, sławą i forszą i każe coś czytać – normalnie jak w szkole.

Wszechświat zawsze znajdzie sposób na to, jak w końcu dać nauczkę. Przez te wszystkie lata wiecznie byłem zbyt to albo zbyt tamto, żeby czytać scenariusze, a kiedy w zeszłym roku napisałem tekst z myślą o sobie samym i próbowałem przystąpić do jego realizacji, dotarło do mnie, że

jestem za stary do głównej roli. Większość pięćdziesięcioletników zdążyła się już wyekspluatować, dlatego musiałem zaangażować jakiegoś trzydziestolatka. Ten, którego sobie upatrzyłem, milczał przez wiele tygodni, zanim nareszcie raczył odpowiedzieć. Nie mogłem pojąć, jak można być takim gburem.

– Słuchaj, czy ja w ogóle mam wystarczająco dużo zapachu, żeby nakręcić niezależny film? – spytałem sfrustrowany swojego menedżera Douga.

– Nie za bardzo – odparł.

Wróćmy do 1999 roku. Otóż mój „człowiek z Porlock” dostarczył scenariusz, w którym nawet ja dostrzegłem potencjał, a było nim to, że w projekt zaangażował się nie kto inny, jak sam Bruce Willis.

Na przełomie wieków próżno było szukać jaśniejszej gwiazdy kina niż Bruce Willis. Miał na swoim koncie dwie części *I kto to mówi*, trzy odsłony *Szklanej pułapki*, *Pulp Fiction*... Odnosił niezrównane sukcesy. To raz, a dwa, że występ u jego boku byłby dla mnie upragnioną odmianą od siedemdziesięciu dwóch komedii romantycznych, w których zagrałem w ostatnich latach. Scenariusz Mitchella Kapnera był zabawny, wypełniony zaskakującymi zwrotami akcji i świetnie się go czytało – to zawsze dobry znak. Najlepsze, że w obsadzie znalazł się Bruce Willis, ja zaś miałem się wcielić w głównego bohatera. Pokażcie mi cieszącą się popularnością i uznaniem gwiazdę telewizji, a pokażę wam sfrustrowaną niespełnioną gwiazdę kina.

„Strzał w dziesiątkę”? Żebyś wiedział! Najpierw jednak czekała mnie kolacja z reżyserem filmu oraz bratem mojego przyszłego partnera z planu.

Następnego dnia wieczorem zameldowałem się w restauracji Citrus przy Melrose Avenue, która w tamtym czasie była niczym Hollywood w pigułce: droga i ekskluzywna. Panów wpuszczano wyłącznie w marynarkach, przy wejściu wyczekiwała gromada paparazzi i pstrykając jeden przez drugiego, uwieczniała na zdjęciach wszystkich wchodzących i wychodzących. Tym

razem główną atrakcją okazaliśmy się my, to znaczy ja, reżyser Jonathan Lynn, niski, zaokrąglony Brytyjczyk, autor *Mojego kuzyna Vinny'ego* i przy okazji kuzyn Olivera Sacksa, oraz David Willis, jeden z producentów filmu, a także brat Bruce'a (David to ten, któremu trafiły się włosy; Bruce'owi przypadła w udziale mocna szczęka).

Włożyłem czarny garnitur – nieodzowny element garderoby każdej gwiazdy – i przyszedłem na spotkanie lekko, może dwie minuty spóźniony – po prostu dlatego, że tak się robi, będąc celebrytą. Kolacja udała się znakomicie, mimo że żaden z nas nawet nie tknął jedzenia, ale w Hollywood to standard. Jonathan okazał się bardzo bystrym i zabawnym rozmówcą, miał typowo brytyjskie ironiczne poczucie humoru, używał z pozoru poważnego tonu, lecz błysk w jego oku świadczył o tym, że Jonathan robi cię w konia. Natomiast David to niezwykle interesujący i inteligentny człowiek, który potrafi słuchać z uwagą. Na tym etapie już wiedziałem, że zgodzę się zagrać. Scenariusz w swojej pierwotnej postaci nie zawierał elementów slapstickowych, dlatego poczułem się w obowiązku skomentować:

– Myślę, że można by wprowadzić do tekstu więcej fizycznych gagów. Chętnie spadnę ze schodów albo skoczę skądś, byle móc pracować z Bruce'em Willisem.

Jonathan i David wybuchnęli śmiechem podszytym poczuciem ulgi. Pod koniec spotkania Jonathan stwierdził:

– Bardzo nam się spodobałeś. Chcemy, żebyś u nas wystąpił.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, potem wyszedłem z knajpy i ignorując paparazzi, wskoczyłem do swojego porsche w kolorze leśnej zieleni, by ruszyć z piskiem opon.

„Zagram główną rolę w filmie z Bruce'em Willisem”, myślałem, sunąc Sunset Avenue na zielonej fali i kierując się w stronę Carla Ridge. W domu włączyłem telewizor, zrobiłem sobie wódkę z tonikiem, usiadłem

i czekałem. Na niebie pojawił się samotny, smutny księżyc, jego blask rzucał osobliwy, nieregularny cień na taras.

Czyżbym znów był na wznoszącej? Czyżbym zrobił kolejny ogromny krok naprzód w swojej karierze? Wszystkie gwiazdy – które w ślad za księżycem upstrzyły ciemny, bezchmurny firmament – wskazywały na to, że tak. Zacząłem je liczyć i pamiętając o przesądzie, że kto dojdzie do setki, ten wkrótce umrze, na wszelki wypadek zatrzymałem się na dziewięćdziesięciu dziewięciu.

Następnego ranka odsłuchałem nagranie, które ktoś zostawił na mojej automatycznej sekretarce.

– Matthew? Mówi Bruce Willis. Oddzwoń albo spalę ci dom, a potem połamię ci obie ręce i nogi, tak że do końca życia będziesz kaleką.

Klik.

Uznałem, że nie mogę zignorować takiej wiadomości.

Kilka dni później spotkaliśmy się w Ago, kolejnej luksusowej włoskiej restauracji w Hollywood, w prywatnej sali w głębi, zarezerwowanej dla ludzi pokroju pana Willisa. Podjechałem jak zwykle swoim porsche, które parkingowy przechwycił, zanim zdążyłem wysiąść.

Tym razem się nie spóźniłem.

Bruce Willis nie zawiódł moich oczekiwań. Roztaczał wokół siebie aureę celebryty z najwyższej półki. Nie tyle przejął kontrolę nad salą, ile *stał* się nią. Od razu rozpoznałem w nim prawdziwą gwiazdę filmową, gdy pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było udzielenie barmanowi lekcji przyrządzania idealnej wódki z tonikiem.

– Lej przez trzy sekundy – poinstruował skamieniałego z przejęciem mężczyznę.

Miał czterdzieści cztery lata, był wolny (kiedy się poznaliśmy, był już w separacji z Demi Moore) i znał przepis na najlepszy z drinków. Emanujący pozytywną energią człowiek balanga. Po pewnym czasie

dołączył do nas Joe Pesci, który grał w reżyserowanym przez Jonathana Lynna *Moim kuzynie Vinnym*, a także kilka atrakcyjnych pań do towarzystwa. Bruce śmiał się ze wszystkich moich durnych żarcików. Najwyraźniej bawiło go widowisko w wykonaniu młodego zgrywusa, który traktował gwiazdę z należnym jej szacunkiem i nie ociągał się z pićm (gdyby tylko wiedział...). Byłem zachwycony tym, że mogę z nim przebywać, bo naprawdę potrafił żyć.

Nie tknąwszy kolacji – norma – dwóch świeżo upieczonych serdecznych kumpli postanowiło się przenieść do ogromnej willi Bruce'a przy Mulholland Drive. Najwyraźniej Bruce też lubił mieć ładny widok. W finale wieczoru Bruce i Matthew, z drinkami w dłoniach, posyłali piłeczki golfowe do leżącej niżej doliny San Fernando.

„Przecież możemy coś albo kogoś trafić” – pomyślałem i zanim zdążyłem sobie wyobrazić, ile szkód może wyrządzić dobrze przycelowane uderzenie żelazną piątką, i w ogóle objąć umysłem metaforyczną naturę tego, co robiliśmy, wyrzuciłem tę refleksję z głowy i pociągnąłem ze szklaneczki.

– Witaj wśród zawodowców – powiedział Bruce, mając na myśli, jak sądzę, życie gwiazd dużego ekranu, a nie moje umiejętności golfisty. Wytworzył się między nami rodzaj kumpelskiej więzi: piliśmy, rozśmieszaliśmy się nawzajem i gratulowaliśmy sobie uderzeń.

W końcu, jak zawsze, wzeszło słońce i musieliśmy się pożegnać. Pamiętam, że kiedy jechałem do domu, śledząc drogę zaczerwienionymi z braku snu oczami, pomyślałem: „Bierz z niego przykład – oto, jak należy być szczęśliwym”. Bruce nie zaprzętał sobie niczym głowy. Nikt mu nie odmawiał. Prawdziwa ekstraklasa.

Tego samego dnia, mniej więcej w porze lunchu, Bruce zadzwonił, żeby ściągnąć mnie do siebie na projekcję swojego najnowszego filmu, ale czułem się paskudnie i miałem takiego kaca, że wizyta nie wchodziła w rachubę. Wykręcając się od zaproszenia, spytałem Bruce'a, co to za film, i dodałem, że obejrzę go później.

– Szósty zmysł.

I tak oto dostałem angaż do *Jak ugryźć 10 milionów*, a przy okazji zaprzyjaźniłem się z największą gwiazdą kina. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że piję zbyt dużo, by ten film mógł mi się udać. Musiałem się uciec do radykalnych metod. Niektórym ludziom bez trudu udaje się pogodzić ostre imprezowanie z wykonywaniem obowiązków zawodowych, ale to dlatego, że nie są uzależnieni.

Jeżeli chciałem dotrzymać kroku Bruce'owi i jego balangowemu stylowi życia, ale tak, by po powrocie do hotelu nie wlewać w siebie jeszcze więcej procentów, potrzebowałem czegoś, co pozwoli mi się wyciszyć i następnego dnia stawić się na planie.

Wykonałem telefon do przyjaciela – nazwijmy go tak – o którym wiedziałem, że może załatwić xanax.

– Ile chcesz? – spytał z niechęcią w głosie.

– Setkę.

Po załatwieniu sprawy usiadłem na łóżku i przeliczyłem tabletki. „Dzięki temu będę mógł pić z Bruce'em i innymi, a kiedy w końcu zostanę sam, po prostu łyknę sobie jedną i pójdę spać”, myślałem. Miałem więc plan – tyle że zupełnie nie uwzględniłem w nim tego, jak bardzo wybuchową mieszankę zamierzałem zastosować.

Wsiadliśmy do samolotu Bruce'a (jakżeby inaczej) i poleciliśmy na plan *Jak ugryźć 10 milionów*. Przybyliśmy niczym zwycięscy bohaterowie gotowi wziąć miasto szturmem. Byłem kanadyjskim synem marnotrawnym, który powrócił na łono ojczyzny na imprezę życia.

Zainstalowaliśmy się w hotelu International. Dostałem zwykły pokój, natomiast Bruce zajął całe najwyższe piętro, które bez wyraźnej przyczyny ochrzcił mianem „Klubu Z”. Błyskawicznie, w kilka godzin, zamontowano mu dyskotekową szklaną kulę.

Drugą naszą ulubioną miejscówką stała się restauracja Globe. Pieniądze płynęły wartkim strumieniem, podobnie jak drinki roznoszone przez atrakcyjne kelnerki.

Kilka miesięcy wcześniej zacząłem się spotykać z Renee, którą poznałem w LA, w knajpce o nazwie Red. Jadłem kolację z moim dobrym kumplem Benem Weissem, pierwszym asystentem reżysera *Przyjaciół*, kiedy nagle obsługująca nas kelnerka przysiadła się i zaczęła ze mną rozmawiać. Trochę mnie zdziwiło jej zachowanie, raczej nietypowe dla kelnerek.

– Na pewno ma na imię Samantha – zwróciłem się do Bena, kiedy w końcu przyjęła od nas zamówienie.

– E, wątpię. Stawiam na Jennifer – stwierdził.

Po jakimś czasie zjawiała się z daniami.

– Założyliśmy się o to, jak masz na imię – powiedziałem. – Ja twierdzę, że Sam, a mój przyjaciel, że Jen.

– Ani jedno, ani drugie – odparła rezolutnie. – Jestem Renee.

Kilka pijackich imprez później zostaliśmy parą.

Renee zapełniła lukę po kobiecie, która złamała mi serce przy okazji jednego z moich wcześniejszych filmów, co sprawiło, że na starcie znalazła się na przegranej pozycji. Dość powiedzieć, że kiedy leciałem do Montrealu, mieliśmy już ostro na pieńku, a na tamtym etapie życia – choć wcale nie jestem z tego dumny – przeleciałbym wszystko, co stoi, siedzi albo leży.

Moja rola to była pestka. Wystarczyło grać śmiertelnie wystraszonego Bruce'em – łatwizna – i zakochanego w Natashy Henstridge – jeszcze prostsze. Plan pod kierownictwem Jonathana – którego z niewyjaśnionego powodu zacząłem nazywać Sammym – tętnił twórczą atmosferą. Dokładnie tak, jak uwielbiam. Wybieraliśmy najlepsze dowcipy bez względu na to, kto je zaproponował – podobnie było w *Przyjaciółkach*.

Jedną z aktorek zaangażowanych do *Jak ugryźć 10 milionów* była Amanda Peet, bardzo zabawna i inteligentna, a także niesamowicie atrakcyjna osoba, która choć miała chłopaka, chętnie flirtowała zarówno ze mną, jak i z Bruce'em – robiła to z takim zapałem, że w pewnej chwili Bruce kategorycznie zażądał, żeby się zdecydowała na jednego z nas.

Nocami balowaliśmy pod lustrzaną kulą w Klubie Z, a mimo to codziennie o szóstej rano jakoś stawialiśmy się na planie. To znaczy, „jakoś”... Przecież dobrze wiem *jak*: xanax – magiczne działanie, choć w połączeniu z alkoholem sprawiał, że moja głowa przypominała piłkę do koszykówki. Tymczasem pan megagwiazda Willis nieodmiennie wyglądał rześko jak skowronek.

Przed rozpoczęciem zdjęć – kac, nie kac; na szczęście byłem na tyle młody, że nie przeszkadzało mi to w pracy – spotykaliśmy się w kilka osób: ja, Jonathan Lynn, Bruce Willis i przezabawny Kevin Pollak, który grał Janniego Gogolaka, drugiego szefa mafii, i przeglądaliśmy materiał zaplanowany na dany dzień. Czułem się prawie jak w pokoju scenarzystów. Rozmawialiśmy o tym, co może się okazać śmieszne, co zrobić tak, a co inaczej w konkretnej scenie. Starłem się wprowadzać elementy slapsticku: mój bohater miał wpadać na okna, drzwi i tym podobne. W jednym z ujęć dostrzegam przestępcę, odwracam się, żeby dać nogę, odbijam się od rosnącego gościa, zderzam się z lampą, po czym podnoszę ją z podłogi i usiłuję osłonić się nią przed złolem. Mój pomysł, wyszło świetnie.

Kevin miał do wygłoszenia następującą kwestię: „Mówimy o kimś, kto nie zasługuje na to, by oddychać powietrzem”.

Zasugerowałem, żeby umieścił nienaturalnie długą pauzę po słowie „oddychać”. Wtedy bodaj jedyny raz w mojej karierze nie byłem w stanie nad sobą zapanować. Kevin wypowiadał to w tak komiczny sposób, a z każdym ujęciem przerwa jeszcze się wydłużała, że w końcu musiałem wyjść do drugiego pokoju i dopiero wówczas udało się nakręcić tę scenę.

Kiedy opadła mgła niedostępności spowijająca Bruce'a Willisa, zapragnąłem po prostu zostać jego przyjacielem. Nie chciałem być jednym z wielu, którzy mu się podlizują. W trakcie kręcenia *Jak ugryźć 10 milionów* trafił nam się długi weekend. Bruce i jego ówczesna dziewczyna zaprosili mnie i Renee do domu Bruce'a na Turks i Caicos, przepięknej posiadłości z zapierającym dech w piersi widokiem na ocean. Bruce'owi chodził po głowie pomysł odkupienia sąsiednich działek, żeby utrudnić życie wężącym za nim i jego partnerką paparazzi. Przez cały weekend osłanialiśmy się parasolami po to, by się za mocno nie opalić, bo wtedy nasze twarze nie pasowałyby do czasu i miejsca akcji w filmie. Ot, kolejna sztuczka podpatrzona u pana Willisa.

Niemniej istniała pewna zasadnicza różnica między nami: otóż Bruce był balangowiczem, a ja – gościem z uzależnieniem. Bruce umie się kontrolować. Potrafi imprezować do upadłego, a potem dostać scenariusz filmu pokroju *Szóstego zmysłu* i nakręcić go zupełnie na trzeźwo. Brakuje mu genu uzależnienia. W Hollywood można zresztą znaleźć mnóstwo ludzi, którzy są w stanie ostro balować i normalnie funkcjonować. Niestety nie zaliczałem się do nich. Kiedy szedłem w tango i padało ostrzeżenie z ust napotkanego policjanta: „Jeśli będzie pan dziś pił, jutro obudzi się pan w areszcie”, zaczynałem się pakować na pobyt w puszcze, bo wiedziałem, że gdy zacznę, to nie skończę. Panowałem jedynie nad pierwszym drinkiem, potem mogło się wydarzyć wszystko. (Patrz powiedzenie: „Najpierw człowiek zdobywa alkohol, potem alkohol zdobywa człowieka”). Z chwilą, gdy brała we mnie górę wiara w kłamstwo, że „wypiję tylko jednego”, traciłem odpowiedzialność za swoje czyny. Wtedy zaczynałem potrzebować pomocy ludzi, ośrodków odwykowych, szpitali i pielęgniarek.

Nie potrafiłem przestać. Jednocześnie uświadamiałem sobie, że jeśli się prędko nie ogarnę, koniec końców to mnie zabije. W mojej głowie mieszkał potwór, który mnie podjudzał i nieustannie dążył do tego, bym

w samotności sięgnął po pierwszego drinka albo pierwszą tabletkę – i wtedy to on przejmował stery.

Imprezy imprezami, ale wszyscy na planie byliśmy przecież zawodowcami. Udało nam się stworzyć film, który przypadł do gustu szerokiej publiczności. Już w pierwszych recenzjach wypowiedano się pozytywnie na temat naszej pracy, na przykład w magazynie „Variety” można było przeczytać:

Bruce Willis z pewnością przyciągnie tłumy, ale aktorem budzącym największe zainteresowanie w tym filmie jest niewątpliwie Matthew Perry w skrzęcej się od slapstickowych wpadek roli, której nie powstydziliby się Tom Hanks przed dwunastoma, piętnastoma laty.

To ogromna pochwała dla kogoś, kto podziwia Toma. Bruce wątpił w powodzenie filmu, ja przeciwnie, dlatego postanowiłem się z nim założyć: w przypadku przegranej miał wystąpić gościnnie w *Przyjaciółkach* (gra w trzech odcinkach szóstego sezonu).

Jak ugryźć 10 milionów przez trzy tygodnie z rzędu było najchętniej oglądanym filmem w Stanach Zjednoczonych.

Nareszcie ziściło się marzenie, którym żyłem od dziewiątej klasy. *Jak ugryźć 10 milionów* nie sposób, rzecz jasna, porównywać z *Powrotem do przyszłości*, ale Michaelowi J. Foksowi i mnie jako jedynym udało się mieć dwa numery jeden w tym samym czasie: film kinowy oraz serial telewizyjny.

Powinienem brylować, ale po powrocie do Los Angeles stało się jasne – przynajmniej dla mnie – że moje uzależnienie zabrnęło w niebezpieczne rejony. Dotarłem do etapu, kiedy praktycznie nie byłem w stanie wyjść z domu. Prochy i alkohol całkowicie przejęły nade mną władzę. Przykuty do sypialni faszerowałem się nimi i wydzwaniałem do dilerów. Zamiast

cieszyć się sławą, przyjmowałem u siebie szemranych koleś. Jasne, pojawiłem się na premierze filmu, a także nagrywałem odcinki *The Matthew Perry Show*, ale byłem rozdęty od tego, co w siebie wtlaczałem, i kierował mną strach przed czymś, czego nie rozumiałem.

Zawsze miałem ochotę pójść do jakiegoś talk-show i dla odmiany być całkowicie szczerzy z prowadzącym.

Jay Leno: *Co u ciebie, Matthew?*

Ja: *Daj spokój, Jay. Nie ogarniam rzeczywistości. Wszystko schrzaniłem. Czuję się podle i nie jestem w stanie wstać z łóżka.*

To byłby idealny moment, żeby to zrobić.

Cztery lata po *Jak ugryźć 10 milionów* Bruce, Kevin i ja nakręciliśmy dalszy ciąg tej historii, ale już z innym reżyserem. Gdyby uznać, że filmem *Jak ugryźć 10 milionów* zdobyłem status gwiazdy kina, należałoby uczciwie dodać, że po drugiej części go straciłem.

Kręciliśmy sequel w Los Angeles, mając dużo, zbyt dużo swobody, i niestety nie szło nam dobrze. Rzadko kiedy udaje się odtworzyć atmosferę z przeszłości i nie inaczej było w tym przypadku. Żarty wydawały się oklepane, imprezy drętwe. Miałem tak silne poczucie porażki, że jakiś czas później zadzwoniłem do agentów i spytałem:

– Słuchajcie, ale nadal mogę *chodzić* do kina, prawda?

Kiedy *Jak ugryźć 10 milionów* trafiło do dystrybucji, tkwiłem po uszy w bagnie uzależnienia. Zamknięty w czterech ścianach stoczyłem się do piekła rozpacz i zniechęcenia. Mój popieprzony umysł powoli ciągnął za sobą na dno moje ciało. Niedawno przyszło mi do głowy, że to uczucie powinno być mi towarzyszyć przy premierze drugiej części. Bo przecież po czymś takim każdy przy zdrowych zmysłach wpadłby w depresję.

Zdarzało się, że pod koniec balangi, kiedy noc chyliła się ku końcowi, a imprezowicze rozjeżdżali się po domach, siadaliśmy we dwóch z Bruce'em i gadaliśmy. Wtedy miałem okazję oglądać jego prawdziwe oblicze: człowieka o dobrym sercu, troskliwego i bezinteresownego. Wspaniałego rodzica. Znakomitego aktora. I przede wszystkim, co najważniejsze, po prostu świetnego gościa. Gdyby się zgodził, zostałbym jego przyjacielem na całe życie. Ale jak to często bywa, później nasze drogi rzadko się już przecinały.

Oczywiście modłę się za niego każdego wieczoru.

Interludium. Jest jak w niebie?

Wróciłem do nałogu. Jak już wspominałem, niewiele mi potrzeba: wystarczy, że coś się wydarzy – coś złego albo dobrego.

Kolejny okres trzeźwości poszedł w diabły, w sumie nawet nie wiem dlaczego. Tak dobrze mi szło: przez dwa lata pomagałem innym odzyskać trzeźwość i wytrwać w niej, tymczasem sam ponownie wpadłem w ciąg z powodu czegoś tak mało istotnego, że dziś nie umiem sobie przypomnieć, o co chodziło. Natomiast doskonale pamiętam, że było dużo picia, dużo prochów, dużo odosobnienia. Zawsze brałem i piłem w samotności, bo bałem się, że jeśli ktoś zobaczy, jakie ilości pochłaniam, przerazi się i będzie próbował mnie powstrzymać. Ale kiedy szedłem w tango, nie docierało do mnie, że ten taniec może się skończyć.

Tym, co niejednokrotnie ratowało mi życie, jest strach. Ilekroć zaczynam czuć, że sprawy zanadto wymykają się spod kontroli, panikuję, łapię za telefon i dzwonię po ludziach. Tym razem osobami, które pospieszyły mi z pomocą, byli mój cudowny ojciec oraz towarzysz trzeźwości. Natychmiast wkroczyli do akcji i jeszcze tego samego dnia zafundowali mi odtruwanie.

Fizycznie czułem się totalnie zdezelowany... Ale detoks szedł całkiem nieźle, a przynajmniej tak się wydawało tacie i towarzyszowi trzeźwości. Żaden z nich nie wiedział, że zachomikowałem w sypialni buteleczkę xanaksu. Właśnie tak to wygląda, kiedy jest się uzależnionym: człowiek robi rzeczy, o które w życiu by siebie nie posądzał. Ojciec rzucił wszystko i wprowadził się do mnie, żeby miłością i wsparciem kolejny raz zawrócić mnie z drogi ku katastrofie, którą podążałem na własne życzenie, a ja odpłacałem mu za poświęcenie prochami ukrytymi w szafce nocnej.

Któregoś wieczoru rozpaczliwie usiłowałem zasnąć, byle uciec od bezwzględного odwyku. Xanax kusił mnie, przywabiał, był jak światło w ciemności. Wyobrażałem go sobie jako latarnię morską, tyle że w tym

przypadku skierowałem swoją łódź ku niszczącym skałom, a nie z dala od nich. Zakrętka z zabezpieczeniem przed dziećmi nie stanowiła przeszkody akurat dla tego dziecka, którego ojciec przysypiał w drugim pokoju przed jednym ze starych odcinków *Taxi*. Skoczyłem na główkę z pionowego klifu, zanurkowałem w buteleczce xanaksu i wziąłem cztery tabletki. Jedna to już za dużo, ale *cztery*?

Nic to nie dało. Upragniona ucieczka nie nastąpiła, cztery xanaksy okazały się niewystarczające na moją gonitwę myśli. Sen nadal pozostawał nieosiągalny, dostępu do niego broniły wstyd, strach i głęboka nienawiść do samego siebie. Co zrobić w takiej sytuacji? Logika lekomana podpowiadała oczywiste rozwiązanie: wziąć kolejne cztery tabletki. Osiem to dużo za dużo, to igranie ze śmiercią. Druga dawka w połączeniu z pierwszą nareszcie zadziałała i jakimś cudem w końcu udało mi się zasnąć. Sen na xanaksie jest płytki – co należy do najbardziej głównianych cech tego specyfiku – ale nie miało to dla mnie znaczenia. Po prostu zależało mi, żeby mózg, ta rzecz, która nieustająco mnie prześladowała, uciszyła się przynajmniej na kilka godzin. Pragnąłem wytchnienia od niewiarygodnie bolesnego odtrucia.

Miałem dość szczęścia, by obudzić się rano, ale okazało się, że xanax zrobił coś znacznie gorszego niż niedopuszczenie do głębokiego snu: mianowicie usmażył mózg i wywołał obłąd. Zacząłem mieć halucynacje i widzieć kolory, z których istnienia dotąd nie zdawałem sobie sprawy. Sterowane pilotem szare zasłony w sypialni nabrały intensywnie fioletowej barwy. Jakby pręciki i czopki siatkówki nieproszone wysyłały poprzez nerw wzrokowy zupełnie nowe informacje do mojego sfajczonego pnia mózgu. Zwykły niebieski stał się błękitem, czerwień przedzierzgnęła się w fuksję, a czerń była teraz jak vantablack, najczarniejsza z czerni.

Co więcej, skończył mi się xanax i wiedziałem, że jeśli szybko nie rozwiążę tego problemu, wyjadę nogami do przodu. Odwyk od alkoholu i xanaksu naprawdę może zabić; na detoksie narkotykowym pragniesz

jedynie umrzeć. Musiałem jakoś zdobyć więcej prochów, tyle że układ mojego domu uniemożliwiał dyskretną wizytę diler. Jeśli do niego zadzwonię, zostanę przyłapany i zmuszony do przyznania się ojcu, że zażyłem xanax. Trzeba będzie mnie porządnie odtruć po tych nieszczęsnych ośmiu tabletkach.

Wyszedłem z sypialni i zanurkowałem prosto w kalejdoskop barw, jakim stał się mój salon. „Gdzie ja jestem?”, dziwiłem się w myślach. „Wykorkowałem po xanaksie i trafiłem do nieba?” Delikatnie wyłożyłem tacie i towarzyszowi trzeźwości, co zrobiłem. Obaj przestraszyli się nie na żarty. Towarzysz przystąpił do działania i zadzwonił do lekarza.

Odchodziłem od zmysłów, dlatego postanowiłem podzielić się z tatą lękiem, którego doświadczałem.

– Tato – zacząłem śmiertelnie poważnym tonem. – Wiem, że to zabrzmiało jak wariactwo, ale boję się, że w każdej chwili może się zjawić ogromny wąż i mnie porwać.

Jak zareagował mój ojciec?

– Matty, jeśli zjawi się wielki wąż i cię porwie, to chyba narobię w gacie.

Do dziś jestem pod wrażeniem tego, do jakiego stopnia tata zestroił się z moim obłędem.

Towarzysz trzeźwości wrócił do pokoju, wyraził swoje rozczarowanie moją postawą, ale zadeklarował, że mimo wszystko jest gotów mi pomóc. Warunkiem była natychmiastowa wizyta u lekarza. Wsiadliśmy więc do samochodu i pojechaliśmy. Po badaniu przeprosiłem doktora, obiecałem, że to się więcej nie powtórzy, i podałem mu rękę. Mówiłem szczerze – naprawdę zamierzałem z tym skończyć. Lekarz przepisał nowe leki na oczyszczenie organizmu z toksyn oraz środek przeciwdrgawkowy, ponieważ odtruwanie z xanaksu może wywołać napady przypominające padaczkowe. Zadzwoniłem do mojej cierpiącej w milczeniu asystentki Moiry i powierzyłem jej realizację recepty. Wróciliśmy do domu,

usiedliśmy i czekaliśmy. Czekaliśmy w nieskończoność. Z jakiegoś powodu wykonanie nowej misji zajmowało Moirze strasznie dużo czasu.

Zegar tykał. Wiedziałem, że jeśli zaraz nie dostanę leków detoksykacyjnych, może się odwalić coś naprawdę nefajnego. Mogę dostać drgawek – mogę umrzeć. Ani jedno, ani drugie nie brzmiało pociągająco. Ten, kto wtedy spojrzałby na nas z boku, zobaczyłby trzech dorosłych facetów wgapiających się w drzwi z nadzieją, że wreszcie się otworzą. Dodatkowo dwóch z tych mężczyzn łypało nerwowo na przerażonego Matty'ego.

Po pewnym czasie miałem serdecznie dosyć spojrzeń taty i towarzysza trzeźwości, więc przenieśliśmy się na niewielką kanapę bliżej kuchni. Rzeczywistość, ta specyficzna rzecz, którą należało polubić, powracała do mnie powoli, acz nieubłaganie. Miałem wrażenie, jakbym spoglądał na świat przez ostrzący obiektyw. Czułem się przeokropnie, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Dręczyło mnie poczucie winy i wypełniał wstyd. Nie do wiary, że znowu wykręciłem ten sam numer. Osoby, którym pomagałem jako sponsor, miały dłuższe okresy trzeźwości niż ja. Nie sposób przekazać innym czegoś, czym się nie dysponuje. Nie miałem zupełnie nic do zaoferowania.

Czułem do siebie odrazę.

To był nowy poziom samoupodlenia. Nie sądziłem, że można upaść jeszcze niżej, a jednak mi się udało. W dodatku wszystko działo się na oczach patrzącego na to z przerażeniem ojca. Przebiegła, zaskakująca, potężna natura uzależnienia kolejny raz schwyciła mnie w kleszcze.

Moira wciąż się nie zjawiała. Sprawa zaczynała się robić poważna. Przeżywałem ostry zjazd, byłem zdesperowany i w tak fatalnym stanie, że nawet nie dałem rady płakać. Łzy pozwoliłyby przynajmniej uwierzyć w jakiś pozór normalności, ale przecież w całej tej sytuacji nie było nic normalnego.

Tak więc – dno. Klasyczny moment w życiu każdego uzależnionego, etap, po którym zaczyna szukać trwałej pomocy. Ale... co znowu? Siedząc na kanapie ze wzrokiem utkwionym w kuchni, zwróciłem uwagę na małą zmarszczkę, swego rodzaju załamanie powietrza. Ktoś w mniej rozpaczliwym położeniu zapewne machnąłby ręką, ale mnie to zjawisko zafrapowało do tego stopnia, że nie mogłem oderwać od niego wzroku. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś takim. Wyglądało jak niewielka fałdka, było prawdziwe, dostrzegalne, namacalne. Czy to coś, co człowiek ogląda tuż przed śmiercią? Zatem... umieram?

Nagle zacząłem się modlić z żarliwością tonącego. Kiedy ostatni raz się modliłem, tuż przed tym, jak dostałem rolę w *Przyjaciółtach*, udało mi się jedynie zawrzeć iście faustowską umowę z Bogiem, który tylko głęboko westchnął i kazał mi cierpliwie czekać. Teraz, ponad dekadę później, postanowiłem jeszcze raz zaryzykować.

– Boże, proszę, pomóż mi – wyszeptałem. – Ukaż mi się. Boże, proszę, pomóż mi.

Fałdka powietrza zmieniła się w blade, złote światełko. Klęczałem, modląc się, a ono stawało się coraz większe, aż wypełniło cały pokój. Miałem wrażenie, jakbym dosłownie stał na Słońcu, stąpał po jego powierzchni. Nie rozumiałem, co się dzieje. Nie pojmowałem, czemu nagle przestałem się bać i poczułem się lepiej. Światło uderzało w struny gdzieś we mnie, których prochy i alkohol nie były w stanie nawet trącić. Ogarnięty euforią zacząłem się jednak trochę obawiać i spróbowałem uwolnić się spod przemożnego wpływu światła, ale to nie wchodziło w grę. Ono wykraczało daleko poza mnie. Nie miałem wyjścia, musiałem mu się poddać, co przy przyjemnym uczuciu, jakim mnie napawało, wcale nie było trudne. Euforia spływała od czubka głowy i powoli wsączała się we wszystkie części ciała. Klęczałem, nie wiem, pięć, sześć, siedem minut, stopniowo nasiąkając nią.

Miejsce krwi w moich żyłach zajął ciepły, płynny miód. Po raz pierwszy stanąłem przed obliczem miłości i akceptacji, którym towarzyszyło dojmujące, wszechogarniające poczucie, że wszystko będzie dobrze. Dziś już wiem, że moja modlitwa została wysłuchana. Objawił mi się Bóg. Billa Wilsona, założyciela wspólnoty Anonimowych Alkoholików, uratowało jasne, oślepiające światło, które wziął za Boga.

Przeżywałem coś podobnego.

Sęk w tym, że całe to uniesienie trochę napędziło mi stracha. Ktoś mnie raz spytał, czy kiedykolwiek byłem szczęśliwy – miałem ochotę udusić skurwiela. Podczas składania obietnic na odwyku przyznałem się opiekunowi, że przeraża mnie, jak bardzo pogodni wydają się wszyscy ci, którzy dochodzą do siebie po uzależnieniu.

– Są jak ekipa radosnych ludków z domu na wzgórzu, podczas gdy ja tu umieram – powiedziałem.

Opiekun wyjaśnił mi, że wiele spośród tych osób nie do końca rozumie, co się z nimi dzieje. Że prędzej czy później wrócą tutaj i że następnym razem nie pójdzie już tak łatwo.

Mniej więcej po siedmiu minutach (tu wstawić żart o „siedmiu minutach w niebie”) światło zaczęło przygasać. Euforia straciła blask. Bóg zrobił swoje i poszedł pomagać komuś innemu.

Zalałem się łzami. Zaniósłem się płaczem, szlochem, który wstrząsa ramionami. Łkałem nie dlatego, że byłem smutny, ale ponieważ po raz pierwszy w życiu poczułem się naprawdę dobrze. Poczułem się bezpieczny. Otoczony troską. Płynąca do oceanu zapomnienia rzeka bólu zabrała ze sobą lata szarpania się z Bogiem i mocowania się z życiem.

Byłem przekonany, że stanąłem oko w oko z Bogiem. I tym razem pomodliłem się o właściwą rzecz: o pomoc.

Kiedy w końcu zapanowałem nad sobą i przestałem płakać, moje otoczenie wyglądało inaczej, nabrało świeżych barw. Kąty zrobiły się ostrzejsze, ściany solidniejsze, a sufit wyższy. Drzewa, których gałęzie

stukały o szybę, wydały mi się czystą doskonałością, ich tkwiące w ziemi korzenie łączyły się z jądrem planety – i ze mną, tworzyły jeden wielki system zaprojektowany przez wszechmiłującego Boga. Niebo, dotąd jedynie w teorii nieskończone, stało się autentycznie niepoznawalne i bezkresne. Poczułem więź ze wszechświatem, jakiej nigdy dotąd nie było mi dane doświadczyć. Ujrzałem w nowym świetle nawet rośliny w domu, na które wcześniej nie zwracałem uwagi, objawiły mi się cudowniejsze, piękniejsze, żywsze niż kiedykolwiek.

To przeżycie pomogło mi wytrwać dwa lata w trzeźwości. Bóg uchylił przede mną rąbka tego, jak mogło wyglądać moje życie. Ocalił mnie, nie bacząc na nic, i sprawił, że zacząłem dążyć nie tylko do wolności od nałogów, ale też do prawdy o nim. Otworzył okno, po czym zamknął je, jakby chciał powiedzieć: „Zasłuż na to”.

Dziś, gdy opada mnie szczególnie podły nastrój, zastanawiam się, czy to wszystko nie było jedynie xanaxowym obłędem, przedłużeniem wizji węża, który w moim przekonaniu miał przyjść i mnie porwać – w końcu xanax może wywoływać, cytuję Narodowe Instytuty Zdrowia, „krótkotrwałe odwracalne epizody psychotyczne”. Nawiasem mówiąc, jakiś czas później dostałem silnego ataku na oczach ojca, co zdecydowanie nie było najprzyjemniejszym doznaniem w moim życiu, podobnie zresztą jak jazda na sygnale do szpitala UCLA Medical Center, który wzięłem za anielski punkt przerzutowy. Niemniej ilekroć nachodzą mnie tego rodzaju refleksje, prędko wracam do prawdy o złotym świetle. Na trzeźwo nadal je widzę i pamiętam, co dla mnie uczyniło. Ktoś mógłby próbować złożyć je na karb wizji towarzyszących doświadczeniu śmieci, ale przecież byłem tam – i Bóg też tam był. I gdy czuję tę więź, Bóg udowadnia mi, że to się naprawdę wydarzyło, robi subtelne aluzje, na przykład wtedy, kiedy słońce rozlewa się cudownie złocistym blaskiem na tafli oceanu. Kiedy promienie padają na zielone liście drzew. Kiedy widzę, jak w spojrzeniu człowieka, który wyłania się z mroku uzależnienia, znów pojawia się światło. Kiedy

pomagam komuś odzyskać trzeźwość – i zwłaszcza wtedy, gdy ta osoba mi dziękuje, ponieważ nie wie jeszcze, że to ja powinienem podziękować jej.

Rok później poznałem kobietę, z którą przeżyłem sześć lat. Bóg jest wszędzie – musisz jedynie otworzyć zmysły, inaczej go przegapisz.

Rozdział 7. Bez zobowiązań

Monica idzie na pierwszy ogień i kładzie swój klucz na pustym blacie. To samo robi Chandler. Potem Joey, czym wywołuje salwę śmiechu, bo przecież w ogóle nie powinien mieć klucza. Później Ross, Rachel i na końcu Phoebe. Sześć kluczy leży na blacie. Jak to skwitować?

Stoimy w długim szeregu.

– To by było na tyle – mówi Phoebe.

– No – potwierdza Joey i rzuca publiczności przelotne spojrzenie, o mało nie burząc czwartej ściany. – Chyba tak...

Ale przecież w rzeczywistości ona nigdy nie istniała. Przez dziesięć lat gościliśmy w salonach i sypialniach widzów, staliśmy się nierozzerwalną częścią życia całego mnóstwa ludzi i w tym wszystkim zupełnie nie zwróciliśmy uwagi na brak czwartej ściany. Byliśmy szóstką przyjaciół w pozornie zbyt wielkim mieszkaniu, które tak naprawdę ograniczało się do rozmiarów telewizora.

Nadeszła pora opuścić je po raz ostatni – całą ósemką, bo nasze grono rozrosło się o bliźnięta Moniki i Chandlera.

Przed finałowym odcinkiem wziąłem Martę Kauffman na stronę i powiedziałem:

– Słuchaj, dla nikogo poza mną nie będzie to miało znaczenia, dlatego pozwól mi, proszę, wypowiedzieć ostatnią kwestię.

I tak, gdy szykujemy się, by gromadnie wyjść z mieszkania, a Rachel proponuje jeszcze ten jeden raz skoczyć na kawę, to mi przypada rola tego, który spuszcza zasłonę na *Przyjaciół*.

– Czemu nie – mówi Chandler i po chwili po raz ostatni dodaje z nienagannym wyczuciem czasu: – *Dokąd?*

Uwielbiam reakcję Schwimmera, jego minę, będącą doskonałym połączeniem czułości i rozbawienia, a więc tego, co przez lata nasz serial

dawał światu.

W ten sposób *Przyjaciele* przeszli do historii.

Trzeba powiedzieć, że wszyscy byliśmy gotowi na ten moment. Jennifer Aniston uznała, że nie chce się dłużej wcielać w Rachel, a ponieważ każdą decyzję podejmowaliśmy wspólnie, jako grupa, oznaczało to koniec przygody. Jennifer wolała się skupić na grze w filmach – ja występowałem w nich właściwie przez cały czas, akurat wtedy byłem krótko przed premierą *Jak ugryźć 10 milionów 2*, któremu wieszczyłem pewny sukces (tu proszę sobie wyobrazić ośli łeb) – poza tym, mimo że mieliśmy najlepszą robotę na świecie, to jednak w 2004 roku historie Moniki, Chandlera, Joeya, Rossa, Rachel i Phoebe były już cokolwiek przebrzmiałe. Nie uszedł mojej uwadze fakt, że Chandler dorósł o wiele szybciej niż ja sam. Głównie ze względu na Jenny ostatni, dziesiąty sezon był krótszy od pozostałych, ale na tym etapie opowieści właściwie wszystkie postaci, które odgrywaliśmy, wiodły szczęśliwe życie, a przecież nikt nie ma ochoty oglądać grupy pogodnych ludzi robiących radosne rzeczy – gdzie w tym frajda?

Był 23 stycznia 2004 roku. Klucze leżały na blacie, gość, który bardzo przypominał Chandlera Binga, zapytał: „*Dokąd?*”, rozległy się dźwięki *Embryonic Journey* Jefferson Airplane, kamera zrobiła ujęcie wewnętrznej strony drzwi do mieszkania, po czym Ben, nasz pierwszy asystent reżysera i serdeczny przyjaciel, po raz ostatni krzyknął: „Mamy to!” – i wtedy prawie wszyscy na planie zalali się rzewnymi łzami. Nakręciliśmy dwieście trzydzieści siedem odcinków, łącznie z zamykającym dziesiątą serię, jakże stosownie zatytułowanym *Ten ostatni*. Aniston łkała – byłem autentycznie zdumiony, że w jej organizmie ostała się jeszcze woda. Płakał nawet Matt LeBlanc. Natomiast ja – nie czułem nic i nawet nie umiałem sobie odpowiedzieć, czy to z powodu buprenorfiny, którą wtedy brałem, czy po prostu byłem martwy w środku. Wyjaśnijmy sobie, że buprenorfina to substancja detoksykacyjna, naprawdę znakomita, którą przepisuje się

pacjentom, aby zniechęcić ich do sięgania po inne, „silniejsze” opiaty. Nie zmienia psychiki, ale jak na ironię okropnie, koszmarne trudno ją odstawić. Buprenorfiny nie powinno się przyjmować dłużej niż przez siedem dni. Tymczasem ja ze strachu przed paskudnym odtruwaniem brałem ją już od ośmiu miesięcy.

Dlatego zamiast szlochać jak pozostali, niespiesznie przespacerowałem się po scenie – numer dwadzieścia cztery w studiu Warner Bros. w Burbank; po zakończeniu zdjęć do serialu ochrzczono ją „Sceną Przyjaciół” – z moją ówczesną dziewczyną o jakże stosownym imieniu Rachel. Pożegnaliśmy się ze wszystkimi, nieszczercze obiecaliśmy sobie, że koniecznie musimy się niedługo złapać, i poszliśmy na parking.

Usiadłem za kierownicą i na chwilę zamyśliłem się nad tymi dziesięcioma laty. Nad pilotem *L.A.X. 2194* i kwotą dwudziestu dwóch i pół tysiąca dolarów, jaką za niego zarobiłem, i nad Craigiem Bierko. Nad tym, że obsadzono mnie jako ostatniego, i nad wypadem do Las Vegas, podczas którego mogliśmy się przechadzać po pełnym ludzi kasynie i nikt nie miał pojęcia, kim jesteśmy. Nad żartami i tym moim charakterystycznym spóźnionym reflekssem, nad braćmi Murray i moimi najślynniejszymi tekstami, często łądującymi zbyt blisko prawdy: „Cześć, mam na imię Chandler. Sypię dowcipami, kiedy czuję się skrępowany”; „Do dwudziestego piątego roku życia sądziłem, że jedyną reakcją na «kocham cię» jest «o kurna!»”; „Tłumimy w sobie uczucia, nawet jeśli to oznacza, że do końca życia pozostaniemy nieszczęśliwi”; „*Bardziej* nie z mojej bajki już być nie mogła!”.

Pomyślałem o lecie pomiędzy ósmym a dziewiątym sezonem, które spędziłem na odwyku, podczas gdy w tym samym czasie „People” oznajmiał na okładce, że jestem „szczęśliwy, zdrowy i APETYCZNY!” – dalszy ciąg tego leada brzmiał: „Zgrywus z *Przyjaciół* komentuje plotki na temat randkowania oraz opowiada o ostatnim sezonie serialu i walce z nałogiem. «To było straszne – mówi. – Nie chciałem umierać»”. Tamte

miesiące upłynęły mi pod znakiem tenisa i powrotu do trzeźwości. Pomyślałem o pierwszym dniu czwartego sezonu po tym, jak latem przyznałem się publicznie, że idę na odwyk. Podczas wstępnego czytania scenariusza wszyscy oczywiście wpatrywali się we mnie. Mój kumpel Kevin Bright, jeden z producentów wykonawczych serialu, zainicjował spotkanie słowami:

– Ktoś ma ochotę opowiedzieć, co robił w wakacje?

Postanowiłem wykorzystać okazję do rozładowania atmosfery i odezwałem się głośno i trzeźwo:

– Okej! To może ja zacznę!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i nagrodzili mnie gromkimi brawami za to, że udało mi się zmienić swoje życie i stawić się w pełni sił, z gotowością do pracy. Nie wiem, czy to nie był najlepszy dowcip, jakim kiedykolwiek błysnąłem.

Pomyślałem o tym, jak długo musiałem urabiać producentów, żeby w końcu pozwolili mi zrezygnować z „chandleryzmów” (odejście od sweterkowych kamizelek to osobny temat). Ta maniera – *bardziej* irytująca już być nie mogła? – zużyła się do tego stopnia, że chyba szlag by mnie trafił, gdybym miał wypowiedzieć w ten sposób choćby jeszcze jedno zdanie. Dlatego począwszy od pierwszej połowy szóstego sezonu, znów mówiłem normalnie.

Pomyślałem o tym, jak się rozplakałem, oświadczając się Monice.

Nie byłbym sobą, gdyby nie naszły mnie również czarne myśli.

„Straciłem diabelnie fajną, pobudzającą kreatywność robotę. Co teraz ze mną będzie?”

Przyjaciele byli moim azylem, wyznacznikiem spokoju. Byli powodem, dla którego codziennie rano wstawałem z łóżka, a także przyczyną, dla której wieczorami starałem się zanadto nie przeginać. To były najlepsze chwile w życiu każdego z nas. Czuliśmy się, jakbyśmy każdego dnia słyszeli nową, cudowną nowinę. Nawet ja zdawałem sobie sprawę z tego, że tylko

szalencie – którym w wielu sytuacjach i tak się okazywałem – mógłby chcieć spieprzyć coś takiego.

Tamtego wieczoru w drodze do domu pokazałem Rachel stojący przy Sunset Boulevard ogromny billboard z reklamą *Jak ugryźć 10 milionów 2*. Oto ja: piętnaście metrów nad ziemią, ubrany w ciemny garnitur, jasnofioletową koszulę i krawat, marszcząc brwi, łypałem na Bruce'a Willisa w białym podkoszulku, fartuchu i różowych kapciach króliczkach. „WILLIS... PERRY” – widniało na plakacie dwumetrowymi literami. A niżej, mniejszym krojem: „Długo nie mogli trafić do siebie. Oby teraz lepiej wycelowali”. Byłem gwiazdą filmową. (W tym miejscu znów się przyda wspomniany już ośli łeb).

Mimo wszystko moja przyszłość bez *Przyjaciół* wyglądała dosyć obiecująco. Lada dzień wchodził na ekrany film, w którym zagrałem jedną z głównych ról. Poza tym wystąpiłem w dwóch odcinkach *Ally McBeal* i trzech *Prezydenckiego pokera* (zdobyłem za nie dwie nominacje do Nagrody Emmy), a więc rozwijałem się nie tylko jako aktor komediowy. Do tego niedawno skończyłem zdjęcia do realizowanego przez TNT filmu *Młodzi gniewni. Historia Rona Clarka*, będącego opartą na faktach historią nauczyciela z niewielkiego miasta, który rozpoczyna pracę w jednej z najniebezpieczniejszych szkół w Harlemie. W całej opowieści nie pojawia się nawet jeden żart – dostawałem szału od tej powagi – dlatego poza kamerą stworzyłem postać pijaka „Rona Darka”, bez przerwy bluzgającego przy dzieciakach. Film, który ostatecznie wyemitowano w sierpniu 2006 roku, okazał się sporym sukcesem pomimo gatunkowego ciężaru. Zgarnąłem za niego nominacje do nagród Gildii Aktorów Ekranowych, Golden Globe i Emmy – we wszystkich trzech przegrałem z Robertem Divallem. W głowie się nie mieści: zostać pokonanym przez takiego wyrobnika.

Jak ugryźć 10 milionów 2 okazało się jedną wielką klapą. Nie wiem, czy nawet moja najbliższa rodzina i znajomi w ogóle poszli na ten film. Na

premierze, jeśliby się dobrze rozejrzeć, można było zobaczyć osoby odwracające wzrok od ekranu. Na Rotten Tomatoes ocena tego dzieła wynosiła, o ile się nie mylę, okrągłe zero. Słowem: porażka.

Właśnie wtedy Hollywood uznało, że nie będzie więcej zapraszać pana Perry'ego do filmów.

Dzień po zakończeniu zdjęć do ostatniego odcinka ostatniego sezonu *Przyjaciół* zaplanowałem spotkanie w ramach programu dwunastu kroków, ponieważ koniecznie chciałem rozpocząć nowe życie z właściwym nastawieniem. Tyle że było mi bardzo ciężko zmierzyć się z pustym terminarzem. Rano obudziłem się z myślą: „Kurwa, co ja teraz pocznę?”.

Kurwa, a co mogłem począć? Faszerowałem się buprenorfiną i nie miałem widoków na żadną nową rolę. „Bez sensu – mówiłem sobie – przecież dopiero co skończyłem grać w najbardziej uwielbianym przez widzów sitcomie w historii telewizji”. Na dodatek relacje pomiędzy mną a Rachel stawały się coraz bardziej napięte, problem stanowiło zarówno czysto fizyczne oddalenie, jak i emocjonalna bliskość. Cokolwiek bym zrobił, i tak byłoby niedobrze.

Znowu więc zostałem singlem.

Bez będącej jak spełnienie marzeń i absurdalnie dobrze płatnej pracy, a także wobec braku „kogoś wyjątkowego” w moim życiu sprawy szybko zaczęły się wymykać spod kontroli. Poczułem się, jakbym skoczył z urwiska. W moim chorym mózgu znów zakiełkowały myśli o sięgnięciu po inne, silniejsze specyfiki, i nie trzeba było długo czekać, by wydarzyło się coś rzekomo niemożliwego. Wróciłem do nałogów.

Dzięki Bogu wbrew pozorom nigdy nie byłem osobą o skłonnościach samobójczych, nigdy tak naprawdę nie pragnąłem umrzeć – przeciwnie: zawsze pielęgnowałem w sobie coś na kształt nadziei. Ale gdyby śmierć miała być konsekwencją tego, że mógłbym wziąć tyle prochów, ile potrzebowałem, byłem gotowy zapłacić tę cenę. Moje myśli naprawdę

biegły aż tak wypaczonymi torami. Jakimś sposobem byłem w stanie pogodzić „nie chcę umierać” z: „Jeśli mam oddać życie za perspektywę nafaszerowania się po kokardkę, nie ma sprawy. Witaj, wieczności!”. Pamiętam dobrze, jak wysypałem tabletki na dłoń i pomyślałem: „Mogą mnie zabić”, po czym i tak je połknąłem.

To spacer na zawieszonyj bardzo wysoko bardzo cienkiej linie. W picu i braniu doszedłem do etapu, na którym piłem i brałem, aby zapomnieć o tym, jak dużo piję i biorę. Taką amnezję może wywołać jedynie niemal śmiertelna dawka używek.

Czułem się boleśnie samotny. To było dosłowne, fizyczne cierpienie, mimo że na pierwszy rzut oka wyglądałem na najszczęśliwszego faceta pod słońcem. Miałem garstkę zaufanych osób, którym mogłem się zwierzyć, licząc na zrozumienie, ale nawet wtedy nic nie było w stanie zapełnić pustki w moim wnętrzu. Kupiłem kolejny samochód – nowa zabawka kręciła mnie raptem kilka dni. Regularnie się przeprowadzałem – radość na myśl o lepszym domu z jeszcze lepszym widokiem trwała dłużej niż zachwyty porsche albo bentleyem, ale znowu nie aż tak bardzo. Skupiłem się na sobie do tego stopnia, że jakkolwiek związek oparty na wzajemnych ustępstwach w zasadzie nie wchodził w grę. O wiele swobodniej czułem się w relacjach bez zobowiązań, w których odpadało ryzyko, że druga osoba z czasem niechybnie odkryje, że nie spełniam jej oczekiwań.

Byłem zagubiony. Nie miałem co ze sobą zrobić. Nie miałem gdzie się ukryć. Alkoholicy najbardziej nie znoszą dwóch rzeczy: tego, jak jest – oraz zmian. Wiedziałem, że muszę coś zmienić – nie byłem typem samobójcy, a jednak umierałem – ale za bardzo bałem się, żeby coś z tym zrobić.

Rozpaczliwie potrzebowałem kolejnego doświadczenia w stylu żółtego światła, za które byłem dozgonnie wdzięczny, bo ofiarowało mi dar trzeźwości i przywróciło chęć do życia. Pytanie tylko: jak zamierzałem to wykorzystać? Jak dotąd nic się nie sprawdzało na dłuższą metę. Wiedziałem, że muszę spróbować innego podejścia, inaczej będzie po mnie.

Nie chciałem, żeby było po mnie. Przecież nie zdążyłem się jeszcze nauczyć, jak żyć. Jak kochać. Nie zdążyłem lepiej zrozumieć świata.

Gdyby nałóg mnie zabił, położyłby trupem niewłaściwą osobę. Nie byłem jeszcze w pełni sobą, a zaledwie zbiorem składających się na mnie części, i to wcale nie tych najlepszych. Pomyślałem, że na pierwszy ogień pójdzie praca, po prostu dlatego, że wydawało mi się to najłatwiejsze. Cała nadzieja w tym, że zepnę poślady i wezmę się do roboty. Udało mi się wytrwać pewien czas w trzeźwości i znów stanąć na nogi. Utrzymywałem relacje bez zobowiązań z kilkoma kobietami, ale jedna z tych znajomości powoli przeistaczała się w coś poważniejszego. W związkach opartych na seksie wszystko było dla mnie jasne – a tu? Poruszałem się trochę po omacku. Odkryłem, że nie chcę, żeby wychodziła od razu po.

– A może jeszcze zostaniesz? Obejrzelibyśmy jakiś film...

Co też najlepszego wyczyniałem? Łamałem wszystkie zasady.

Gdy się poznaliśmy, miałem trzydzieści sześć lat, ona – dwadzieścia trzy. Znałem jej wiek, bo tak się składa, że wkręciłem się na jej imprezę urodzinową. Pierwszy raz całowaliśmy się na tylnym siedzeniu jej totalnie zapuszczonej toyoty. Pomyśleć, że wydawałem kupę forsy na luksusowe wozy, a wylądowałem na usyfionej kanapie jasnobrązowej corolli. Kiedy skończyliśmy, powiedziałem:

– Pozwolisz, że teraz wysiądę. Przede wszystkim dlatego, że mam trzy i pół dychy na karku.

To był początek dwuletniego maratonu seksu bez zobowiązań, którego zasad oboje przestrzegaliśmy bez żadnych odstępstw. Istniało między nami niepisane porozumienie. Nigdy nie jadaliśmy razem kolacji, nigdy nie opowiadaliśmy o swoich rodzinach, nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co się dzieje w naszym życiu w odniesieniu do innych ludzi. Ograniczaliśmy się do esemesów i wiadomości typu: „Może być czwartek o dziewiętnastej?”.

Z początku nie owijała w bawełnę. Pamiętam, jak na początku naszej znajomości powiedziałem jej, że będę w garniturze i że wyglądam w nim całkiem nieźle.

– Nienawidzę garniturów – odparła.

Udało mi się skruszyć tę jej bezkompromisowość, ale zajęło mi to lata.

W podręczniku aktorstwa – a raczej po prostu w książce, którą podarował mi tata, opatrzywszy ją dedykacją: „Kolejne pokolenie diabli wzięli” – jest napisane, że należy podejmować nowe wyzwania i być elastycznym. Jeśli sprawdziłeś się w komedii, wówczas w twoim własnym interesie leży, żeby wykonać zwrot i spróbować sił w poważniejszym materiale. Tak też postanowiłem zrobić. Raz, że nie zamierzałem jeszcze przechodzić na emeryturę, a dwa, że dorosły facet nie może przecież w nieskończoność grać na konsoli. Jak raz stwierdziła moja partnerka bez zobowiązań:

– Żyjesz jak gość, który pije i bierze, tyle że ani nie pijesz, ani nie bierzesz.

Wspominałem już, że była diablo inteligentną kobietą?

Znalazłem się na rozdrożu. Przed jakimi możliwościami staje sławny i bogaty aktor, którego nie interesują sława i bogactwo?

Może się wycofać z zawodu – byłem na to zdecydowanie za młody – albo postarać się zmienić swój profil.

Skontaktowałem się z menedżerem i agentami, by poinformować ich, że chcę się teraz skoncentrować na rolach dramatycznych.

Flirtowałem z tym gatunkiem z całkiem niezłym rezultatem w *Prezydenckim pokerze*, *Ally McBeal* i *Młodych gniewnych*. *Historii Rona Clarka*, dlatego nie miałem poczucia, że wykonuję jakiś szalony ruch. Wziąłem udział w kilku przesłuchaniach do poważnych ról, ale żadnej nie dostałem. Nakręciłem parę niezależnych obrazów, dosyć ambitnych, ale nie chwyciły.

Wtedy pojawił się elektryzujący scenariusz.

Nigdy wcześniej nie widziałem przedsięwzięcia emanującego tak niesamowitą energią – to było fascynujące. Serial *Studio 60* spod pióra Aarona Sorkina, reżyserowany przez Thomasa Schlamme’ego, planowano jako następcę *Prezydenckiego pokera* tej samej dwójki, która łącznie miała na koncie z piętnaście Nagród Emmy. Nic więc dziwnego, że jesienią 2005 roku *Studio* rozpaliło branżę do białości. Pierwszy raz spotkałem się z tekstem, który miałby w sobie tyle pary, zanim w ogóle wszedł w fazę produkcji. Sieci NBC i CBS rzuciły się do walki jak zapaśniczki i ostatecznie zatriumfowała ta pierwsza, pokonując rywalkę kwotą na poziomie trzech milionów dolarów za odcinek. W tamtym czasie wszyscy, dosłownie wszyscy mówili o *Studio 7 on the Sunset Strip* (pierwotny tytuł). Przebywałem wtedy w Nowym Jorku, w moim ulubionym hotelu Greenwich w Tribecie, i kończyłem zdjęcia do *Młodych gniewnych. Historii Rona Clarka*. Bardzo, bardzo chciałem przeczytać scenariusz, o którym zrobiło się tak głośno, ale z racji odległości dzielącej mnie od Zachodniego Wybrzeża musiałem poczekać do dwudziestej drugiej, aż zostanie mi dostarczony. Trudno, czekałem.

Prezydenckim pokerem Aaron i Tommy odmienili postrzeganie seriali telewizyjnych przez Amerykanów. Z kolei moje Chandlerowe manieryzmy odmieńczyły sposób wysławiania się widzów. Pomyślałem sobie, że to silna i obiecująca kombinacja.

Pół godziny przed północą byłem już po lekturze tekstu i podjęciu decyzji o powrocie do pracy w telewizji.

Głównymi bohaterami serialu byli Matt Albie – pierwszy scenarzysta *Studio 7* (podobno Aaron pisał tę rolę z myślą o mnie) – oraz Danny Tripp – producent i kumpel Matta, grany przez wspaniałego, utalentowanego Bradleya Whitforda – którzy znaleźli zatrudnienie przy reanimacji fikcyjnego programu komediowego *Studio 60 on the Sunset Strip*, wzorowanego na formacie *Saturday Night Live*.

Mówiło się – i to zanim nakręciliśmy choć jedno ujęcie – że *Studio 60* jest murowanym hitem, który zgarnie naręcze statuetek Emmy. Przecież w ekipie znaleźli się Sorkin, Schlamme i ja. Co mogło pójść nie tak?

Pierwszym problemem okazały się pieniądze. Powoli docierało do mnie, że zapewne już nigdy nie uda mi się wynegocjować takich sum, jakie zarabiałem w *Przyjaciołach*. Niemniej to, że wszystkim zaangażowanym w *Studio 60* – produkcję stricte „zespołową”, czyli bez wyraźnego głównego bohatera – zaproponowano tę samą stawkę... Rozmowa z moim menedżerem wyglądała mniej więcej tak:

Ja: Zależy mi, żeby w tym zagrać.

Menedżer: Trzeba przyznać, że Sorkin jest nie do pobicia w tym formacie.

Ja: To byłby mój powrót do telewizji – idealny wybór.

Menedżer: Tylko ta stawka...

Ja: Stawka?

Menedżer: Kwota, jaką dostawałbyś za odcinek...

Ja: Dzięki, wiem, czym jest stawka. Lepiej powiedz, ile proponują.

Menedżer: Pięćdziesiąt tysięcy za odcinek.

Ja: W Przyjaciołach dostawałem ponad milion. Nie da się wyciągnąć więcej?

Menedżer: Chyba nie bardzo. Chcą, żeby to było autentycznie zespołowe przedsięwzięcie, i wszystkim proponują tyle samo.

Ja: Nie do wiary, że muszę odrzucić najlepszy scenariusz telewizyjny, jaki w życiu czytałem.

Mój menedżer nie poddał się i chwalał mu za to. Zwrócił producentom uwagę, że choć *Studio 60* zostało pomyślane jako rzecz z gruntu zespołowa, to jednak od momentu, w którym moja postać po raz pierwszy pojawi się na ekranie, uwaga widzów skupi się właśnie na niej – jak przewidział, tak się stało. Po mniej więcej sześciu tygodniach negocjacji udało nam się odwieść Sorkina i pozostałych od początkowego założenia. Miałem zostać

zapowiedziany jako gwiazda serialu, a moja stawka wzrosła do stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy. To oczywiście niebagatelna ilość pieniędzy za tydzień pracy, ale trzy sceny dalej LeBlanc inkasował za *Joeya* sześćset tysięcy... W końcu jednak jakość scenariusza przeważała (w gruncie rzeczy każdy aktor szuka po prostu dobrego materiału) i zgodziłem się na niższe honorarium – a producenci dopełnili obsadę moją serdeczną przyjaciółką Amandą Peet.

Nakręciliśmy odcinek pilotażowy i był tak dobry, że śmiało wytrzymałby konkurencję z każdym innym pilotem, jaki kiedykolwiek widziałem. Tętnił życiem i energią, których próżno szukać w większości produkcji telewizyjnych. Spodobał się fanom, miał znakomitą oglądalność. No właśnie: oglądalność... Odcinki pilotażowe wszystkich moich seriali po *Przyjaciółkach* przyciągały bardzo liczną widownię, by w kolejnym tygodniu emisji zaliczyć jej masowy odpływ. Nie inaczej było w przypadku *Studia 60* – drugi odcinek obejrzało o połowę mniej osób niż pierwszy. Serial nikogo nie obszedł. Dopiero po latach zorientowałem się dlaczego.

Studio 60 miało pewną zasadniczą wadę, której nie były w stanie przykryć dobry scenariusz, dobra reżyseria ani dobre aktorstwo. W *Prezydenckim pokerze* gra toczyła się o najwyższe stawki. Jeżeli okazywało się, że ktoś celuje w Ohio rakieta z głowicą nuklearną, mieszkańcy tego stanu włączali serial choćby po to, żeby zobaczyć, co się może stać, jeśli prezydent w porę nie zażegna niebezpieczeństwa.

Jedynie bardzo wąskie grono ludzi – do którego sam się zaliczam – ma świadomość, że w pewnym sektorze naszej branży właściwa prezentacja i odbiór dowcipu są często kwestią życia lub śmierci. Owszem, mowa o dziwnych, skrzywionych ludziach. Natomiast co mogli sobie pomyśleć mieszkańcy, powiedzmy, Canton w Ohio, oglądając *Studio 60*? Może: „Weźcie wyluzujcie, przecież to tylko dowcip. O co tyle krzyku? Pogrzało was, czy co?”. To nie był skecz Monty Pythona o Erneście Scribblarze, autorze najzabawniejszego żartu świata, wykorzystywanego przez wojsko

do zabijania nazistów (Brytyjczycy są na niego odporni, bo nie znają niemieckiego, ale niemiecki w zabójczym żarcie to bełkot, co samo w sobie też jest zabawne). W podstawowym założeniu *Studia 60* zabrakło czegoś, co trzymałoby w napięciu nie tylko garstkę najzagorzalszych widzów w Rock Center albo bileterów w Comedy Store na Sunset Boulevard. Przy tym nie sprawdziłoby się przeszczepienie na grunt komedii dylematów z *Prezydenckiego pokera*.

Na poziomie szczegółów warunki pracy na planie *Studia 60* okazały się zniechęcająco nieprzystające do tych, do których przyzwyczaiałem się podczas kręcenia *Przyjaciół* albo choćby *Jak ugryźć 10 milionów*. Aaron trzyma wszystko bardzo silną ręką – bo tak lubi – do tego stopnia, że w trakcie zdjęć stale towarzyszyła nam nierozstająca się ze scenariuszem osoba, pilnująca, żeby przypadkiem nikt czegoś nie przekreślił – jeśli na papierze stało „*he is angry*”, a ktoś z nas skrócił to sobie do „*he’s angry*”, musieliśmy powtarzać całą scenę. Kwestie miały być wypowiedziane precyzyjnie co do litery. Przydzieloną do tego zadania asystentkę producenta przezwalałem „Sępem”; cóż za niewdzięczna rola: być dyżurną w klasie pełnej wypruwających sobie flaki błyskotliwych typów. Zdarzało się niestety, że ujęcie z lekko zmienioną interpretacją tej czy innej kwestii było akurat tym najlepszym – nieważne, do ostatecznego montażu i tak trafiało to niewolniczo wierne scenariuszowi, nawet jeśli okazywało się mniej udane. Duet Sorkin-scenarzysta i Schlamme-reżyser nigdy tak naprawdę nie koncentrował się na aktorze, w tym systemie liczyła się przede wszystkim skrupulatność w wygłaszaniu tekstu, zupełnie jakbyśmy wystawiali Szekspira – raz zresztą słyszałem, jak ktoś na planie porównał serial do jego sztuk...

Miałem ponadto odmienną wizję procesu twórczego. Przywykłem do podsuwania scenarzystom pomysłów – Aaron nie chciał o niczym słyszeć. Lubiłem dzielić się refleksjami na temat mojego bohatera – nie spotykały się z aprobatą. Rzecz w tym, że nie jestem pustą gadającą głową. Mam swój

rozum i niezły zmysł, zwłaszcza komediowy. Aaron Sorkin pisze o niebo lepiej ode mnie, to oczywiste, ale z nas dwóch to ja jestem zabawniejszy – raz nawet łaskawie przyznał, że *Przyjaciele* są jego ulubionym serialem – a przecież w *Studiu 60* grałem autora scenek komediowych. Wydawało mi się, że moje pomysły tchną fajnym humorem – niestety, Aaron wszystkie odrzucił. Oczywiście miał do tego prawo i nie mogę mieć do niego pretensji o to, że zarządzał planem według własnej filozofii. Po prostu poczułem się rozczarowany. Swoją drogą, Tom Hanks powiedział mi, że Aaron traktował go tak samo jak mnie.

Całe szczęście miałem już wtedy świadomość, że rola w popularnym serialu telewizyjnym niczego nie załatwia. *Studio 60* szło jak burza, pilot przyciągnął imponującą trzynastomilionową widownię i wypracował czternastoprocentową oglądalność w swoim przedziale czasowym. Niezły wynik. Ukazało się sporo pozytywnych recenzji. Magazyn „Variety” napisał: „Nie sposób nie trzymać kciuków za *Studio 60*, w którym gwiazdorska obsada idzie w parze z soczystymi dialogami Sorkina i gotowością poruszania trudnych tematów”. „Chicago Tribune” ułożyła list miłosny do mnie i posunęła się dalej, stwierdzając, że: „*Studio 60* nie jest zwyczajnie dobre – to serial mający zadatki na klasyka małego ekranu”.

Niemniej problem pozostał: *Studio 60* miało pretensje do bycia poważnym serialem o komedii i telewizji jakościowej, tak jakby obie te rzeczy były równie istotne jak światowa polityka. Niedawno na stronie magazynu „AV Club” czytałem napisaną kilka lat po premierze, bardzo pouczającą analizę krytyczną *Studia 60*. Autor tekstu, Nathan Rabin, zgadza się, że pilot był czymś wyjątkowym.

Podobnie jak wielu widzów, oglądałem wyemitowany 18 września 2006 roku odcinek pilotażowy z wypiekami na twarzy. Kiedy się skończył, umierałem z ciekawości, jak potoczą się losy bohaterów. Wróciłem do niego (...) przed kilkoma miesiącami i tym, co mnie najbardziej

uderzyło, było tkwiące w tej historii niemal nieskończone spektrum możliwości. *Studio 60* mogło pójść w dowolną stronę, mogło ewoluować w dowolny sposób. Miało do dyspozycji jedną z najbardziej niezwykłych obsad, jakie widziałem. Pilot nadał zachwycającą potencjał, mimo że ten, jak wiemy, nigdy nie został wykorzystany.

Zdaniem Rabina serial brał siebie zbyt poważnie jak na komediowy temat, o którym opowiadał. Poza tym bezwzględna kontrola, jaką sprawował nad całością *Sorkin*, nie pozostawiała innym najmniejszego pola manewru.

Przedłużeniem arogancji serialu było to, że wszystkie teksty wychodziły spod ręki Sorkina. Oczywiście, etatowi scenarzyści byli wymieniani jako pomysłodawcy tego czy tamtego wątku, ale w ostatecznym rozrachunku *Studio 60* jest spektaklem jednego autora. Głos Sorkina wyraźnie dominuje nad całością. (...) Na swój osobliwy sposób *Studio 60* nadal przemawia do widza, choć nie jako *magnum opus*, lecz raczej coś na kształt imponującego, miejscami fascynującego kaprysu.

Na domiar wszystkiego zmieniły się czasy. Trafiliśmy na antenę, akurat kiedy tradycyjny model telewizji, tzw. *appointment television* – w którym widz zasiadał przed telewizorem w wyznaczonym przez nadawcę czasie, bo chciał się dowiedzieć, co nowego wydarzy się w jego ulubionym serialu, na przykład w *Przyjaciółkach* albo *Prezydenckim pokerze* – odchodził do lamusa. Ludzie nagrywali programy na później, co oczywiście miało przełożenie na wyniki oglądalności, a to przecież one, nie jakość programu sama w sobie, decydowały o jego życiu lub śmierci.

Pod koniec pierwszego – i jedyne – sezonu *Studia 60* widzowie mieli chyba podobne odczucia jak Rabin po latach. Nasza publiczność stopniała do czterech milionów, natomiast udział w rynku zjechał do pięciu procent.

Nasz los został przesądzony.

Nie załamał mnie brak powodzenia – jak już wspomniałem, wiedziałem, że sukces serialu nie jest w stanie podbić mojego serca. Poza tym rozgaszczało się w nim coś zupełnie innego.

Dwuletnia relacja bez zobowiązań płynnie przeszła w miłość. To był jeden z najbardziej „normalnych” okresów w moim życiu. Co nie znaczy, że nie zdarzały mi się lekkie potknięcia, na przykład dni, kiedy łykałem dwa oxycontiny, z których musiałem się potem przez tydzień odtruwać. W każdym razie mój związek pogłębił się do tego stopnia, że coraz częściej chodziło mi po głowie pewne bardzo istotne pytanie.

– Myślę, że powinniśmy przestać się oszukiwać – stwierdziłem pewnego dnia. – Kochamy się.

Nie zaprzeczyła. Naprawdę ją kochałem, i to mocno. Niemniej kwestie zażyłości wciąż spychaliśmy na dalszy plan przede wszystkim dlatego, że oboje byliśmy zapracowanymi ludźmi. Bardzo się bałem, że mnie zostawi, i kto wie, może ona też się obawiała, że od niej odejdę.

Tak czy inaczej, nadeszła odpowiednia chwila.

Na Gwiazdkę wykosztowałem się na malarza i zamówiłem nasz wspólny portret. Podstawą tego, co istniało między nami, zawsze – a przynajmniej przez pierwsze cztery lata – były seks i esemesy. Dowiedziałem się od swojego menedżera, który miał wgląd w takie informacje, że wysłaliśmy do siebie jakieś tysiąc siedemset osiemdziesiąt wiadomości. Dlatego na obrazie ona siedzi w prawym dolnym rogu, jak zwykle z „New York Timesem” i butelką wody, a ja w lewym, w typowym dla mnie stroju, czyli T-shircie z krótkim rękawem narzuconym na koszulkę z długim, oraz z puszką red bulla w jednej ręce i numerem „Sports Illustrated” w drugiej – i bez przerwy piszemy do siebie na telefonach. Artysta umieścił na płótnie tysiąc siedemset osiemdziesiąt drobnych serduszek, które ułożył tak, by tworzyły obraz jednego wielkiego serca. Nigdy wcześniej nie wydałem tyle pieniędzy na prezent. Kochałem tę kobietę i chciałem, by o tym wiedziała.

Plan zakładał, że wręczone jej obraz i zadam pytanie – TO pytanie, wiadomo jakie, nie muszę chyba mówić... zwłaszcza że... cóż, ostatecznie wcale go nie zadałem. Była bardzo wzruszona prezentem.

– Matty, serce ty moje, co ty robisz z moim sercem...

Moment był idealny. Musiałem jedynie użyć słów: „Skarbie, kocham cię. Czy zgodzisz się...”, ale nie zrobiłem tego. Wszystkie moje lęki znów dały o sobie znać, wypełzły jak wąż, którego tak się bałem rok przed pierwszym spotkaniem z nią, gdy ujrzałem Boga, ale niewiele się od niego dowiedziałem.

Włączył mi się jebany Chandler Bing.

– Hej, hej, hej! – powiedziałem ku jej konsternacji. – Lepsze być nie mogło, co nie? – dodałem z tą cholernie nieznośną manierą.

Przegapiłem okazję. Nie wiem, może się spodziewała, a może nie. Sekunda dzieliła mnie od wypowiedzenia pytania, sekunda – i całe wieki. Często myślę, że gdybym się wtedy zdecydował, mielibyśmy teraz dwoje dzieci i dom bez widoku, ale widoku bym nie potrzebował, bo patrzyłbym na nią – i na dzieci. Zamiast tego siedzę, pięćdziesięcioletni palant, sam jak palec w pustym domu i gapię się na ocean niespokojny...

No więc ostatecznie nie zadałem pytania. Bo się przestraszyłem, bo poczułem się przytłoczony, bo za mocno się nakręciłem. Przez cały czas byłem jej całkowicie wierny, nawet przez ostatnie dwa lata, kiedy z jakiegoś powodu nie chciałem już uprawiać z nią seksu i żaden terapeuta nie byłby w stanie wytłumaczyć, dlaczego nie zadałem tego przekłętą pytania i czemu zacząłem ją traktować po prostu jak przyjaciółkę, najlepszą kumpelę. Nie chciałem stracić kumpeli, dlatego jeszcze przez dwa lata starałem się robić wszystko, żeby nam się układało.

Nie wiedziałem wtedy, z jakiego powodu przestaliśmy ze sobą sypiać. Teraz już wiem. To wina tej nawracającej, dręczącej obawy, że jeśli się do siebie zbliżymy, ona ujrzy moje prawdziwe oblicze i odejdzie. W tamtym czasie niespecjalnie za sobą przepadałem. Poza tym coraz bardziej dawała

nam się we znaki różnica wieku. Ona wiecznie chciała gdzieś wychodzić i „coś robić” – mnie interesowało bardziej „osiadłe” życie.

Pojawiły się też inne kwestie. Determinacja, z jaką ona spełniała się zawodowo, kolidowała z moją ówczesną filozofią, która zasadniczo polegała na nicnierobieniu. Zachowywałem się tak, jakbym przeszedł na aktorską emeryturę, i szczerze nie sądziłem, że będę jeszcze kiedykolwiek występował. Jako obłądnie bogaty człowiek całymi dniami grałem na konsoli i spędzałem czas z samym sobą.

I cóż miałem teraz począć?

Zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

Wysmażyłem serial pod tytułem *Mr. Sunshine*. Zgadzam się ze zwolennikami poglądu, że w życiu liczy się podróż, a nie stacja docelowa. Nigdy wcześniej nie pisałem scenariusza – dlatego postanowiłem spróbować. Stworzenie tekstu zgodnego z własnym wyobrażeniem na temat tego, o czym chciałoby się napisać, jest praktycznie niemożliwe. Tak wiele osób – producentów, scenarzystów i nie tylko – stara się wtrącać swoje trzy grosze na różnych etapach pracy, że jedynie garstka ludzi pokroju Sorkina nie musi się martwić, że ich wizja zostanie zniekształcona w drodze na mały ekran.

Mr. Sunshine kręci się wokół granego przeze mnie Bena Donovana, menedżera hali sportowej, przy czym jednym z kluczowych dziwactw tego bohatera jest jego niezdolność do zaangażowania się w poważny związek. W postać mojej przełożonej wcieliła się Allison Janney. Oprócz wielu innych rzeczy udało mi się przemycić niewinny żarcik po napisach końcowych. Otóż moja firma producencka nazywa się Anhedonia Productions (anhedonia to niemożność odczuwania przyjemności) i na naszej animowanej wizytówce widać, jak wzdycham z nudów na kolejce górskiej. Pomimo tego, że włożyłem w ten serial całego siebie, *Mr. Sunshine* cieszył się względną popularnością jedynie przez jakieś dwa tygodnie – dopóki widzowie nie stwierdzili, że nie chcą go już dłużej oglądać.

Niemniej jednak okazał się dla mnie bardzo cennym doświadczeniem, ponieważ dzięki niemu nauczyłem się, jak stworzyć serial od zera. To jedna z tych rzeczy, które być może wyglądają na łatwe, ale w rzeczywistości są niewiarygodnie trudne – jak matematyka albo prawdziwa rozmowa z drugim człowiekiem. Świetnie się bawiłem, tyle że takie przedsięwzięcie to maraton, a ja jestem sprinterem. Z trzeźwego, pykającego na konsoli zamożnego gościa uczyniło kogoś diabelnie zapracowanego, a to niedobrze. Serial stracił trzeźwość ze szczytu listy moich priorytetów i w rezultacie znów wróciłem do nałogu.

Niedługo potem napisałem scenariusz kolejnego serialu, *Go On*, opowiadającego o życiu radiowego komentatora sportowego, który usiłuje odzyskać stabilizację po śmierci żony. Stacja NBC dosyć mocno promowała ten tytuł – puściła go nawet w czasie igrzysk olimpijskich, dzięki czemu pierwszy odcinek obejrzało aż szesnaście milionów ludzi – ale komedia o wsparciu dla osób w żałobie? Finał sezonu w kwietniu 2013 roku zainteresował już tylko dwa i pół miliona widzów. Znów to samo: serial ze mną w roli głównej zaliczył znakomity początek i marny koniec, przez co został skasowany. Pozbawiony zajęcia i miłości raz jeszcze pograżyłem się w odmętach nałogu. Tym razem jednak szybko się ogarnąłem i wylądowałem w klinice odwykowej w Utah.

Poznałem tam Burtona, opiekuna w typie Yody, który stwierdził, że po prostu lubię cały ten dramatyzm i chaos związane z uzależnieniem.

– O czym ty gadasz? – Zjeżyłem się. – Nałóg zniszczył mi życie. Zabrał wszystko, co było we mnie dobre.

Naprawdę się wkurwiłem.

Ale jeśli Burton miał rację?

Interludium. Kieszenie

Siedziałem w swoim pokoju w nowojorskim ośrodku leczenia uzależnień i miałem potworną ochotę coś łyknąć. Odtruwanie się nie powiodło, całe moje ciało domagało się świeżej dawki. Powiedziałem o tym lekarzowi i opiekunowi, ale w sumie nawet nie musiałem – przecież widzieli, że się wiercę i trzęsę, słowem: jestem na głodzie.

Nie zareagowali. Poczułem się pozostawiony samemu sobie. Postanowiłem, że pora wziąć sprawy w swoje ręce.

Sięgnąłem po telefon i poczyniłem pewne ustalenia.

W ośrodku obowiązywała zasada, że kto opuszcza budynek, ten natychmiast po powrocie musi zrobić badanie moczu. No więc wyszedłem na zewnątrz, spotkałem się z kim trzeba w samochodzie, przekazałem gotówkę, odebrałem prochy, po czym na terenie ośrodka skierowałem się od razu do łazienki, gdzie wykonałem test. Zwieńczyłem całą operację połknięciem trzech tabletek.

Genialne, prawda?

Nie mów hop.

Kiedy prochy zaczęły działać, przestałem się trząść i znów poczułem, jakby moje ciało było ulepione z ciepłego miodu... Wtedy nagle rozległo się pukanie do drzwi.

O kurwa.

Do łazienki wmaszerowali opiekun i jedna z pielęgniarek.

– Odebraliśmy telefon z informacją, że przed naszym ośrodkiem dokonano nielegalnej transakcji lekowej – powiedział opiekun. – Muszę przeszukać twoją kurtkę.

Kurwa!

– Serio? – Otworzyłem szeroko oczy z udawanym zdziwieniem. – Spoko. Przy mnie niczego nie znajdziesz – odparłem, doskonale wiedząc, że

owszem, znajdzie. I nie było spoko, było cholernie daleko od spoko.

Zajrzał do kieszeni i co? Prochy. Jasne, sam je tam włożyłem. Zabrał towar i powiedział, że dyrekcja zajmie się mną rano. To oznaczało, że dziś miałem przed sobą cztery godziny haju, a jutro – wielką drakę.

Nazajutrz o dziesiątej rano zebrało się całe szefostwo tego okropnego miejsca i postanowiło: wylatujesz!

– Wyrzucacie mnie? Ja pierdolę, co za absurd. Przecież to odwyk lekowy, tak? Więc skąd, kurwa, zdziwienie, że ktoś tu bierze prochy? Mówiłem tym dwóm, że źle się czuję, ale nawet nie kiwnęli palcem. To co miałem zrobić? Nie strzelajcie takich min, jakbyście byli zaskoczeni, do chuja pana. Wziąłem prochy, bo jestem od nich uzależniony. To chyba logiczne.

Wykonano kilka telefonów i czym prędzej przeniesiono mnie do jakiegoś anonimowego ośrodka w Pensylwanii.

Stamtąd odprawiono mnie do kolejnego stanu. Czuję się jak kulka we flipperze. Jedyne plus? Można było palić. Tuż po przyjeździe zaciągnąłem się pierwszym papierosem od dziewięciu miesięcy. Co za cudowne uczucie.

Pewnym utrudnieniem, jeśli chodzi o mój pobyt w nowym ośrodku, mógł być fakt, że byłem w tamtym czasie uzależniony od sześciomiligramowych dawek ativanu... którego tu nie podawano. Ci z Nowego Jorku mogli to sprawdzić, ale nie zrobili tego. Z mojego własnego doświadczenia, jak również z wieloletnich rozmów z innymi uzależnionymi wynika, że większość ośrodków odwykowych to skurwiałe miejsca nastawione na wykorzystywanie chorych, potrzebujących pomocy ludzi i zainteresowane wyłącznie spieniężaniem ich czeków. Cały ten system jest zdegenerowany i zwyczajnie pojebany.

Dobrze wiem, co mówię. Wpompowałem w niego miliony dolarów.

Pieniądze mi pomagały – czy szkodziły? Nie ma możliwości, żebym się spłukał do zera przez alkohol i prochy. Czy przez to jest trudniej?

Na szczęście nigdy się tego nie dowiemy.

Rozdział 8. Odyseja

Po *Przyjaciołach*, filmach, sześcioletnim związku, wzlotach i upadkach, upadkach i wzlotach – po wszystkim – wyruszyłem na trwającą sześć lat odyseję. Wbrew pozorom nie byłem obrzydliwie bogatym, cierpiącym na brak zajęć facetem. W rzeczywistości miałem bowiem więcej do roboty niż kiedykolwiek. Byłem człowiekiem staczającym się po górskim zboczu, tonącym w rozszalałej rzece, szukającym schronienia na bezpiecznej, suchej skale.

Pomiędzy zdjęciami do *Mr. Sunshine* i *Go On* gościłem w Cirque Lodge w Sun Valley w stanie Utah, ośrodku odwykowym numer trzy, o ile to dla kogoś istotne. Cirque Lodge leży u stóp masywu Timpanogos w łańcuchu Gór Skalistych. Nie jestem może jakimś szczególnym miłośnikiem dzikiej przyrody, dużo bardziej uspokajająco działa na mnie ocean albo przynajmniej widok na wielką wodę, ale muszę przyznać, że otoczenie ośrodka zachwyca urodą. Powietrze było rzadkie, rzeźwe i oczyszczające. W pobliżu kręciło się mnóstwo radośnie gulgoczących i podfruwających indyków – nawet nie wiedziałem, że potrafią latać! – nad głowami krążyły orły, do tego raz na jakiś czas niedaleko budynku powoli, dostojnie przechadzał się łoś – naprawdę były tam łosie, nie przywidziało mi się.

Oprócz pięknych okoliczności przyrody Cirque Lodge mógł się pochwalić doborowym, doskonałym w swoim fachu personelem. Mój opiekun, Burton – słowo daję, pomalować mu twarz na zielono i byłby Yoda jak z obrazka – okazał się niezwykle uczynnym człowiekiem, pomógł mi się uporać zarówno z rzeczywistymi problemami – te mnie tam przywiodły – jak i z urojonymi – z tymi nigdy się nie rozstawałem. Jest jednym z nielicznych mężczyzn, którym wyznałem miłość. Zjawiłem się z podwiniętym ze strachu ogonem, co choć samo w sobie jest głęboko krępujące, stanowi

warunek przyjęcia na odwyk, i kojący głos Burtona niemal od razu sprawił, że poczułem się odrobinę lepiej.

„Odkryj, obnaż, usuń” – brzmiała jedna z głównych mantr w Cirque Lodge. Cieszyłem się, że będę mógł zrobić przynajmniej to ostatnie: nadeszła pora raz na zawsze wyrzucić z siebie całe to gówno. Na tym etapie byłem już tak obeznany z programem dwunastu kroków (i wszystkimi innymi, z których korzysta się na odwykach), że podczas pobytu w Cirque Lodge poświęcałem sporo czasu oswajaniu nowicjuszy i dostarczaniu wszystkim rozrywek. Załatwiłem nam stół do ping-ponga i wymyśliłem prostą grę polegającą na rzucaniu czerwoną piłką, dzięki czemu moi koledzy zyskali wiele godzin bezpretensjonalnej zabawy, a ja – poczucie celu. Bardzo pragnąłem pomagać i byłem w tym naprawdę dobry.

Sądziłem, że w trakcie pobytu w ośrodku będę musiał przepracować głębokie urazy psychiczne, sięgnąć pamięcią do dzieciństwa i wydobyć dawne traumy, samotność i tak dalej po to, by zainicjować bardzo bolesny proces rozliczenia z tymi rzeczami. Chodziło o to, żeby poprzez wyzbycie się ciężaru przykrych wspomnień oddalić od siebie potrzebę tłumienia ich alkoholem i prochami.

Jednakże Burton postrzegał sprawy inaczej. Oskarżył mnie o to, że podoba mi się dramatyzm związany z uzależnieniem, i zapytał, jak mogę tak miło spędzać czas w Cirque Lodge, będąc jednocześnie tak bardzo przybitym niemal wszystkim, co się dzieje na zewnątrz, w prawdziwym świecie.

W pierwszej chwili jego słowa wydały mi się wręcz obraźliwe. „Podoba mi się?” Jakim prawem Burton kwituje czymś takim moje lata uzależnienia, strachu, braku kontroli i wewnętrznych mąk?

Podczas „tygodnia z rodziną i przyjaciółmi” goście ośrodka zwyczajowo zapraszali swoich bliskich w odwiedziny. Bardzo się przed tym broniłem. Ojciec był u mnie w Hazelden, matka w Promises w Malibu, a moja ówczesna dziewczyna zmarnowała niezliczoną ilość godzin na

wysłuchiwanie moich detoksowych peror przed domowymi pielęgniarkami i towarzyszymi trzeźwości. Nie chciałem, żeby znów to przeżywali. To było zbyt bolesne, zbyt trudne, zanadto niesprawiedliwe. Wołałem, żeby odetchnęli ode mnie – przynajmniej tyle mogłem zrobić. Sam się wpakowałem w ten bajzel, sam się z niego wygramolę.

Któregoś dnia, mniej więcej wtedy, kiedy wypadał tydzień z rodziną i przyjaciółmi, usiadłem samotnie na zewnątrz z nadzieją, że przeparaduje przede mną łoś albo zjawi się indyk, machnie skrzydłami i polecą między drzewa. Na dworze było zimno, temperatura spadła poniżej zera, ale chciało mi się palić, więc nie miałem wyboru: okutałem się kurtką i wyszedłem. Zapaliłem marlboro i kiedy powoli je ćmiłem, zaczął sypać drobny śnieg. Zaległa głęboka cisza, jakby cały wszechświat usiłował się wsłuchać w mój umysł i serce.

Ciekawe, co usłyszał.

Zacząłem się zastanawiać, czemu nie życzę sobie żadnych gości, i nagle zrozumiałem... Dlaczego zwalniam swoją rodzinę i najbliższych z udziału w tym piekle, które przechodzę, ale *sam* ochoczo się w nie ładuję?

Dotarło do mnie, że Burton miał rację: rzeczywiście lubię chaos. Pora odpuścić. Prochy już od dawna nie dawały mi tego, czego potrzebowałem, a mimo to wciąż do nich wracałem, narażając życie dla... ucieczki? Od czego? Najgorszą rzeczą, od jakiej musiałem uciekać, było uzależnienie. Piłem więc i brałem prochy, żeby się uwolnić od... Przecież to przeczyło logice! Nie było w tym ani krztyny sensu! Byłem wystarczająco inteligentny, by zdawać sobie z tego sprawę, ale rozwiązanie problemu całkowicie przerastało moje możliwości. Zmiana jest czymś przerażającym, nawet kiedy na szali leży twoje życie.

Przynajmniej nareszcie zacząłem zadawać właściwe pytania – nieważne, że odpowiedzi wciąż pozostawały mętne. W głębi duszy wiedziałem, że w życiu chodzi o proste przyjemności, takie jak rzucanie czerwoną piłką albo przyglądanie się, jak łoś sprężystym krokiem przecina polankę.

Musiałem zrzucić balast wszystkiego, co mi szkodziło, na przykład wciąż chowanej do rodziców urazy, samotności, poczucia bycia niewystarczająco dobrym, strachu przed związkami, wynikającego z obawy przed nieuchronnym końcem znajomości.

Musiałem sobie przypomnieć, że tata zostawił mnie, bo się bał, a mama była bardzo młodą osobą, która starała się, jak mogła. To nie jej wina, że musiała poświęcać tyle czasu jebanemu kanadyjskiemu premierowi – przecież od początku było wiadomo, że to nie będzie praca od ósmej do szesnastej, nawet z dzieciakiem w domu. Wtedy jednak tego nie rozumiałem, więc...

Musiałem zostawić to za sobą, wznieść się wyżej i uzmysłowić sobie, że wielki świat za murami ośrodka wcale na mnie nie czyha, nie ma na mój temat żadnego zdania, po prostu istnieje – jak zwierzęta, jak rzeźkie powietrze. Wszechświat jest bezstronny i piękny, będzie trwał dalej ze mną lub beze mnie.

Żyłem w świecie, w którym pomimo jego obojętności udało mi się stworzyć własne znaczące i ważne dla mnie miejsce. Pora, by nareszcie do mnie dotarło, że po mojej śmierci *Przyjaciele* nie powinni się znajdować zbyt wysoko na liście rzeczy, które osiągnąłem. Muszę być miły dla ludzi – niech spotkania z nimi będą dla mnie pozytywnym, przyjemnym doświadczeniem, a nie takim, które napęłnia mnie strachem, zupełnie jakby właśnie to było najistotniejsze. Muszę być dobry, muszę być czuły w miłości, muszę uważniej słuchać, muszę bezwarunkowo dzielić się tym, co mam. Muszę przestać być zestrachanym dupkiem i wbić sobie do głowy, że w razie czego zawsze dam sobie radę, cokolwiek się zdarzy. Bo jestem silny.

Śnieg zelżał i z mroku lasu w ciszy wyłoniła się sylwetka samicy łośia o pociągłym, spokojnym pysku. Wyglądała, jakby w życiu widziała już wszystko i nic nie było w stanie wyprowadzić jej z równowagi. „Niech to będzie dla mnie nauka” – pomyślałem. Spomiędzy drzew w ślad za matką

wydreptały z niespożytą dziecięcą energią dwa łoszaki. Cała trójka popatrzyła na mnie, siedzącego z żarzącym się papierosem w ręku, po czym odwróciła się i odeszła.

Może wszechświat chce mi pokazać, że z perspektywy kosmosu moje istnienie nie ma absolutnie znaczenia. Jestem po prostu jednym z całego mrowia ludzi kręcących się w kółko.

To mi wystarczyło. Zdusiłem niedopałek i poszedłem rozegrać kolejną partyjkę czerwonej piłki.

Wyjechałem z Cirque Lodge szczupły i zadowolony, gotów zmierzyć się ze światem, gotów zostać z moją dziewczyną na zawsze. Tyle że mojej ówczesnej dziewczynie nowy Matty nieszczególnie przypadł do gustu. Chyba doszła do wniosku, że nie jest mi już aż tak potrzebna, i to ją zniechęciło. Być może moje problemy dawały jej coś na kształt poczucia bezpieczeństwa. Może myślała: „Nigdy mnie nie opuści, przynajmniej dopóki jego zmartwienia pochłaniają go bez reszty”. Nie spodobało jej się to, że poprawiło mi się samopoczucie. Ta niefortunna prawda okazała się ostatnim gwoździem do trumny naszego związku. Po wielu próbach pogodzenia różnych rzeczy w końcu postąpiliśmy, jak należało: zaakceptowaliśmy porażkę i rozstaliśmy się. Była moją ulubioną osobą na świecie, ale najwyraźniej nie było nam pisane być razem. Zrobiło mi się potwornie smutno.

I znów musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie: co dalej?

Z początku próbowałem wypełnić dziurę aktywizmem, ale wzleciałem zbyt blisko Słońca i straciłem ostatnie pozory niewinności.

W 2001 roku, tuż po tym, jak po raz pierwszy sięgnąłem po „Wielką Księgę” Anonimowych Alkoholików w Marina del Rey, trafiłem do ośrodka odwykowego Promises w Malibu. Jedną z osób, które prowadziły tam zajęcia, był Earl Hightower. Od razu go polubiłem. Był niesamowicie zabawnym gościem o ogromnej wiedzy. Mówił, że nie pije od 1980 roku.

Miał kilkoro klientów z kręgów celebryckich, więc pomyślałem, że warto spróbować, i poprosiłem go, żeby został moim sponsorem. Przy kawie podzieliłem się z nim refleksją, że obawiam się tylko jednego: iż pewnego dnia podsunie mi scenariusz do przeczytania, na co odparł:

– No wiesz, w zasadzie *mam* pewien scenariusz... Ale nie zrobiłbym ci tego.

Tak zaczęła się nasza znajomość. Przerabiałem z nim etapy programu dwunastu kroków, a właściwie poganiałem go, żeby nie tracić czasu. Tak mi się spieszyło do zaliczenia programu i utrwalenia trzeźwości, że codziennie wydzwaniałem do niego i zmuszałem do pracy. Mówił, że jeszcze nikt nie brał go do takiego galopu jak ja. Z czasem, przez lata, ze sponsora przedzierzgnął się w mojego przyjaciela. Podziwiałem go i słuchałem. Mieliśmy identyczne poczucie humoru i nawet *brzmieliśmy* bardzo podobnie. Lekceważyłem fakt, że Earl cieszył się niejaką sławą w środowisku, w którym wszystko winno pozostawać anonimowe.

Ale moim największym błędem było to, że uczyniłem z niego swoją „wyrocznieść”. Ilekroć coś się nie kleiło w którymś z moich związków albo w ogóle kiedy miałem problem z czymkolwiek, dzwoniłem do niego, a on udzielał mi jakiejś mądrej rady. Dotarłem do punktu, w którym gdyby Earl powiedział: „Przykro mi, Matthew, ale musisz się przeprowadzić na Alaskę i stanąć na głowie”, bez wahania kupiłbym bilet do Anchorage. Gdyby powiedział: „Od dziś przez trzy miesiące nie wolno ci jeść nic poza zielonymi m&m’sami”, możecie być pewni, że stawiałbym klocki w kolorze khaki.

Z jednej strony doskonale zdawałem sobie sprawę, że przyjaźń ze sponsorem to zły pomysł, z drugiej – Earl był dla mnie wszystkim. Stał się moim ojcem, moim mentorem. Oglądałem jego występy – był bardzo zabawnym i przekonującym mówcą. Chodziliśmy razem do kina. Kiedy zaliczałem powrót do nałogu, był przy mnie, pomagał mi, znajdował

ośrodki odwykowe. Nie przesadzę, jeśli powiem, że kilka razy wręcz uratował mi życie.

Przyszedł jednak moment, w którym nasza przyjaźń przerodziła się w biznes. Tak, zacząłem prowadzić interesy ze swoim sponsorem. Wiem, kurewsko koszmarny błąd.

Earl założył firmę, za której pośrednictwem chciał otworzyć i prowadzić sieć domów trzeźwości w różnych częściach Los Angeles. Zainwestowałem pół miliona i zamieniłem swój dom w Malibu w jeden z takich przybytków. Nazwałem go Perry House. Mniej więcej w tym samym czasie na prośbę niesamowitego Westa Huddlestona, szefa Stowarzyszenia Pracowników Sądów Narkotykowych, Earl i ja kilka razy udaliśmy się do Waszyngtonu na spotkanie z ustawodawcami, żeby przekonywać ich o skuteczności sądów narkotykowych. Tego rodzaju sądy dążą do ograniczenia odpowiedzialności karnej uzależnionych przestępców niestosujących przemocy; zamiast wysyłać ludzi do więzień, postulują obejmowanie ich opieką i poddawanie terapiom odwykowym. W maju 2013 roku Gil Kerlikowske, szef Krajowego Biura do spraw Polityki Kontroli Narkotyków w administracji Obamy – „car narkotykowy”, jak się potocznie określa jego stanowisko – wręczył mi nagrodę Champion of Recovery. Zazartowałem w rozmowie z „Hollywood Reporter”, że „gdyby mnie aresztowano, siedziałbym teraz w jakimś więzieniu z tatuażem na twarzy”.

W tym samym miesiącu poprowadziłem gościnnie odcinek programu *Piers Morgan Live*, w którym porozmawiałem z Lisą Kudrow i Lauren Graham, a także skupiłem się na tematach związanych z uzależnieniem i powrotem do zdrowia. Badałem teren, próbowałem ustalić, czym mógłbym się zajmować, i odkryłem, że czuję się swobodnie w roli gospodarza talk-show. Zacząłem od poinformowania widzów, że nie jestem Piersem Morganem, co można z całą pewnością poznać po tym, że „nie mówię z brytyjskim akcentem, a moje imię nie brzmi tak, jakbym chciał przedziurawić jakiegoś Morgana”¹². Lisa zareagowała głośnym chichotem.

„Może to jest to?” – pomyślałem. Zażartowałem, że swoją przyszłą autobiografię zatytułuję *Nie dorosłem*.

Ojej.

Zachodziłem w głowę, jak to się, kurwa, stało, że ktoś mi, lekomanowi, wręczył nagrodę i pozwolił poprowadzić talk-show.

Earl miał wystąpić w *Piers Morgan Live* razem ze mną, ale skrewił w ostatniej chwili. Jakiś czas później poleciliśmy do Europy, by tam propagować ideę sądów narkotykowych. Wziąłem udział w debacie w wieczornym programie BBC *Newsnight*, którą poprowadził gderliwy facet o nazwisku Jeremy Paxman, znany z opryskliwości w stosunku do osób zapraszanych do studia. Wśród gości oprócz mnie znaleźli się popierająca moje poglądy baronessa Meacher, ówczesna przewodnicząca Ponadpartyjnej Grupy Parlamentarnej do spraw Reformy Polityki Narkotykowej, oraz bęcwał nazwiskiem Peter Hitchens.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to uczucie, kiedy twoim bratem jest człowiek, którego wszyscy uwielbiają, podczas gdy ty sam jesteś kretynem, którego wszyscy serdecznie nie cierpią, ale sądzę, że Peter miałby na ten temat sporo do powiedzenia. Nawet dziś, po ponad dziesięciu latach, śmierć Christophera Hitchensa, niezrównanego gawędziarza, pisarza, dyskutanta i bon vivanta, wciąż kładzie się cieniem na świecie kultury i polityki. Niestety jego młodszy brat Peter nadal rozprawia o rzeczach, o których nie ma pojęcia, mieszając w swoich perorach prawicową ideologię z paternalizmem i moralizatorstwem.

Hitchens pojawił się w *Newsnight* po to, by dać wyraz swemu osobliwemu pogładowi, że przyjmowanie narkotyków stanowi przejaw poluzowania zasad rządzących społeczeństwem. „Panuje obecnie moda na podważanie faktu, że ludzie potrafią *zapanować* nad własnym życiem, oraz szukanie *wymówek* w ich imieniu”, szydził, brzmiąc jak nawiedzona cioteczna babka, która wychyliła o jeden kieliszeczek sherry za dużo. Mało tego, „dowodził”, że w ogóle nie ma czegoś takiego jak uzależnienie.

Zdobycie przewagi nad tym typem było wręcz nieprzyzwoicie łatwe. W pewnej chwili skomentowałem, że skoro już włożył na debatę długie spodnie zamiast krótkich spodenek, mógłby, jak przystało na dorosłego mężczyznę, przestać opowiadać głupstwa. Podkreśliłem, że Amerykańskie Towarzystwo Medyczne uznało uzależnienie za chorobę już w 1976 roku i że on, Hitchens, jako jedyny człowiek na całej planecie nadal nie przyjmuje tego do wiadomości. Wyraźnie nie podobały mu się moje uwagi. Skończyło się na tym, że Paxman i baronessa śmiali się w głos z idiotycznych i okrutnych słów Hitchensa.

Hitchens: *Skoro to, co pan mówi, jest prawdą, jak to możliwe, że ludziom w ogóle udaje się zerwać z nałogiem?*

Ja: *No cóż, Święty Mikołaju...*

Hitchens: *Och, strasznie zabawne. To poważny temat, a pan go traktuje bez troski...*

Jego wiedza o mnie i na temat, na który się wypowiadał, była na poziomie zerowym.

Kiedy robiłem z Petera Hitchensa głupka, którym jest, i jeździłem po Europie, orędując za sądami narkotykowymi, projekt Perry House upadał – korzystało z niego zbyt mało osób, a że był drogi w utrzymaniu, interes po prostu nie spinał się finansowo, dlatego ostatecznie musiałem sprzedać nieruchomość, żeby nie dopuścić do dalszych strat.

Podczas lunchu z Earlem poprosiłem go o zwrot pieniędzy. Nie doczekałem się. Wygadywał niestworzone rzeczy, fantazjował, że być może zostanie aktorem, słowem: coś było nie w porządku. Zestresowałem się sytuacją, wróciłem do domu i cóż, sięgnąłem po prochy. Mogę mieć pretensję wyłącznie do siebie – również o to, że nieodwracalnie straciłem dwie rzeczy: niewinność i zaufanie do Earla Hightowera.

Earl przeprowadził się do Arizony, nie mówiąc mi o tym, i tak zakończyła się nasza znajomość. Ceną za przyjaźń i zaufanie spowiednika, za wspólną agitację na rzecz sądów narkotykowych i budowanie domów trzeźwości było pół miliona dolarów, utrata najbliższego sprzymierzeńca oraz niewinności, którą pielęgnowałem przez te wszystkie lata. Bolesne przeżycie.

Pisałem teksty do telewizji od wielu lat, ale zawsze robiłem to z partnerem. Nazajutrz po fiasku z Hightowerem poczułem się wyjątkowo nieprzyjemnie, byłem bardzo nieswój, na szczęście przypomniałem sobie słowa, którymi kiedyś uraczył mnie ktoś mądry: w takich chwilach postaraj się uruchomić swoją twórczą energię. Otworzyłem więc laptopa i zacząłem pisać. Jeszcze nie wiedziałem, co z tego wyjdzie, po prostu składałem słowa, przebiegając palcami po klawiaturze. Po chwili okazało się, że wychodzi sztuka.

Potrzebowałem tego. Czułem, że ostatnio strasznie obniżyłem loty, i byłem zdecydowany zrobić coś, co choć trochę ułatwi mi spojrzenie w lustro.

Byłem zły na siebie za to, co się przytrafiło *Dziwnej parze* w CBS. Od lat byłem wielkim fanem filmu z 1968 roku nakręconego na podstawie sztuki Neila Simona i zawsze chciałem zrobić jego wersję telewizyjną. Moje marzenie spełniło się w 2013 roku, kiedy CBS nareszcie dała projektowi zielone światło. *Go On*, serial, który nakręciłem przed *Dziwną parą*, nie wypalił, ale tym razem byłem dużo bardziej pewny siebie. Materiał źródłowy to przecież czyste złoto, do tego znakomita obsada, słowem: murowany sukces. Sęk w tym, że dręczyła mnie depresja, a nałogi powróciły z pełną mocą. Dlatego dziś tak bardzo się wstydzę swojego zachowania na planie *Dziwnej pary*. Zjawiałem się spóźniony i nawalony, chodziłem przygnębiony i ostatecznie zrzekłem się wszelkiej kontroli nad serialem na rzecz głównego producenta. Biorę na siebie pełną

odpowiedzialność za to, co się stało, i przepraszam wszystkich zaangażowanych w pracę nad *Dziwną parą*.

Pisałem sztukę, nie przestając myśleć o tamtej porażce. Kiedy czuję ten ferment, to wylewające się wszystkimi porami zażenowanie, zwykle sięgam po prochy, aby stłumić negatywne emocje i odnaleźć ukojenie. Ale wiedziałem, że nie mogę tego zrobić, bo jestem trzeźwy. Musiałem znaleźć inny sposób. Pisałem przez dziesięć dni bez przerwy, po dziesięć godzin dziennie, aż wreszcie ukończyłem tekst. Dałem go do przeczytania kilku osobom i powiedziały, że jest naprawdę niezły. Zatytułowałem tę sztukę *The End of Longing* (Koniec tęsknoty). Spłodziłem ją w dziesięć dni, cyzelowałem – rok.

Inspirowałem się, choć należałoby raczej powiedzieć: mierzyłem się z *Sexual Perversity in Chicago* (Seksualne zepsucie w Chicago) Davida Mameta i byłem zadowolony z tego, co udało mi się stworzyć. W każdej chwili mógłbym postawić swoją sztukę obok tego wspaniałego dzieła. Starając się opisać „Hollywood Reporterowi”, co chciałem osiągnąć, ująłem rzecz tak: „Mówi się, że ludzie się nie zmieniają, ale ja widzę, że robią to każdego dnia. Zależało mi, żeby to pokazać i przy okazji kogoś rozśmieszyć”. Bohaterami *The End of Longing* są cztery osoby, które poznają się w barze i tam też próbują odnaleźć miłość. Opowieść rozpoczyna moja postać, Jack, egocentryk i alkoholik, a potem jest już tylko gorzej.

Nie byłbym sobą, gdybym się ograniczył do napisania sztuki – uznałem, że musi zostać wystawiona i oczywiście muszę w niej zagrać. Kilka miesięcy później zadebiutowała w słynnym londyńskim zagłębiu teatralnym na West Endzie. Bardzo mi się spodobało to, że jako autor tekstu jednocześnie wcieliłem się w główną rolę, bo dzięki temu mogłem na bieżąco zmieniać to, co kiepsko brzmiało na deskach. I choć wiedziałem, z jaką niechęcią będę każdego wieczoru odgrywał wielką scenę pijaństwa – pokusa będzie naprawdę wielka – to jednak zdawałem sobie sprawę, że muszę pokazać, jak nisko może upaść człowiek.

Premiera odbyła się w teatrze Playhouse z widownią na osiemset miejsc i szybko zaczęło brakować biletów, spektakle wyprzedawały się w ekspresowym tempie, ale sztuka zbierała kiepskie recenzje: na siedem dużych omówień pochwalono nas tylko w jednym. Londyńskim krytykom nie spодobało się, że hollywoodzki aktorzyzna zjechał do ich kraju i chce robić teatr. Nie zmienia to faktu, że *The End of Longing* odniósł sukces. Byłem dramaturgim i dobrze się z tym czułem.

Na moją sztukę waliły tłumy, ale jedna osoba za nic nie chciała przyjść, pomimo usilnych próśb.

Kobieta, z którą byłem związany przez sześć lat, spotykała się teraz z pewnym Brytyjczykiem i przez pół roku mieszkała w Londynie, a przez pozostałe miesiące w Los Angeles. Po rozstaniu pozostaliśmy przyjaciółmi, kilka razy poszliśmy razem na lunch, wymieniliśmy parę esemesów. Wiedząc, że jest akurat w Londynie, zaprosiłem ją na *The End of Longing*, ale wykręciła się brakiem czasu. „Do zobaczenia w Stanach!” – brzmiała jej odpowiedź. Odpisałem, że czuję się lekko urażony odmową – przecież graliśmy na miejscu, nie musiała się nigdzie wyprawiać – a jakiś czas później dostałem od niej mail z informacją, że wychodzi za mąż i nie przewiduje w swoim życiu miejsca dla przyjaciół.

Nie zareagowałem na ten mail i potem już nigdy więcej ze sobą nie rozmawialiśmy. Uznałem, że postąpiła okrutnie, informując mnie w taki sposób o swojej decyzji; sam nigdy bym czegoś takiego nie zrobił drugiej osobie, ale cóż. Tak czy inaczej, zawsze będę stał po jej stronie. Cieszę się, że wyszła za mąż i jest szczęśliwa. Zawsze i wszędzie pragnę dla niej tylko tego, co najlepsze.

Z Londynu sztuka przeniosła się do Nowego Jorku i tam już nie było tak dobrze. Przede wszystkim musiałem złagodzić jej ton – Brytyjczykom soczysty język nie przeszkadza, ale Broadway to Broadway i niektóre fragmenty należało rozwodnić, zresztą chodziło nie tylko o bluzgi: pod nóż

poszło również kilka dowcipów. W efekcie Nowy Jork odebrał *The End of Longing* chłodno. Recenzent „New York Timesa” skrytykował przedstawienie, podsumowując je słowem „syntetyczne”, cokolwiek to miało znaczyć. Na wszystkich nowojorskich spektaklach razem wziętych zarobiłem sześćset dolarów – to nie pomyłka, naprawdę tylko tyle – podczas gdy z Londynu przywiozłem tysiąc razy więcej, niemal co do funta i pensa. Dobrze, że choć ze strony „Hollywood Reporter’a” padły jakieś miłe słowa: „Perry przynajmniej udowadnia, że lata gromadzenia doświadczenia w komedii telewizyjnej nie poszły na marne. W sztuce pada mnóstwo zabawnych powiedzonek, większość, jak łatwo się domyślić, z ust samego autora (...). Perry popisuje się typowym dla siebie znakomitym komediowym wyczuciem rytmu i czasu”. To „przynajmniej” było dosyć miażdżące. Uświadomiłem sobie, że *The End of Longing* nie zdobędzie wystarczającej sympatii, by ugruntować moją przyszłość w roli obiecującego następcy Davida Mameta. Ale jeszcze nie wszystko stracone!

Interludium. Obóz traumy

Tak, istnieje coś takiego jak obóz traumy. Tak, brałem w nim udział. I tak, zmyśliłem tę nazwę.

To było na Florydzie, bo gdzież by indziej? Spędziłem na obozie trzy miesiące, każdego dnia powracałem do urazów psychicznych, które w sobie nosiłem, i przeżywałem je od nowa. Robiłem to podczas sesji grupowych. Inni reagowali przebudzeniem własnych traum, aż wszyscy mdleliśmy, wymiotowaliśmy i zaczynaliśmy się trząść. Któregoś razu poproszono mnie, bym spróbował oddać wszystkie swoje urazy jako rysunki przedstawiające ludziki z kresek, a następnie zaprezentował je pozostałym i omówił. Kiedy wskazywałem jedną z ilustracji, nagle zauważyłem, że drżą mi palce. Za chwilę dołączyła do nich ręka, a potem całe ciało. Trząłem się praktycznie bez przerwy przez trzydzieści sześć dni. Czułem się jak koza po bliskim spotkaniu z niedźwiedziem – miś już sobie poszedł, ale ona wciąż nie potrafiła opanować dygotu.

Pod koniec terapii traumy, kiedy już powróciłeś do dawnych urazów i przeżyłeś je na nowo, terapeuta powinien cię na powrót „zamknąć” – chodzi o to, żeby wszystko poczuć, a następnie uwolnić to z siebie, zmienić tę wypełniającą duszę żywą rzecz w opowieść, tak by straciła całą władzę nad tobą.

Powinno się wtedy rozpłakać.

Nie zamknięto mnie zgodnie ze sztuką. Nie płakałem. Bo się bałem. Czułem się, jakbym znów był na scenie. Bycie sławną osobą na odwyku nie wygląda tak, jak się może wydawać. Tutaj każdy nosi własny ciężar, tu nikogo nie obchodzi, że jesteś Matthew Perrym. Jakiś czas później trafiłem do ośrodka w Pensylwanii, gdzie w mojej grupie było sześć osób, wszystkie po siedemdziesiątce, w tym Debbie alias zmora mojego życia. Oprócz mnie

tylko ona paliła, dlatego bez przerwy spotykaliśmy się przed budynkiem. Niestety Debbie zupełnie nie miała pamięci.

– Czekaj, my się znamy? – pytała.

– Nie, Debbie, nie znamy się. Ale kiedyś grałem w *Przyjaciołach* i pewnie stąd mnie kojarzysz.

– A! Lubię ten serial – mawiała.

Pięć minut później, niespiesznie ćmiąc papierosa, łypała na mnie i odzywała się:

– Chodziliśmy razem do liceum?

– Nie, Debbie, nie chodziliśmy – odpowiadałem najłagodniej, jak potrafiłem. – Jesteś ode mnie dwadzieścia siedem lat starsza. Prawdopodobnie kojarzysz mnie z *Przyjaciół*...

– A! Lubię ten serial – powtarzała i wracaliśmy do punktu wyjścia.

Rozdział 9. Do tanga nie trzeba trojga

Kiedy mężczyzna lub kobieta prosi mnie o pomoc w rzuceniu picia, a ja się tego podejmę, po czym widzę, jak stopniowo jej czy jego oczy odzyskują blask, czuję obecność Boga. Chociaż mam swoją osobistą relację z Bogiem i przeważnie odczuwam – mimo wszystko – wdzięczność, to nieraz mam ochotę Mu powiedzieć, żeby spieprzał, bo sprawił, że moja droga okazała się tak ciężka.

Kiedy jestem czysty i trzeźwy, to tak jakby ukazało mi się światło, którym mogę potem się dzielić ze zrozpaczonym człowiekiem potrzebującym pomocy w odejściu od picia. To jest to samo światło, które pada na ocean w pełnym słońcu, piękne, złote migotanie fal. Oto, czym jest dla mnie Bóg. (To samo dzieje się też nocą, kiedy na morze pada poświata księżycowa – ten widok zwała mnie z nóg. Podobnie czuł pięcioletni Matthew, gdy przeleciał sam cały kontynent i zobaczył światła Los Angeles, wiedząc, że zaraz spotka ojca... tak, to to samo uczucie).

Dlaczego tak ciężko mi pozostać trzeźwym, skoro widzę, jak łatwo przychodzi to moim bliźnim? Dlaczego moja droga została usiana takimi trudnościami? Dlaczego tak ciężko mocowałem się z życiem? Dlaczego trzeba dopiero nauczyć się smakować rzeczywistość i dlaczego przyszło mi to z takim trudem? Kiedy jednak pomagam jakiejś osobie osiągnąć trzeźwość czy wtedy, kiedy wspieram tysiące ludzi w trakcie weekendowych warsztatów czy konferencji, wszystkie te pytania się rozplývają. Tak jakbym stał pod hawajskim wodospadem, przemoknięty do cna cudowną ciepłą wodą. To w tym jest Bóg. Musicie mi w tym po prostu zaufać.

Nie jestem święty – nikt z nas nie jest – ale kiedy było się raz na progu śmierci i się nie umarło, wydaje się, że człowieka ogarniają wtedy ulga i wdzięczność. Ale wcale tak nie jest. Patrzysz wtedy na trudną drogę, jaka

cię czeka, byś stał się lepszy, i się wkurzasz. Dzieje się jeszcze coś innego. Dręczy cię pytanie: „Dlaczego zostałem oszczędzony?”. Cztery pozostałe osoby podłączone do ECMO jednak zmarły. Musiał być jakiś powód.

Część odpowiedzi stanowi dla mnie tych dziesięć tysięcy godzin doświadczenia w AA oraz pomaganie innym w drodze do trzeźwości. To mnie ożywia, udziela mi się wtedy nieco tego złotego światła z mojej kuchni.

Ale musi być coś jeszcze, Panie Boże. Dlaczego oszczędziłeś akurat mnie? Jestem gotów, wskaż tylko kierunek, a tam pójdę. Kiedy Woody Allen zadaje to samo pytanie przybyszowi z obcej planety w filmie *Wspomnienia z gwiazdowego pyłu*, ten mówi: „Opowiadaj śmieszniejsze dowcipy”. Ale w moim przypadku nie może o to chodzić.

Tak czy owak jestem gotowy. Każdego dnia poszukuję odpowiedzi. Jestem poszukujący. Szukam Boga.

Moje życie miłosne to jednak osobna opowieść. Popełniłem więcej błędów w sprawach miłosnych niż Elizabeth Taylor. Jestem romantyczny i namiętny. Tęskniłem za miłością. Nie umiem w pełni wyjaśnić tego pragnienia we mnie.

Kiedy przekroczyłem czterdziestkę, reguły się zmieniły. Spałem już z tyloma osobami, z iloma należało, teraz zaś szukałem partnerki, kogoś, z kim mógłbym stworzyć ekipę, dzielić życie. Poza tym zawsze kochałem dzieci. A to dlatego, jak sądzę, że miałem dziesięć lat, kiedy urodziła się moja siostra Caitlin. Potem pojawili się Emily, Will i wreszcie Madeline. Uwielbiałem się z nimi bawić. Nie ma cudowniejszego dźwięku na tej planecie niż śmiech dziecka.

Tak więc kiedy już miałem dobre czterdzieści parę lat, głęboko zapragnąłem być z kobietą, na którą mógłbym liczyć, a ona mogłaby liczyć na mnie. Pewnego wieczoru świętowaliśmy z przyjaciółmi kolejny rok mojej trzeźwości. Mój wciąż dobry przyjaciel David Pressman przedstawił

mi siostrę swojej narzeczonej, Laure. Poszliśmy wszyscy na mecz Dodgersów, ale dla mnie nie istniał żaden mecz, żaden stadion, żadni sprzedawcy hot dogów. Cały świat skurczył się do pięknej twarzy pod daszkiem bejsbolówki. Próbowałem zagrać wypróbowanym urokiem Perry'ego, zrobić cokolwiek, by mnie zauważyła. Nie robiło na niej wrażenia, że grałem Chandlera. Choć była dla mnie całkiem miła, wyczułem, że nic nie zaiskrzyło.

Jadąc tego wieczoru do domu, napominałem sam siebie:

– No jasne, jesteś zawiedziony, Matty, ale nie każda dziewczyna cię polubi.

Odpuściłem sobie, ale jej nie zapomniałem. Byłem pewien, że nasze ścieżki jeszcze się skrzyżują. I faktycznie się skrzyżowały.

Tym razem nasza grupa postanowiła zagrać w ping-ponga w hotelu Standard w centrum LA. Żaden ze mnie Forrest Gump, ale wiedziałem, jak się zachować przy stole pingpongowym. Jeśli widzieliście końcówkę dziewiątego sezonu *Przyjaciół*, wiecie, że jestem przynajmniej na tyle dobry, żeby pokonać Paula Rudda. Dowiedziałem się, że być może zjawi się Laura, więc grałem, ciągle zerkając na drzwi.

Wreszcie przyszła. To było tak, jakby do sali wdmuchnęło ją tornado. Kipiła energią i dowcipem.

– Każdy z tu obecnych powinien się zabić – powiedziała i BUM! to było, jakbym dostał w twarz cegłówką. Ale tym razem byłem gotów. Zaczął się wieczór przypominający walkę na noże, tyle że prowadzoną ostrymi dowcipami. Okazało się, że nowy przedmiot moich westchnień uprawia stand-up i pisze scenariusze dla telewizji. Od pierwszej chwili było jasne, że nigdy nie skończą nam się tematy do rozmowy.

Pierwszą randkę mieliśmy w sylwestra. Kolega urządzał pizama party, a ja poprosiłem Laure, żeby poszła ze mną. Potem nasza relacja powoli się rozwijała. Ona była ostrożna, a ja z kolei gotów na wszystko, co konieczne.

Nasze przywiązanie się pogłębiało. Wszystko szło coraz lepiej... ale pamiętacie, że w moim świecie nic nie idzie całkiem dobrze, prawda?

Oto na scenę wkracza Rome. Byłem trzeźwy już od dwóch lat, aktywny w AA, zdrowy, wspierałem innych w trzeźwości, pisałem dla telewizji. Byłem szczęśliwy, śmiem twierdzić, że nawet dobrze zbudowany (chodziłem na siłownię i w ogóle). Poproszono mnie, bym opowiedział swoją historię podczas mityngu AA w West Hollywood. Prośby od AA się nie odrzuca. Sala była pełna, ludzie stali ciasno stłoczeni (chyba rozeszła się wieść, że wystąpię). Historia mojego życia nie osiągnęła jeszcze tak głębokiego dna, jak w ostatnich latach, więc kiedy opowiadałem ze szczegółami, przez co przeszedłem, byłem w stanie czasem wywołać salwy śmiechu. W pewnej chwili spojrzałem w stronę kuchni i zauważyłem, jak jakaś kobieta wychyla głowę przez okienko, podpierając się na łokciach. Przypominała wspaniałą porcelanową lalkę i była olśniewająco piękna. Nagle w sali były już tylko dwie osoby. Moje wyznania anonimowego alkoholika kierowałem już tylko ku Rome. To było jedno z najlepszych wyznań, z jakim kiedykolwiek wystąpiłem, bo ta epicka piękność tak mną zawładnęła, że chciałem, by wiedziała o mnie wszystko. Chciałem, żeby wiedziała wszystko.

Po wszystkim, kiedyśmy wyszli na zewnątrz na papierosa, zaczęliśmy flirtować.

– I co teraz będziesz robić? – zapytała.

– Jadę do domu, żeby pisać. Nagle stałem się scenarzystą – odparłem.

– Dobra, umiem być świetną muzą – powiedziała.

– Nie wątpię – odparłem i odszedłem, totalnie zaskoczony przez tę tajemniczą postać.

Po drodze do domu napominałem sam siebie: A co z Laurą? Tak, z tą cudowną Laurą, która podoba mi się coraz bardziej z każdym dniem. Ale teraz zjawia się Rome. I co z tym fantem zrobić? Najlepiej będzie zapomnieć o Rome i iść coraz głębiej w związek z Laurą, który się tak

dobrze rozwija. Prawda? Tak zrobiłby normalny człowiek w tych okolicznościach.

Ale Rome rzuciła na mnie urok.

Pomimo całej pozytywnej autonarracji, to właśnie wtedy popełniłem kluczowy, śmiertelny błąd. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to błąd, ale czy ktoś z nas jest od razu świadom, że błędzi? Gdybyśmy wiedzieli, może byśmy tego unikali.

Oto jaki był to błąd, i to z tych grubych: zacząłem kręcić z dwiema kobietami naraz.

Nie polecałbym tego nikomu, w żadnej sytuacji, ale szczególnie, jeśli ktoś jest mną.

Tłumaczyłem sobie, że skoro nie powiedziałem ani Laurze, ani Rome, że jesteśmy w związku, to nie jestem dupkiem. Ale coś we mnie dobrze wiedziało, że postępuję paskudnie, bo zależało mi na każdej z nich i pomimo zewnętrznych pozorów naprawdę nie chciałem, żeby komukolwiek stała się krzywda, w tym także mnie. Tak więc szliśmy z Laurą na mecz Kingsów, było dużo śmiechu i zabawy, choć raczej niewinnej. Zaloty w obu przypadkach szły wolno, ale w końcu obie zniosły swoje blokady seksualne i byłem w pełni zaangażowany z dwiema kobietami naraz. To było zdumiewające, niepojęte, można było od tego oszaleć.

Czy wspominałem już o tym, że się szaleńczo w każdej zakochałem? Nie wiedziałem, że to w ogóle możliwe. Grzebałem trochę w internecie, z paru artykułów dowiedziałem się, że to się zdarza. Zgodnie z tym, co czytałem, moje uczucia do obu kobiet były realne. W końcu Laura i ja ogłosiliśmy się oficjalnie parą. Z Rome tak się nie stało, ale wciąż byłem w kropce.

Co dalej? Podobało mi się bycie z każdą z nich, i to na równi. Kochałem je obie. Tak to trwało z sześć miesięcy, aż oprzytomniałem i zdecydowałem, że muszę wybrać. Musiałem zastopować ten absurd i wybrać jedną. Rome była namiętna, pełna erotyzmu, zabawna, bystra, ale

też fascynowała ją śmierć i nie wiedziałem, jak na to zareagować. Z Laurą rozmawialiśmy o filmach i innych, weselszych rzeczach. Przy niej czułem się jak w domu, czego nie mogłem powiedzieć o Rome.

Wybrałem Laureę.

Zadzwoiłem do Rome, żeby przeprowadzić tę ciężką rozmowę. Z początku reagowała lodowato, aż wreszcie zaczęła na mnie wrzeszczeć i wydzierała się tak przez dwie godziny, siedząc na parkingu Barney's Beanery przy Santa Monica Boulevard, podczas gdy próbowałem jakoś załagodzić sprawę. Z trudem udałooby się wam znaleźć kogoś bardziej wściekłego niż ona wtedy.

Ale już mnie znacie: wiecie, że nie umiem być blisko i coraz bliżej z kimś – a to się właśnie działo z Laurą. Powoli zagnieździł się we mnie lęk. Zerwanie z Laurą byłoby szaleństwem; miała wszystko, czego trzeba. Mieliśmy wszystko. Byliśmy dla siebie nawzajem najlepszymi przyjaciółmi. Lecz ta bliskość mnie przerażała. Znów byłem przekonany, że jeśli pozna mnie jeszcze lepiej, zrozumie to samo, co sam o sobie sędzę: nie jestem dość dobry, nie liczę się. Wkrótce sama się o tym przekona i mnie zostawi. A to by mnie unicestwiło i nigdy bym się już nie pozbierał.

Było też inne wyjście: pozostać w związku, ale wrócić do prochów, brać je w niewielkiej ilości. To by mogło mnie uchronić przed lękiem, pozwoliłoby obalić bariery ochronne wokół mnie, mógłbym wtedy jeszcze bardziej się do niej zbliżyć.

Leki i narkotyki zawsze prowadziły mnie do chaosu. Ale w niepojęty sposób zdecydowałem się znów to zrobić, żeby poradzić sobie z sytuacją z Laurą. Zacząłem brać jedną pigułkę dziennie tylko po to, żeby wytrwać w związku. Z początku świetnie się to sprawdzało, ale jak to zwykle z prochami – one zawsze zwyciężają. Sześć miesięcy później tkwiliśmy już po uszy w gównoburzy. Byłem kompletnie rozbity. Laura ze mną zerwała, znowu musiałem łykać suboxone i przenieść się do domu trzeźwości. Znów

się bałem, że umrę. Rome wrzeszczała na mnie przy każdej okazji, Laura cierpiała, martwiła się, a poza tym odeszła.

W tych artykułach o kochaniu dwóch osób naraz pisali jeszcze coś: że to się zawsze kończy w ten sam sposób – tracisz obie.

Tak więc mieszkałem w domu trzeźwości w Malibu i brałem osiem miligramów suboxone'u dziennie. Choć, jak już powtarzałem, to porządny, a nawet najlepszy lek odtruwający, to z drugiej strony też najtrudniej go potem odstawić. Znalazłem się przez to na skraju samobójstwa. A ściślej – miałem nastroje samobójcze, zarazem jednak wiedziałem, że to przez lek, więc nie byłem faktycznie bliski samobójstwa; mam nadzieję, że to dla was jasne. Trzeba było tylko jakoś przetrwać dni, kiedy nachodziły mnie myśli samobójcze, ale nie musiałem nic więcej z tym robić. Wiedziałem, że w pewnej chwili poczuję się lepiej i nie będę chciał się zabić.

Proces odstawiania suboxone'u polega na tym, że redukujeś dawkę o jeden miligram tygodniowo, aż dojdiesz do zera. Po każdej redukcji przez dwa dni czujesz się chory aż do granicy obłądu, potem się przyzwyczajasz do nowej dawki – w tym wypadku do siedmiu miligramów. I kiedy już wszystko się ustabilizuje, znowu zmniejszasz. Nastroje samobójcze pojawiają się dopiero przy dwóch miligramach.

Tak więc gdy zszedłem do dwóch miligramów, zrobiłem chyba coś najbardziej egoistycznego w swoim życiu. Przeraziła mnie świadomość, jak będę się wkrótce czuł, i nie chciałem przez to przechodzić sam. W związku z tym kupiłem kwiaty za trzysta dolarów i pojechałem do domu Laury, błagać ją, żeby przyjęła mnie z powrotem. Siedzieliśmy na kanapie w jej salonie i dyskutowaliśmy, jak by to miało wyglądać. Ogarnięty bez reszty przez strach oświadczyłem, że chcę się z nią ożenić, a może nawet mieć dziecko.

I wtedy zdarzyło się coś niemożliwego. Siedzieliśmy tak sobie i naraz usłyszałem klucz powoli obracający się w zamku frontowych drzwi... a potem weszła Rome.

Weszła... kto?

Jak to możliwe, że obie te kobiety przebywały w tym samym pokoju? Dałbym wszystko za podróż wehikułem czasu, żeby cofnąć się do tamtej chwili i zaproponować: „No to może trójkącik?”. Ale to nie był moment na żarty. Zbierałem szczękę z podłogi.

– To ja może podleję rośliny – powiedziała Rome i wycofała się w stronę tylnej klatki schodowej.

– Muszę się nią zaopiekować – rzekła Laura i zostawiła mnie samego w salonie. Kiedy zrozumiałem, że nie zamierza wrócić, zabrałem z powrotem swoje dwumiligramowe uzależnienie do Malibu.

Okazało się, że Rome i Laura spotkały się na mityngu AA, zorientowały się, kim są, i szybko się zaprzyjaźniły. Większość ich rozmów, co pewnie sobie wyobrażacie, dotyczyła tego, jaki ze mnie dupek.

Jeśli zaś chodzi o mnie, to nie mogłem zostać w Los Angeles, więc prywatnym samolotem przeskoczyłem do ośrodka rehabilitacyjnego w Kolorado. Tam powiedzieli, że pomogą mi odstawić suboxone bez nastrojów samobójczych.

No cóż, pięknie to brzmiało, ale czułem się bliski samobójstwa przez trzydzieści sześć dni z rzędu. Potem poleciałem do Nowego Jorku i pojawiłem się w programie Lettermana, gdzie próbowałem ukryć to, że jestem z grubsza poskładany do kupy taśmą klejącą.

W jakiś sposób dałem radę.

Siedem lat później, po tym, jak wiele się o sobie nauczyłem, naprawiłem szkody, które wyrządziłem Rome i Laurze. Obie przyjęły moje przeprosiny. Możecie mi nie wierzyć, ale nadal pozostajemy przyjaciółmi. Laura wyszła za miłego faceta o imieniu Jordan, Rome żyje z równie miłym gościem – Erikiem.

Ostatnio cała nasza piątka jadła kolację w moim domu i świetnie się bawiliśmy. Około dziesiątej obie pary odjechały swoimi samochodami.

Słyszałem, jak szum silników powoli cichnie w kanionie wiodącym w stronę miasta.

Zostałem na zewnątrz, czekałem, aż coś przyjdzie, cokolwiek, co może polepszyć moją sytuację. Tymczasem znów usłyszałem głosy kojotów.

Nie, to był odgłos mnie samego, samotnie odganiającego demony przez kolejną noc. Wygrały. Wiedziałem już, że przegrałem, gdy szedłem do mojej samotniczej sypialni, żeby je gonić i po raz kolejny wynegocjować możliwość snu.

Interludium. Przemoc w Hollywood

Nie jestem człowiekiem skłonny do przemocy, ale byłem raz w życiu zarówno jej ofiarą, jak i sprawcą.

Lata temu, tuż po tym, jak Cameron Diaz rozstała się z Justinem Timberlakiem, umówiłem się z nią na randkę. W tamtym czasie dużo ćwiczyłem i miałem mocno umięśnione ramiona. Przygotowałem się solidnie do randki – poszedłem na długi spacer z podwiniętymi rękawami, żeby bicepsy odpowiednio się opaliły (dobra rada: to sprawia, że wyglądają na jeszcze większe). Tak, dosłownie opaliłem sobie ramiona na tę randkę.

Spotkanie odbyło się podczas wieczornego przyjęcia z udziałem jeszcze innych osób. Jak tylko Cameron mnie zobaczyła, prawie natychmiast się upaliła – było jasne, że wcale się mną nie zainteresowała. Przyjęcie toczyło się jednak dalej, w pewnym momencie zagraliśmy w grę, chyba w pictionary. Kiedy przyszła kolej na Cameron, żeby coś narysować, powiedziałem jej coś dowcipnego, na co ona odrzekła: „Daj spokój”, i szturchnęła mnie w ramię.

Przynajmniej taki miała zamiar. Ale chybiła celu i trafiła pięścią w bok mojej twarzy.

– Co ty odpierdalasz?! – zareagowałem w szoku, że Cameron Diaz strzeliła mnie w pysk i moje bicepsy w niczym mi nie pomogły.

To było z piętnaście lat temu. Ale pewnie do mnie zadzwoni, jak sądzicie?

A potem zdarzył się ten drugi raz.

W 2004 roku poleciałem na Florydę do akademii tenisowej Chrisa Everta, żeby wziąć udział w turnieju charytatywnym. Lista uczestników to było prawdziwe hollywoodzkie *who's who*. Mnie jednak głównie interesował Chevy Chase.

Od dawna był moim bohaterem. Jego gra w filmie *Fletch* zmieniła moje życie na zawsze. Pewnego zimnego wieczoru w LA poszedłem z najlepszym wówczas kumplem Mattem Ondre na pokaz przedpremierowy i w pewnym momencie dosłownie turlaliśmy się ze śmiechu między rzędami. Chevy miał ze trzysta dowcipów w tym filmie i każdy z nich rozegrał perfekcyjnie. Pamiętam bardzo wyraźnie, że potem, kiedy czekaliśmy na przystanku na autobus powrotny, odwróciłem się do Matta i z całą powagą powiedziałem:

– Będę mówił w ten sposób do końca życia.

I tak się stało. Z tego powodu cała ta historia, którą za chwilę opowiem, stała się tak bolesna i dla Chevy’ego, i dla mnie.

Chyba jednak bardziej dla Chevy’ego.

Tak czy siak, podczas balu charytatywnego w wieczór poprzedzający turniej Chevy podszedł do mnie i powiedział:

– Chciałem tylko, żebyś wiedział, że jestem twoim wielkim fanem.

Nie do wiary!

– Mój Boże, wszystko, co robię, podkradam od ciebie – odpowiedziałem.

I tak sobie dalej prawiliśmy komplementy w trakcie miłej konwersacji.

Następnego dnia przyszła pora na tenisa.

W owym czasie marny był ze mnie zawodnik. Nie grałem od lat i moje uderzenia wymagały solidnego dopracowania. Miałem za to wyjątkowo ostry serwis – na turnieju mieli licznik i obliczyli, że posyłałem piłki z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Jedynym problemem było to, że nie miałem pewności, dokąd lecą. Na publicznym korcie w zwyczajny dzień nie stanowiło to żadnego problemu, ale sytuacja zmienia się diametralnie, kiedy z trybun patrzy na ciebie dwa tysiące ludzi, w tym były prezydent Bush senior.

Zaczyna się mecz, serwuję jako pierwszy. Mam partnera w lewej części kortu, po drugiej stronie stoi Chevy, też w lewej części przy siatce, a jego partner na linii końcowej i to do niego bezpośrednio powinienem

zaserwować. Podrzucam piłkę, odchylam rakieta, grzmoce jak najmocniej potrafię i patrzę z przerażeniem, że piłka, zamiast lecieć w stronę partnera Chevy'ego, leci prosto na niego. A on stoi na linii serwisowej, dokładnie osiemnaście metrów od miejsca, skąd posłałem piłkę. To przypadkowo taka sama odległość jak z górki miotacza do bazy domowej w baseballu, więc mogę z całkowitą pewnością powiedzieć wam, że jeśli nadałem piłce prędkość około stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, to znaczy, że leciała mniej więcej czterdzieści pięć metrów na sekundę, czyli pan Chase miał czterysta dwanaście tysięcznych sekundy, by się usunąć z toru jej lotu.

Pan Chase się nie usunął.

A ściślej, nie usunęły się jego jądra – wykonałem więc coś w sumie bliskiego profesjonalnemu serwisowi z pełną prędkością prosto w jego klejnoty rodowe, jeśli wiecie, co mam na myśli.

A oto, co wydarzyło się dalej: Chevy zrobił śmieszny minę – taką jak w filmie *Fletch*, kiedy lekarz bada mu prostatę – a następnie upadł na ziemię. (Pamiętajcie, że to wszystko działo się na oczach dwóch tysięcy osób).

Przerwano mecz, aż czterech pielęgniarzy musiało wbiec na kort, przytroczyć go do noszy i odtransportować do najbliższego szpitala.

Jeśli takie właśnie rzeczy robię swoim bohaterom, niech lepiej Michael Keaton i Steve Martin mają się na baczności.

W ten oto sposób kończy się część książki poświęcona przemocy.

Rozdział 10. Coś straszego

Wyobraź to sobie: musisz iść na plan, gdzie prawie dosłownie srałeś w łóżko przez parę poprzednich tygodni. Urywał ci się film, kwestie się plątały, podejmowałeś złe decyzje. Jesteś w Nowym Jorku i choć masz nie jednego, ale aż dwóch towarzyszy trzeźwienia, to dzwonisz do recepcji w hotelu, głos ci drży od detoksu, gdy mówisz: „Proszę wstawić butelkę wódki do wanny w moim pokoju. Tak, do wanny. Proszę ją tam ukryć”.

I kiedy już masz dzień z głowy, wracasz do tego pierdolonego pokoju i wypijasz wódkę. Wreszcie czujesz się w porządku – przez jakieś trzy godziny, a potem musisz powtórzyć to samo następnego dnia.

Cały się trzęsiesz, kiedy z kimś rozmawiasz; udajesz, że nie jesteś w poważnych tarapatach. Tym samym drżącym głosem dzwonisz do recepcji i prosisz, żeby znów zrobili ten sam manewr z wódką w wannie.

Zapewne „normalsi” – my, uzależnieni tak nazywamy was, szczęściarzy niealkoholików – mogą mieć kłopot, żeby to zrozumieć. Postaram się jednak to wytłumaczyć. Kiedy wypijesz całą butelkę wódki, następnego dnia koszmarnie się czujesz. Parę drinków z rana pomaga, ale grałem główną rolę w dużej produkcji filmowej, więc nie mogłem rano pić. Jest ci źle, masz drgawki, czujesz, jakby całe twoje wnętrzości chciały wypłynąć z ciała. I tak przez cały dzień, czternaście godzin.

Jedyny sposób, żeby się lepiej poczuć, to wypić tyle samo albo nawet więcej kolejnego wieczora.

– No to po prostu nie pij – poradzi normals.

My, alkoholicy, czujemy, że dosłownie zwariujemy, jeśli nie będziemy pić. Nie wspominając o tym, że alkoholik będzie jeszcze bardziej chory i będzie wyglądał jeszcze gorzej, jeśli nie wypije tej butelki.

– A co z filmem?

Nieważne. Muszę pić.

– A może zrobić sobie jeden wieczór przerwy?

Niemożliwe. Poproszę następne pytanie.

Tak więc jestem w Dallas, biorę metadon, kokainę i xanax, i wypijam ćwiartkę wódki dziennie. Codziennie zjawiam się w studiu, zdycham na krzesło, budzę się, żeby zagrać scenę, chwiejnym krokiem idę na plan, a potem zasadniczo drę się do kamery przez dwie minuty. A potem z powrotem na krzesło, żeby dalej spać.

W tamtym okresie życia byłem jednym z najślawniejszych ludzi na świecie. Płomień sławy spalał mnie do białości. Nikt więc nie śmiał zwrócić mi uwagi na koszarne zachowanie. Ekipa chciała tylko zakończyć zdjęcia, wydrukować moje nazwisko na plakatach i zainkasować sześćdziesiąt milionów dolarów. A *Przyjaciele*? Tam było jeszcze gorzej, nikt nie chciał majstrować przy tej maszynie do zarabiania pieniędzy.

W pewnej chwili, podczas zdjęć do *Kto pierwszy, ten lepszy*, pomyślałem, żeby może wspomóc się valium. Do apartamentu hotelowego przyszedł lekarz, żeby mi je podać. Tego wieczoru, zanim się zjawił, wypilem dużą flaszkę wódki, taką z uszkiem. Kiedy lekarz rozejrzał się po pokoju, zobaczył butelkę i zapytał nerwowym głosem:

– Czy pan to wszystko wypił?

– Tak – odpowiedziałem. – Czy mogę brać valium co cztery godziny, a nie co sześć?

Na co on odwrócił się na pięcie i zbiegł po kręconych schodach do drzwi, żeby nie przebywać w apartamencie w chwili, kiedy Matthew Perry wyzienie ducha.

Wreszcie, kiedy Jamie Tarses powiedziała mi, że znikam, zgłosiłem się na odwyk. Potem wróciłem dokończyć zdjęcia.

Tak to wyglądało w trakcie kręcenia *Kto pierwszy, ten lepszy*. Byłem w rozsypce. Po powrocie czułem się strasznie winny, przeproszałem każdego, chciałem wierzyć, że podczas ostatnich trzynastu dni zdjęciowych wykonałem świetną robotę. Wszyscy starali się być mili, ale

w rzeczywistości byli wkurzeni. Wkurzony był reżyser, bo zrujnowałem mu film. Wkurzona była też Elizabeth Hurley, która grała drugą główną rolę.

Musiałem to wszystko naprawić – tego między innymi uczą cię w AA. Tak więc zasiadłem w studiu dźwiękowym i przez wiele dni nagrywałem jeszcze raz wszystkie wybełkotane wcześniej partie dialogowe, do całego filmu. Trzy piknięcia w słuchawkach i wypowiadałem słowa dopasowane do ruchu ust. Jestem w tym dobry i ostatecznie udało się usunąć bełkot z gotowego filmu. Potem zobowiązałem się zaangażować w największą akcję promocyjną w dziejach prasy; dawałem z siebie maksimum, żeby się udało. Byłem na okładce wszystkiego, co wydrukowano, wystąpiłem w każdym talk-show, jaki mógłby wam przyjść do głowy.

Ale film i tak okazał się klapą. Dostałem trzy i pół miliona dolarów honorarium, a potem zostałem pozwany za tę klęskę, chociaż to wiązało się z moim stanem zdrowia. Przy stole mediacyjnym zderzyłem się z ekipą agentów od ubezpieczeń, więc wypisałem im czek na sześćset pięćdziesiąt tysięcy.

Pamiętam, że myślałem sobie: „Kurczę, nikt mnie na nauczył reguł życia”. Byłem w totalnej rozsypce, samolubny i narcystyczny. Wszystko musiało się kręcić wokół mnie, a do tego miałem całkiem poręczny kompleks niższości, co razem tworzyło niemal śmiertelne kombo. Przejmowałem się tylko sobą, od kiedy miałem dziesięć lat, czyli od tej pamiętnej chwili, gdy rozejrzałem się dookoła siebie i stwierdziłem, że każdy dba tylko o siebie. Musiałem być skupiony na sobie, żeby trzymać się w garści.

W AA nauczą cię, że to nie jest sposób na życie.

W dwunastu krokach AA robisz między innymi swój moralny inwentarz. Podczas czwartego kroku spisujesz listę ludzi, na których jesteś zły i dlaczego. (U mnie to było sześćdziesiąt osiem nazwisk. Sześćdziesiąt osiem!) Potem piszesz, jak to cię dotknęło. I wreszcie czytasz to wszystko komuś – na tym polega krok piąty.

Cały proces – a także troska i miłość cudownego sponsora, któremu to przeczytałem – nauczyły mnie, że nie jestem pępkiem wszechświata. To wielka ulga, kiedy się tego dowiadujesz. Dookoła mnie byli ludzie, którzy mieli swoje potrzeby i troski i byli równie ważni jak ja.

(Jeśli kręcicie głową w tym momencie, to śmiało, nie żałujcie sobie. Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem).

Trzeźwość stała się najważniejszą rzeczą w moim życiu. Nauczyłem się bowiem, że jeśli postawisz cokolwiek przed trzeźwością, gdy tylko zaczniesz pić, stracisz też „cokolwiek”.

Pewnego pięknego wiosennego dnia przeczytałem swoją listę sponsorowi w Towarzystwie Samorealizacji Lake Shrine, cudownym centrum medytacyjnym w Los Angeles. To oaza spokoju posadowiona wysoko na wzgórzu nad Pacyfikiem. Jest tam jezioro, są ogrody, świątynie, a nawet gliniana urna zawierająca nieco prochów Mahatmy Gandhiego – jedyny taki przypadek poza Indiami.

Kiedy skończyłem czytać listę, zorientowaliśmy się, że w ogrodach zaczyna się ślub. Patrzyłem na radość w oczach pary młodej, na członków ich rodzin ubranych w najlepsze stroje, na uśmiechniętego mistrza ceremonii, czekającego, aby wypowiedzieć słowa o tym, że będę z tobą w zdrowiu i chorobie i nie opuszczę cię aż do śmierci. Nigdy nie byłem dla nikogo aż tak długo. Miałem tylko nałóg. To był mój najlepszy i zarazem najgorszy przyjaciel, oprawca i kochanek w jednym. Moje wielkie straszne coś. Ale tamtego dnia, z tym widokiem – zawsze trzeba mieć widoki – i z tymi nowożeńcami oraz prochami Gandhiego w pobliżu, poczułem, jak budzę się do myśli, że jestem tu na świecie nie tylko dla tej strasznej rzeczy. Że mogę pomagać ludziom, kochać ich. Że z powodu tego, jak nisko upadłem, mam coś do opowiedzenia, historię, która może naprawdę komuś pomóc. Pomaganie innym stało się dla mnie odpowiedzią.

Dziewiętnastego lipca 2019 roku na pierwszej stronie „New York Timesa” wydrukowano teksty o Donaldzie Trumpie i aktorce Stormy Daniels, o groźnym pożarze w studiu animacji w Kioto oraz o Portorykańczykach, którzy, jak głosił nagłówek, „mieli już dosyć”.

Nie miałem o tym bladego pojęcia. I nie dowiedziałem się niczego nowego przez kolejne dwa tygodnie: ani że El Chapo dostał dożywocie i trzydzieści lat na dodatkę, ani że jakiś dziewiętnastolatek zastrzelił trzy osoby, a potem siebie podczas Święta Czosnku w Gilroy w Kalifornii. Ani nawet że Boris Johnson został premierem Wielkiej Brytanii.

Kiedy wybudziłem się ze śpiączki, krzyczałem. Była przy mnie matka. Zapytałem, co się stało. Powiedziała, że pękło mi jelito grube.

– To nie do wiary, że jesteś jeszcze żywy. Masz niesamowitą odporność. Jeśli zmienisz parę rzeczy w życiu, to będzie OK. A worek stomijny usuną ci za mniej więcej dziewięć miesięcy – dodała.

Mam worek stomijny? „Supersprawa” – pomyślałem. – „Ależ to kręci dziewczyny”.

Na głos odparłem tylko:

– Wielkie dzięki.

Potem się poddałem i naprawdę nie odzywałem się ani nie ruszałem przez dwa tygodnie. Byłem o krok od śmierci z powodu czegoś, co zrobiłem. Teraz zaś leżałem podłączony do parudziesięciu aparatów, a potem czekała mnie od nowa nauka chodzenia.

Nienawidziłem siebie. Omal sam się nie zabiłem. Wstyd, samotność, żal – tego już było za dużo. Leżałem jak kołek i próbowałem sobie z tym poradzić, ale nie byłem w stanie. Już pozamiatane. Bałem się śmierci, co stało w sprzeczności z tym, co robiłem.

Ale już było po wszystkim. *Matthew Perry Show* odwołany z powodu opioidów.

Czasami byłem w stanie zwrócić uwagę na to, co się dzieje w moim pokoju, ale na nic więcej. Nie brałem w niczym udziału. Najlepsi

przyjaciele, Chris i Brian Murrayowie, wpadali z wizytą. Po jakichś trzech tygodniach przyszła moja przyrodnia siostra Maria.

– Jesteś gotów wysłuchać, co się wydarzyło? – zapytała.

Przytaknąłem (nieznacznie).

– Po tym, jak pękło ci jelito, wsadzili cię pod respirator, do którego narzygałeś. Cała żółć i zakażone płyny przedostały ci się zatem do płuc. Podłączyli cię do ECMO i jakoś to przeżyłeś. Leżałeś w śpiączce przez czternaście dni.

Po tym wszystkim nie odzywałem się do nikogo chyba przez kolejny tydzień, bo zrozumiałem, że oto ziścił się mój najgorszy koszmar – to wszystko zrobiłem sam sobie. Ale był też korzystny aspekt: czternastodniowa śpiączka bardzo ułatwia rzucenie palenia.

Łykałem różne opioidy, potem przestawałem, potem wracałem do nich tak długo, że doprowadziłem się do stanu, którego doświadcza tylko niewielki ułamek ludzkości. Opioidy wywołują zaparcia. Może to brzmi zbyt oględnie, powiem więc dosadnie: byłem tak napakowany gównem, że o mało mnie to nie zabiło.

No i teraz miałem poważny problem z kiszki.

Ostatnią rzecz, jaką powiedziałem Erin, zanim zapadłem w śpiączkę, a zwijałem się wtedy z bólu, tuż przed utratą przytomności, było: „Nie zostawiaj mnie”. Miałem na myśli, żeby nie zostawiała mnie w tamtym momencie. Ale ona, tak jak reszta rodziny i przyjaciół, przyjęła to dosłownie. Przez pięć miesięcy Erin trwała przy mnie co noc.

Często wspominam ten okres i jestem ogromnie wdzięczny, że to wszystko zdarzyło się przed covidem, bo w przeciwnym razie leżałbym w tym pokoju sam całe pięć miesięcy. A tak nie byłem sam ani przez chwilę. To była czysta miłość Boża, wcielona w ludzkiej postaci.

Oboje z mamą staliśmy się ekspertami od sytuacji kryzysowych. Zawsze chciałem jej powiedzieć, że serialik zwany *Przyjaciółmi*, a może też

wszystkie inne seriale i filmy, robiłem tak naprawdę po to, by zyskać jej uwagę. A jednak to właśnie ona jest jedną jedyną osobą, której uwagi nie udało mi się zyskać dzięki *Przyjaciołom*. Wprawdzie parę razy wspomniała o serialu, lecz nigdy nie pękała z dumy z powodu tego, co osiągnął jej syn.

Ale nie sądzę, żeby w ogóle mogła być ze mnie dumna na tyle, żeby zaspokoić moje potrzeby. Jeśli chcecie zwałać winę na rodziców za złe rzeczy, to musicie też przyznać im zasługi za te dobre. Za wszystko, co dobre. Nigdy bym nie mógł zagrać Chandlera, gdyby moja matka nie była moją matką. Nigdy bym nie zarobił osiemdziesięciu milionów, gdyby moja matka nie była moją matką. Bo Chandler był przykrywką dla prawdziwego bólu. Cóż za świetna postać dla sitcomu! Obracać wszystko w żart, żeby nie musieć mówić o niczym realnym – tak zaczynał się Chandler. W pierwszym zarysie serialu miał być „obserwatorem życia innych”. Facetem, który pod koniec sceny wygłaszał dowcip, komentował wydarzenia – kimś w rodzaju błazna z *Króla Leara*, który mówi prawdę tam, gdzie jej nie ma. Ale z biegiem czasu wszyscy tak polubili Chandlera, że przemienił się w bohatera siebie samego. W końcu zastąpił mi to, co naprawdę robiłem w życiu – żenił się, miał dzieci – cóż, nie chcę wchodzić w szczegóły...

Sedno sprawy polega na tym, że porzuciłem moją matkę w wieku piętnastu lat, tak jak ona została porzucona przez mojego ojca. Byłem trudnym do wytrzymania dzieckiem, a i ona sama była dzieckiem. Zawsze się starała i była przy mnie w szpitalu przez pięć miesięcy, po tym jak wyszedłem ze śpiączki.

Kiedy z powodu nadużywania opioidów pęka ci jelito grube, rozsądek nakazuje nie prosić o opioidy, by wyjść z tej sytuacji. Czego ja, oczywiście, nie zrobiłem.

A oni mi je dali.

Byłem w niemożliwej do opanowania depresji i jak zwykle chciałem po prostu lepiej się poczuć. Poza tym dziura w moim brzuchu, wielka jak kula

do kręgli, była solidnym pretekstem, by prosić o leki. Gdybyście tego jeszcze nie rozumieli – znalazłem się o krok od śmierci z powodu opioidów, po czym poprosiłem lekarzy, by rozwiązali mój problem za pomocą... opioidów. Nawet po tej katastrofie nie miałem tego za sobą. Nie nauczyłem się niczego. Wciąż chciałem brać.

Kiedy wyszedłem wreszcie ze szpitala, wyglądałem naprawdę świetnie. Schudłem, ale byłem tak poharatany, że jeszcze przez dziewięć miesięcy nie mogłem przejść zabiegu, który pozwoliłby mi uwolnić się od stomii. Wróciłem zatem do domu i kłamałem wszystkim o tym, jak bardzo mnie boli, żeby dostać środki przeciwbólowe. W rzeczywistości nie czułem bólu, to była bardziej niewygodna niż ból. Ale lekarze wierzyli w moje kłamstwa i dawali mi tony opioidów. Oczywiście znów zacząłem palić.

I tak właśnie sobie żyłem.

Nie zapominajmy, że worek stomijny ciągle pękał – co najmniej pięćdziesiąt razy – zalewając mnie gównem.

Drodzy producenci worków stomijnych, wy pieprzeni idioci: zróbcież wreszcie taki, który nie będzie się rozrywał. Rozśmieszałem was, kiedyście oglądali *Przyjaciół*? No to nie zalewajcie mi gęby gównem.

Kiedy człowiek uzależniony bierze pigułkę, czuje euforię. Jednak po krótkim czasie pigułka nie daje już euforii, bo następuje wzrost tolerancji. Ale człowiek uzależniony dalej chce czuć euforię, więc bierze dwa prochy, żeby poczuć to, co kiedyś osiągał po jednym.

Potem nawet dwa to za mało, więc przechodzi na trzy.

W przeszłości grałem w tę gierkę, aż dochodziłem do pięćdziesięciu pigułek dziennie. (Obejrzyjcie drugą połowę trzeciego sezonu *Przyjaciół*. Byłem osłabiony, wychudzony i zdechły. To było dobrze widać, ale nikt nic nie mówił).

Szpital UCLA dawał mi opioidy na symulowany ból brzucha, ale potrzebowałem ich znacznie więcej, więc dzwoniłem do dilerów narkotyków. Siedziałem na czterdziestym piętrze wieżowca w Century City, co

oznaczało, że musiałem znaleźć sposób, żeby zjechać czterdzieści pięter w dół, wręczyć dilerowi pieniądze w pustym pudełku po papierosach i dostać swoje proszki. Potem tylko trzeba było jakoś wrócić na czterdzieste piętro, nie rzucając się w oczy, wziąć leki i wreszcie na chwilę poczuć się dobrze.

Musiałem tego dokonać, mając przy sobie w mieszkaniu towarzysza trzeźwości, pielęgniarkę i Erin. Okazało się, że byłem w tym kiepski: próbowałem cztery razy i cztery razy mnie przyłapali. Lekarzom z UCLA wcale się to nie spodobało: powiedzieli, że muszę iść na oddział odwykowy.

Nie miałem wyboru – byłem uzależniony od wszystkich środków, jakie mi przepisywali. Gdybym powiedział „spierdalajcie”, mógłbym przeżyć chwilę chwały, ale dopływ leków by się zatrzymał i wpadłbym w obłądny dołek. Byłem w dość osobliwej sytuacji – mogłem sobie wybrać miejsce odosobnienia na parę miesięcy: Nowy Jork bądź Houston. Może ktoś bardziej trzeźwy na umyśle ode mnie powinien podjąć tę decyzję? Jako osoba najmniej kwalifikująca się do decydowania wybrałem Nowy Jork.

Kiedy dotarliśmy do ośrodka odwykowego w Nowym Jorku, byłem zdrowo naćpany i łapałem się za brzuch, udając, że czuję ostry ból. Chociaż miejsce przypominało bardziej więzienie niż ośrodek odwykowy, wszyscy byli uśmiechnięci.

– Z czego, do kurwy nędzy, się tak cieszyacie? – zapytałem (miałem skłonność do bycia obcesowym). Przyjmowałem wtedy czternaście miligramów ativanu i sześćdziesiąt miligramów oxycontinu. Miałem przypięty worek stomijny. Zapytałem, gdzie mogę zapalić, na co odpowiedziano mi, że tu się w ogóle nie pali.

– Nie mogę tu zostać, jeśli nie dacie mi palić.

– Nie może pan tu palić.

– Tak, tak, już to słyszałem. Jak, do licha, mam jeszcze rzucić palenie oprócz całej reszty?

– Damy panu plaster.

– Jak wyjaram ten pierdolony plaster, to nie będzie moja wina.

Uzgodniliśmy, że utrzymamy przyjmowanie ativanu, dadzą mi suboxone i będę mógł palić w trakcie detoksu, ale nie w głównym budynku. To oznaczało, że mogę palić jeszcze przez cztery dni. Kiedy tylko zachciało mi się zapalić, ktoś z personelu wyprowadzał mnie na zewnątrz i stał obok, kiedy puszczałem dymka.

To było relaksujące.

Minęły trzy noce, poznałem bardzo ładną, wyjątkowo bystrą pielęgniarkę. Dobrze się mną zajęła, flirtowałem z nią na tyle, na ile jest to możliwe z kimś, kto ci zmienia worek stomijny. Nadchodził straszny dzień, kiedy miałem przestać palić, pozwolili mi więc wyjść po kawę z tą cudną pielęgniarką u boku. Mój nastrój nieco się polepszył. Pożartowałem, poflirtowałem w duchu „wszyscy siedzimy tu na odwyku, więc nic się nie może zdarzyć” i wróciliśmy.

Po powrocie do budynku pielęgniarka powiedziała:

– Chciałabym, żeby coś pan dla mnie zrobił.

– Cokolwiek pani sobie zażyczy.

– Chcę, żeby przestał pan próbować przelecieć apetyczną pielęgniarkę.

Miała na myśli siebie.

Jezu.

– Myślałem, że flirtujemy w bezpieczny sposób, na zasadzie, że nic z tego na serio nie będzie.

Byłem tam cztery miesiące i nigdy już z nią nie flirtowałem. Ona także nie zareagowała flirtem na moje nieflirtowanie, może dlatego że wiele razy widziała mnie umazanego własnym gównem.

Przeniosłem się na oddział, spotkałem terapeutów – Bruce’a, Wendy, nieważne kogo – z którymi nie chciałem mieć nic do czynienia. Chciałem po prostu palić. Albo mówić o paleniu. Albo palić, mówiąc o paleniu.

Wszyscy wyglądali jak gigantyczne papierosy.

Rzadko opuszczałem pokój. Worek ciągle pękał. Zadzwoiłem do matki i poprosiłem, żeby przyjechała mnie uratować. Powiedziała, że jeśli stamtąd wyjdę, to będę palił, a to byłoby groźne w perspektywie mojej operacji. Zadzwoiłem do terapeutki, błagając, żeby mnie wydostała. Powiedziała mi to samo, co mama.

Byłem w dupie, bez wyjścia.

Włączyła mi się panika. Mój worek był pełen. Nie byłem na haju. Nic nie oddzielało mnie od siebie samego. Czułem się jak małe dziecko wystraszone przez potwory w ciemności. Ale czy to *JA* byłem potworem?

Znalazłem klatkę schodową. Pielęgniarka? Ani śladu. Terapia? Pieprzyć terapię. Waliłem w te ściany głową tak mocno, jak Jimmy Connors posyłał piłki forhendem na linię. Mocno podkreścone, prosto na pieprzoną linię.

Klatki schodowe.

Co dzień jestem o krok od umierania.

Nie mam w sobie kolejnych pokładów trzeźwości. Gdybym wyszedł, już nigdy nie mógłbym wrócić. I gdybym wyszedł, musiałbym ostro brać. Naprawdę ostro, bo moja tolerancja stała się wysoka.

To nie jest jak z Amy Winehouse, która była trzeźwa przez chwilę, a potem pierwsze drinki ją zabiły. W filmie dokumentalnym powiedziała coś, co jest prawdziwe także w moim przypadku. Dopiero co dostała Nagrodę Grammy i zwierzyła się przyjaciółce:

– Nie jestem w stanie się tym ucieszyć, dopóki się nie upiję.

Myśl o sławie, o bogactwie, myśl o tym, że jestem mną – nic z tego mnie nie ucieszy, dopóki nie będę na haju. Nie jestem w stanie myśleć o miłości, nie chcąc zarazem być na haju. Brakuje mi łączności duchowej, która by mnie uchroniła przed tymi uczuciami. Dlatego jestem człowiekiem poszukującym.

Pierwszy raz, kiedy doszedłem do pięćdziesięciu pigułek dziennie, tak jak Betsy Mallum grana przez Kaitlyn Dever w *Lekomanii*, nie wiedziałem,

co się dzieje. Nie wiedziałem, że jestem uzależniony. Jestem jedną z pierwszych sławnych osób, które poszły na odwyk, a ludzie o tym wiedzieli. W 1997 roku grałem w najważniejszym serialu Ameryki, poszedłem na odwyk i wiadomość o tym trafiła na okładki czasopism. Ale nie miałem pojęcia, co się ze mną dzieje. Betsy Mallum w *Lekomanii* przechodzi szczebel wyżej, na heroinę, i *sayonara!* – widzimy, jak zasypia z uśmiechem i umiera. Ten uśmiech to jest to uczucie, którego cały czas pragnę. Ależ dobrze musiała się wtedy czuć. Jednak to ją zabiło. Nieustannie szukam tej chwili błogości, tylko bez umierania potem. Pragnę łączności. Chcę łączności z czymś większym niż ja, bo jestem przekonany, że tylko to naprawdę ocali mi życie.

– Nie chcę umierać. Boję się umierać.

Nie jestem dobry nawet w szukaniu prochów. W pewnym momencie ktoś mnie skontaktował z jakimś szemranym lekarzem. Twierdziłem, że mam migreny – ośmiu różnych lekarzy zajmowało się moimi lipnymi migrenami – i przechodziłem czterdziestopięciominutowe badania na rezonansie magnetycznym, byle dostać leki. Czasami, gdy sytuacja była naprawdę zła, szedłem wprost do dilerów, do ich domów. Kiedy tamten lekarz umarł, jego interes przejęła pielęgniarka. Miała wszystkie prochy, mieszkała w dolinie San Fernando. Za każdym razem, gdy chciałem dostać pigułki, jechałem do niej. Non stop byłem przerażony.

– Wejdz – mówiła.

– Nie, bo nas aresztują! – odkrzykiwałem. – Weź pieniądze i daj mi odjechać.

Potem chciała, żebym usiadł i wciągał z nią kokainę. Dostawałem wreszcie swoje pigułki i ponieważ byłem zdrowo przerażony, brałem od razu trzy, żeby trochę osłabić strach, co oznaczało, że tym bardziej narażałem się na aresztowanie.

Znacznie później, kiedy mieszkałem już w Century City, próbowałem znaleźć pretekst, żeby zjechać czterdzieści pięter po dawkę. Byłem

w ciężkim stanie i poharatany – mój brzuch jeszcze się nie zagoił, siedziałem sam podczas covidu... Miałem przy sobie wynajętą pielęgniarkę, która podawała mi leki, ale one już nie zapewniały mi kopa. Dzwoniłem więc do dilerów, żeby zdobyć oxy. W ten sposób dostawałem dodatkowe leki oprócz tych, które przepisali mi lekarze, i wtedy dopiero czułem ich efekt. Pigułki na lewo kosztowały po siedemdziesiąt pięć dolarów, więc dawałem dilerowi trzy tysiące za jednym razem, kilka razy w tygodniu.

Częściej jednak mnie nakrywali, niż udawało mi się je zdobyć. Mój lekarz prowadzący z UCLA miał mnie już dość i powiedział, że przestaje mi pomagać. Nie mogę tak naprawdę mieć o to do niego żalu – każdy się bał o fentanyl zawarty w lekach i że od niego umrę. (Kiedy przyjmowali mnie do ośrodka odwykowego, oczywiście miałem pozytywny wynik testu na obecność fentanylu).

Ta choroba... to wielkie koszmarnie coś. Nałóg zrujnował mi taki kawał życia, że to wcale nie jest śmieszne. Zniszczył relacje, zdemolował codzienność bycia sobą. Mam przyjaciela, który nie ma żadnych pieniędzy, mieszka w lokalu o regulowanym czynszu. Nigdy nie osiągnął niczego jako aktor, choruje na cukrzycę, ciągle martwi się o pieniądze, nie ma pracy. Mimo to natychmiast, bez chwili wahania zamieniłbym się z nim miejscami.

Oddałbym całe pieniądze, sławę, wszystko, żeby mieszkać w lokalu o regulowanym czynszu, nawet martwiąc się cały czas o pieniądze. Byle nie mieć tej choroby, nałogu.

Nie tylko jestem chory, ale jeszcze do tego ciężko. Mam tę chorobę w najgorszej jej wersji. Jestem cały czas pod ścianą. Kiedyś mnie zabije (przypuszczam, że w końcu coś musi). Jak mówił o swoim nałogu Robert Downey Junior: „To tak, jakbym miał lufę pistoletu w ustach, z palcem na spuście, a do tego uwielbiał smak metalu”. Czuję podobnie. Nawet w dobre dni, kiedy jestem trzeźwy i myślę o przyszłości, ta choroba zawsze jest przy mnie. Wciąż mam ten pistolet.

Na szczęście na świecie nie ma już tylu opioidów, żebym mógł złapać haj. Jestem na bardzo, bardzo płytkim dnie. Żebym naprawdę rzucił jakiś nałóg, sytuacja musi dojść do ściany. Kiedyś w trakcie zdjęć do serialu *Mr. Sunshine* – zasadniczo całość była na mojej głowie, pisałem dialogi i grałem w nim główną rolę – pracowałem nad uwagami do scenariusza, który ktoś mi przysłał. Obok stała butelka wódki. Nalałem sobie trzynaście, czternaście drinków – ale takich domowych, czyli potrójnych. Po czternastym nie byłem jeszcze pijany. Rzuciłem więc picie.

Wydaje mi się, że jestem teraz w tej samej sytuacji z opioidami. Już nie wystarczają. W Szwajcarii brałem tysiąc osiemset miligramów opioidów dziennie i nie odczuwałem haju. I co teraz? Zadzwoń do dilerów i poproś ich o wszystkie środki, jakie mają na sprzedaż? Kiedy teraz przychodzi mi na myśl oxycontin, mój umysł od razu wyświetla obraz worka stomijnego przypiętego do końca życia. Tego bym nie zniósł. Dlatego sądzę, że łatwo mi będzie dalej funkcjonować bez opioidów – po prostu nie działają. Poza tym mógłbym się kiedyś obudzić po operacji – było ich dotąd czternaście – z workiem stomijnym już na stałe.

Czas wymyślić sobie coś innego. (Jak mówiłem, następny poziom to heroina, ale tam się nie wybieram). A tak w ogóle rzucenie picia i opioidów nie ma nic wspólnego z moją siłą, one po prostu przestały działać. Gdyby ktoś przyszedł teraz do mnie do domu i powiedział: „Masz tu sto miligramów oxy”, odparłbym: „Nie wystarczy”.

Ale problem i tak pozostaje: tkwię w tym po uszy, dokądkolwiek bym poszedł. Wlokę za sobą problemy, mrok, gówno, więc za każdym razem, kiedy wychodzę z ośrodka odwykowego, robię duży skok i kupuję sobie nowy pieprzony dom. A potem w nim mieszkam.

Pierwszą rzeczą, jaką robiłem, oglądając domy na sprzedaż – takie moje hobby – było przekopanie szafek z lekarstwami właścicieli, żeby sprawdzić, czy są tam jakieś prochy, które mógłbym zwędzić. Nie wolno jednak przegiąć, trzeba wziąć odpowiednią ilość. Sprawdzasz więc datę na fiołce –

potrzeba ci czegoś, co będzie raczej przeterminowane. Jeśli jest bardzo przeterminowane, to możesz wziąć sporą garść. Jeśli lekarstwo jest świeże, to możesz wziąć tylko parę sztuk. Bywały niedziele, że oglądałem pięć domów na sprzedaż, zajmowało mi to cały dzień.

Któregoś dnia w okresie, gdy brałem pięćdziesiąt pięć tabletek dziennie, obudziłem się i musiałem jakoś znaleźć te pięćdziesiąt pięć pigułek. To było jak praca na pełny etat. Całe moje życie sprowadzało się do matematyki. Muszę łyknąć osiem, żeby dotrzeć do domu. Potem będę tam przez trzy godziny, więc muszę połknąć dalsze cztery. Potem jest kolacja, muszę mieć na nią siedem... A to wszystko tylko po to, żeby utrzymać się na powierzchni, żeby się nie rozpaść, żeby uniknąć tego, co nieuniknione, czyli detoksu.

Wyobrażam sobie miny właścicieli tych domów, kiedy wracają pod koniec dnia otwartych drzwi i w pewnym momencie zaglądną do szafki z lekarstwami. „Czy to możliwe, żeby Chandler... nie, nie on. Na pewno nie Chandler Bing!”

Teraz zamiast wizytowania domów na sprzedaż, buduję własny. Zacząłem ten proces, bo około półtora roku temu nie byłem w stanie dokończyć zdania. Wszystko się we mnie rozpadało, w okropny sposób. Zjawili się lekarze, przyjechała moja matka, wszyscy się mną zajęli, bo nie byłem w stanie mówić. Byłem totalnie zaćpany. Musiałem coś z tym zrobić.

Miałem wart dwadzieścia milionów dolarów penthouse w Century City, gdzie brałem prochy, oglądałem telewizję i uprawiałem seks z poznaną parę miesięcy wcześniej dziewczyną.

Którejś nocy urwał mi się film, jej zresztą też, a kiedy się przebudziliśmy, u stóp łóżka stali moja matka i Keith Morrison. Pomyślałem: „Czy ja się znalazłem w odcinku *Dateline*? A jeśli tak, to co robi w nim moja matka?”.

Matka spojrzała na dziewczynę i powiedziała:

– Moim zdaniem już czas, żebyś sobie poszła.

To ocaliło mi życie.

Tata też wiele razy ocalił mi życie.

Kiedy pomagał mi dotrzeć do Marina del Rey (to było po tym, jak Jamie Tarses powiedziała, że znikam w oczach), byłem śmiertelnie przerażony, że nigdy w życiu już się nie zabawię. Po mniej więcej trzech tygodniach zadzwoniłem do Marty Kauffman i Davida Crane'a, mówiąc, że jestem już trzeźwy i mogę wrócić na plan *Przyjaciół*.

– Kiedy wracasz? Potrzebujemy cię z powrotem, będzie kupa roboty – odpowiedzieli. – Musimy zacząć w ciągu dwóch tygodni albo nie damy rady tego skończyć.

Wciąż jednak byłem w bardzo złym stanie. Ojciec zasłyszał ton naszej rozmowy, zadzwonił więc do Marty i Davida.

– Zabiorę go z waszego serialu, jeśli dalej będziecie się wobec niego tak zachowywać – zagroził.

Byłem mu bardzo wdzięczny, że jest moim tatą i że zachował się po ojcowsku, ale zarazem nie chciałem stwarzać problemu. Oni po prostu robili swoje: kręcili najważniejszy serial, dwie główne postaci miały wkrótce wziąć ślub. Nie mogłem tak po prostu zniknąć. Chciałem, żeby wszystko poszło gładko. A potem przenieśli mnie z Marina del Rey do Promises w Malibu i powiedziano mi, że będę musiał tam spędzić ponad dwadzieścia osiem dni. Abym wydobrzał, będą potrzebne miesiące.

Dwa tygodnie później ktoś z obsługi z Malibu zawiózł mnie na plan serialu. Kiedy dotarłem na miejsce, Jen Aniston zawołała:

– Ale się na ciebie wkurzyłam!

– Kochanie, gdybyś wiedziała, przez co przeszedłem, tobyś się nie wkurzała.

Objęliśmy się i wykonaliśmy robotę. Ożeniłem się z Monicą, po czym zostałem odwieziony do ośrodka. W szczytowym momencie szczytowej fazy *Przyjaciół*, która zarazem była szczytowym momentem mojej kariery, w ikonicznej chwili ikonicznego serialu jechałem pikapem prowadzonym przez pracownika ośrodka trzeźwości.

Powiem wam jedno: tamtego wieczoru na Bulwarze Zachodzącego Słońca nie wszystkie światła były zielone.

Mały ze mnie pożytek w relacji, bo z jednej strony staram się ją utrzymać, a z drugiej ciągle boję się porzucenia. Ten strach nie ma zresztą realnych podstaw, bo przez pięćdziesiąt trzy lata życia miałem mnóstwo cudownych dziewczyn i zostałem porzucony tylko raz, i to dawno temu. Może sobie pomyślicie, że przeciwwagą były te wszystkie inne, które zostawiłem... ale tamta była dla mnie wszystkim. Inteligentny człowiek we mnie rozumie to z całą jasnością: miała dopiero dwadzieścia pięć lat i chciała się tylko zabawić. Chodziliśmy ze sobą zaledwie przez parę miesięcy, ale w tym czasie zdążyłem opuścić wszystkie moje bariery ochronne. Zdecydowałem raz a dobrze, żeby być po prostu sobą.

A wtedy ona puściła mnie kantem.

Nigdy niczego mi nie obiecywała. Piłem zresztą jak szalony i o nic jej nie obwiniam.

Spotkałem ją parę lat temu na czytany spektaklu. Grała moją żonę.

– Jak się masz? – zapytała, zanim się zaczęło, a ja udawałem, że dobrze, ale czułem się koszmarnie. „Wynoś się stąd, nie wkręcaj się – mówiłem sobie – po prostu udawaj, że wszystko w porządku”.

– Mam ze swoim partnerem parę dzieciaków, życie jest dobre. Jesteś z kimś?

– Nie, wciąż szukam.

Żałuję, że to powiedziałem, bo zabrzmiało, jakbym nieustannie szukał, od kiedy mnie rzuciła. Ale to prawda. Nadal szukam.

Czytanie się skończyło, przestała być moją żoną, wyniosłem się stamtąd, a ona wciąż wyglądała tak samo.

Mam w sobie teraz wiarę w Boga, ale wiara ta aż nazbyt często wydaje się zablokowana. Z drugiej strony leki, które biorę, blokują wszystko.

W tych dniach zadaję sobie też takie pytanie: „Czy biorąc suboxone, blokuję sobie relację z siłą wyższą?”. Jednym z moich problemów i powodem, dla którego miałem takie kłopoty z trzeźwością przez te wszystkie lata, jest to, że nigdy nie pozwoliłem sobie czuć się niewygodnie na tyle długo, by zyskać duchową łączność. Naprawiam swój stan pigułkami i alkoholem, zanim jeszcze Bóg zdąży wkroczyć i naprawić *mnie*.

Niedawno byłem na warsztatach z oddychania. Przez pół godziny robisz głębokie wdechy, od których kręci ci się w głowie. Płaczesz, masz wizje, czujesz rodzaj haju. Dla mnie to taki darmowy haj w najlepszym gatunku. Ale suboxone blokuje nawet te uczucia. Połowa lekarzy, z którymi rozmawiam, mówi, że powinienem brać suboxone przez co najmniej rok, a może i do końca życia. Inni mówią, że nie jestem, technicznie rzecz biorąc, trzeźwy, dopóki go biorę. Trudno też skończyć z jego przyjmowaniem, jak na ironię, bo to lek mający pomóc ci rzucić inne leki. Niedawno, kiedy leżałem pod kroplówką z suboxone'em, podali mi dawkę mniejszą o połowę od przewidzianej. Miałem tak koszmarne objawy i byłem tak przerażony, że musieli ją zwiększyć. Kiedy przestajesz brać ten środek, czujesz się strasznie.

Kiedy bierzesz heroinę, narkotyk pobudza receptory opioidów, co objawia się hajem. Po jakimś czasie ten efekt słabnie i receptory przestają być pobudzone, i powracasz do stanu trzeźwości. Potem następnego dnia być może znów pobudzisz receptory, dostaniesz haju i tak dalej. Suboxone działa inaczej – pokrywa receptory warstwą i nie znika, czyli zasadniczo pobudza je dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Tak więc jedna z moich teorii na temat walki, jaką toczę ze szczęściem, brzmi, że mam uszkodzone receptory. Dopaminę we mnie zastąpił suboxone. Skok dopaminy zachodzi, kiedy coś cię szczególnie cieszy, na przykład patrzenie na zachód słońca, dobre zagranie w tenisa czy ulubiona piosenka. Jestem pewien, że moje receptory opioidów są bardzo poważnie

uszkodzone, być może nieodwracalnie. Dlatego zawsze jestem z lekka zdołowany.

Tak jak przy zapaleniu trzustki – gdybym zostawił swoje receptory w spokoju na dłuższy czas, same by się naprawiły i znów byłbym szczęśliwy.

Widziałem Boga nie gdzie indziej, ale w swojej kuchni, wiem zatem, że jest coś większego ode mnie. (Wiem choćby to, że nie mogę stworzyć rośliny). Wiem, że to wszechobecna miłość i akceptacja, która zapewnia, że wszystko będzie dobrze. Wiem, że coś się dalej wydarza, kiedy umieramy. Wiem, że przechodzimy do jakiegoś stanu cudowności.

Alkoholicy i ludzie uzależnieni, tacy jak ja, chcą pić w jednym jedynym celu: żeby poczuć się lepiej. Przynajmniej w moim przypadku tak było: zawsze chciałem tylko poczuć się lepiej. Nie czułem się dobrze – wypijałem parę drinków i czułem się lepiej. Ale w miarę postępu choroby trzeba pić i brać coraz więcej i więcej, i jeszcze więcej, żeby poczuć się lepiej. Jeśli przekłujesz powłokę trzeźwości, natychmiast budzi się alkoholizm i woła: „Hej, pamiętasz mnie? Miło cię znów widzieć. A teraz daj mi co najmniej tyle, ile ostatnim razem, bo inaczej cię zabiję albo doprowadzę do szaleństwa”. Wtedy włącza mi się w umyśle obsesja, nie mogę przestać myśleć o tym, jak to jest poczuć się lepiej, na to nakłada się wielkie pragnienie – a wszystko to prowadzi do traumy, która nigdy nie maleje. Nikt, kto ma problem z alkoholem, nie przestaje go mieć ot tak po prostu i nie może sobie potem popijać towarzysko bez konsekwencji. Od razu wznawia się choroba.

„Wielka Księga” Anonimowych Alkoholików mówi, że alkohol jest zwodniczy, zaskakujący i potężny... ale dodałbym też, że *cierpliwy*. Kiedy tylko podniesiesz rękę i powiesz: „Mam problem”, to uzależnienie jakby reagowało na to słowami: „No cóż, jeśli będziesz na tyle durny, żeby coś o tym opowiedzieć, to sobie pójdę na jakiś czas”. Siedzę sobie na odwyku

trzy miesiące i myślę: „Kiedy stąd wyjdę, znów łyknę, ale mogę spokojnie poczekać jeszcze dziewięć dni”. Choroba bębni palcami o blat. W AA często się mawia, że kiedy siedzisz na mityngu, choroba ćwiczy za drzwiami pompki na jednej ręce, czekając, aż wyjdiesz.

Wiele razy o mało nie umarłem. Im niżej zejdziesz na skali (na samym dole jest śmierć), tym większej liczbie ludzi potem będziesz w stanie pomóc. Kiedy więc moje życie kręci się na pełnych obrotach, to jestem sponsorem, ludzie zwracają się do mnie o pomoc. Dwa lata między 2001 a 2003 rokiem były najszcześniejszymi w moim życiu. Pomagałem innym, byłem trzeźwy i mocny.

Trzeźwość miała też inne dobre efekty uboczne, niektóre związane z tym, że byłem singlem. Chodziłem do klubów, ale – co za cud! – nie chciało mi się pić. Powiem wam, że nikt nie ma takiego powodzenia o drugiej nad ranem w klubie jak trzeźwy facet, który zaczepia kobietę słowami: „Hej, co u ciebie?”. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek przespał się z większą liczbą kobiet niż w ciągu tamtych dwóch lat.

Ale choroba jest cierpliwa. Powoli przestajesz chodzić na wszystkie mityngi, na których miałeś się pojawić. „Wcale nie muszę iść tam w piątek wieczorem!” I wtedy, w momencie, kiedy już głęboko wszedłeś w ten rodzaj myślenia, alkoholizm upomina się o ciebie, zaskakujący, potężny i cierpliwy. Nagle w ogóle przestajesz chodzić na mityngi. Przekonujesz siebie samego, że wszystko to ogarniasz i rozumiesz: „Nie potrzebuję już tam chodzić, wiem, jak to działa”.

Nałogowcy nie są złymi ludźmi. Jesteśmy ludźmi, którzy chcą poczuć się lepiej, ale mamy tę chorobę. Kiedy jest mi źle, myślę sobie: „Dajcie mi coś, od czego się lepiej czuję”. Tylko tyle. Wciąż mam wielką ochotę pić i brać prochy, ale nie robię tego z powodu konsekwencji: jestem na takim etapie zaawansowania, że to by mnie zabiło.

Niedawno matka powiedziała, że jest ze mnie dumna. Napisałem scenariusz, który przeczytała. Całe życie czekałem, żeby to od niej usłyszeć.

Kiedy zwróciłem jej na to uwagę, zapytała:

– A może masz zdolność wybaczenia?

– Wybaczam ci, wybaczam.

Ciekawe, czy ona może mi wybaczyć wszystko, przez co przeszła z mojego powodu...

Skoro samolubny, leniwy dupek, taki jak ja, może się zmienić, to każdy może. Żaden sekret nie staje się gorszy przez to, że został wyjawiony. W tym momencie mojego życia wylewają się wprost ze mnie słowa wdzięczności, bo powinienem już dawno być martwy, a jakimś cudem nie jestem. Musi być jakiś tego powód. To dla mnie za trudne do pojęcia, że miałoby go wcale nie być.

Nie wierzę już w robienie czegoś na pół gwizdka. Pójście po linii najmniejszego oporu jest nudne, za to bliźny są interesujące. Opowiadają interesującą historię o człowieku, są dowodem, że stoczył jakąś bitwę – w moim przypadku z trudem wygraną.

Mam na sobie wiele blizn.

Kiedy pierwszy raz zdjąłem koszulkę w łazience po powrocie ze szpitala po pierwszej operacji, rozplakałem się. Ten widok mnie dobijał. Myślałem, że życie się dla mnie skończyło. Po około półgodzinie zebrałem się w sobie na tyle, żeby zadzwonić do dilera, który zaczął od pytania, co się ze mną dzieje. Tak jakby był pracownikiem opieki społecznej albo księdzem, a nie dilerem narkotykowym.

Po mniej więcej czterech latach przeszedłem czternastą operację. Znów płakałem. Powinienem się do tego przyzwyczaić, bo ciągle będą kolejne operacje, nigdy z tego całkiem nie wyjdę. Już zawsze będę miał jelita dziewięćdziesięciolatka. Płakałem po każdej operacji. Ale przestałem dzwonić do dilerów.

Mam tyle blizn na brzuchu, że wystarczy, abym popatrzył w dół, żeby wiedzieć, iż przeżyłem wojnę, którą sam sobie wytoczyłem. Pewnego razu podczas jakiejś ceremonii religijnej w Hollywood – koszule dozwolone, a nawet bardzo wskazane, dzięki Bogu – Martin Sheen odwrócił się do mnie i zapytał:

– Wiesz, co mówi Święty Piotr każdemu, kto chce wejść do nieba?

Kiedy zareagowałem tępym spojrzeniem, facet, który kiedyś był prezydentem, powiedział:

– Piotr pyta: „Masz blizny?”. Większość z dumą zapewnia, że nie ma, a Piotr dopytuje: „Czemu? Nie miałaś nic, o co warto było walczyć?”.

(Martin Sheen, podobnie jak Al Pacino, Sean Penn, Ellen DeGeneres, Kevin Bacon, Chevy Chase, Robert De Niro, należy do „klubu sław”, nieformalnego kręgu ludzi, do których dołączasz, kiedy jesteś na lotnisku czy nabożeństwie i ktoś wita się z tobą słowem: „Cześć!”, jakbyście się dobrze znali).

Blizny, ach, te blizny. Mój brzuch wygląda jak mapa fizyczna Chin. I one cholernie *bolą*. Niestety, moje ciało wybucha śmiechem na propozycję podania trzydziestu miligramów oxycontin. Leki doustne w ogóle nie dają mi ulgi. Jedyne, co troszkę pomaga, to lek dożylny, a tego oczywiście nie mogę brać w domu, więc jeżdżę raz po raz do szpitala.

W styczniu 2022 roku zrobiono mi piętnastocentymetrowe cięcie, które potem zaszyto metalowymi klamerkami. Tak wygląda życie kogoś obdarzonego tym strasznym czymś. A do tego nie pozwalają mi palić. Jeśli przetrwam dzień bez papierosa i nie wydarzy się nic szalonego, to uznają go za dobry. Poza tym kiedy nie palę, to tyję. Ostatnio przybrałem na wadze tak bardzo, że patrząc w lustro, myślałem, że ktoś mnie śledzi.

W trakcie trzeźwienia przybiera się na wadze. Kiedy rzucasz palenie, przybierasz na wadze. Takie są reguły.

Jeśli o mnie chodzi, zamieniłbym się miejscami z każdym z moich przyjaciół – z Pressmanem, z Bierko, z kimkolwiek – bo żaden z nich nie

musiał sobie radzić z wielkim koszmarem. Żaden z nich nie użerał się przez całe życie z mózgiem zbudowanym tak, żeby zabić swojego właściciela. Wszystko bym oddał, żeby tego nie mieć. Nikt mi nie wierzy, ale to prawda.

Ale moje życie już nie jest takie szalone. Śmiem twierdzić, że wyszedłem z tego całego zawirowania. Wydoroślałem. Jestem prawdziwszy, bardziej szczerzy. Wychodząc z pokoju, nie muszę zostawiać ludzi pękających ze śmiechu. Wystarczy, że stanę prosto i wyjdę z pokoju.

I nie pójdę, miejmy nadzieję, prosto do garderoby czy schowka.

Teraz istnieje spokojniejsza wersja mnie. Bardziej szczerzy ja. Sprawniejszy. Jest oczywiście taka możliwość, że jeśli zechcę mieć dobrą rolę w filmie, będę musiał sam go napisać. Jestem do tego zdolny. Mam dość siły, wszystkiego mam więcej, niż potrzebuję. Nie muszę już robić ze wszystkiego przedstawienia. Dałem się już poznać. Teraz czas osiąść i się tym nacieszyć. Oraz znaleźć prawdziwą miłość. I prawdziwe życie. Nie takie, które jest napędzane strachem.

Jestem sobą. I to powinno wystarczyć. Zawsze wystarczało, tylko że ja tego nie rozumiałem. Teraz już tak. Jestem aktorem, jestem scenarzystą. Jestem osobą. I do tego dobrą osobą. Chcę dobrych rzeczy dla siebie i innych. Mogę dalej pracować nad tym, by się wydarzały. Jest jakaś racja, że nadal jestem tu, pośród żywych. Zrozumieć dlaczego – to zadanie, jakie mi postawiono.

W końcu się dowiem. Nie ma pośpiechu, nic na siłę. Samo to, że jestem tu i troszczę się o ludzi, jest odpowiedzią. Kiedy się budzę, budzę się z ciekawością tego, co świat ma dla mnie w zanadrzu. Oraz tego, co ja mam dla niego. I to wystarcza, żeby dalej żyć.

Chcę dalej się uczyć i chcę dalej uczyć. Takie mam dwie wielkie nadzieje. Ale w międzyczasie chcę się śmiać i bawić z przyjaciółmi. Chcę kochać się z kobietą, w której jestem szaleńczo zakochany. Chcę zostać ojcem, chcę, by matka i ojciec byli ze mnie dumni.

Kocham sztukę, zacząłem budować kolekcję. Kupiłem obraz Banksy'ego na aukcji w Nowym Jorku. Licytowałem przez telefon. Nigdy go nie spotkałem, ale chcę, żeby wiedział, że jeśli kiedykolwiek w moim domu pojawi się pożar, to mój Banksy będzie tym, co z niego wyniosę. Zastanawiam się, czy mu na tym zależy. (Tak naprawdę to sam by pewnie podłożył ogień).

Dużo już w życiu osiągnąłem, ale wciąż zostało tak wiele do zrobienia i każdego dnia mnie to ekscytuje. Byłem dzieciakiem z Kanady, któremu spełniły się marzenia, tylko że to były złe marzenia. Zamiast się poddać, zmieniłem się i znalazłem nowe.

Ciągle je znajduję. Są na wyciągnięcie ręki, w okolicy, w migotliwym blasku słońca odbijającym się od oceanu... tylko tyle i aż tyle.

Kiedy ktoś robi coś miłego dla drugiego człowieka, widzę Boga. Nie możesz jednak oddać czegoś, czego nie masz. Każdego dnia staram się więc stać się lepszym człowiekiem. Kiedy nadchodzi chwila, że ktoś mnie potrzebuje, jestem już ogarnięty i robię to, po co wszyscy tu jesteśmy: pomagam innym ludziom.

Interludium. Przedział dla palących

Pewnego pięknego dnia Bóg i mój terapeuta dogadali się, żeby w cudowny sposób usunąć ze mnie pragnienie brania narkotyków. Gnębiło mnie ono już od 1996 roku.

Terapeuta powiedział mi:

– Następnym razem, kiedy pomyślisz o oxycontinie, chcę, żebyś pomyślał jednocześnie o tym, jak to będzie żyć do końca swoich dni ze stomią.

Bóg nie powiedział niczego, ale nie musi, bo jest w końcu Bogiem. Po prostu był.

Ponieważ żyłem ze stomią przez dziewięć miesięcy, słowa terapeuty były jak cios między oczy. A kiedy jego słowa są jak cios między oczy, lepiej od razu przystąpić do działania. Udało mu się otworzyć małe okienko, przez które się przeczołgałem. Po drugiej stronie było życie bez oxycontinu.

Następny szczebel po oxycontinie to heroina. To słowo zawsze mnie przerażało, a ten strach niewątpliwie ocalił mi życie. Strach, rzecz jasna, że polubię aż za bardzo ten narkotyk, nigdy nie przestanę go brać i w końcu mnie zabije. Nie wiem, jak się go przyjmuje, i nie chcę się tego nauczyć. Nawet w najmroczniejszych okresach to nigdy nie było rozwiązanie dla mnie.

Skoro więc heroina była wykluczona, a oxycontin był jedynym narkotykiem, który chciałem brać, można było z dużą dawką pewności stwierdzić, że moje pragnienie brania narkotyków się rozwiało. Nie odczuwałem go, nawet gdybym spróbował, a przecież nie próbowałem. Poczułem się lżejszy, poczułem pewien rodzaj wolności. Pozbyłem się uporczywego problemu. Część mózgu, która zamierzała mnie zabić, zniknęła. Tyle że nie od razu.

Niedawno miałem czternastą operację, tym razem usuwali mi przepuklinę w jamie brzusznej. To było bardzo bolesne, dostałem więc oxycontin. Ludzie uzależnieni nie są męczennikami – jeśli odczuwamy poważny ból, wolno nam przyjąć środki przeciwbólowe, tyle że trzeba to robić ostrożnie. A to znaczy, że fiolka z pigułkami nigdy nie trafia do rąk chorego, lek podaje ktoś inny wedle wskazań lekarza. Operacja oznaczała też nową bliznę na brzuchu, tym razem długą na piętnaście centymetrów. Serio, panowie? Moje jelito kiedyś pękło, rozpruliście mnie wtedy tak, że można było włożyć do środka kulę do kręgli, ale największą bliznę serwujecie mi dopiero teraz?

Po operacji wziąłem lek i w tej samej chwili ból ustąpił, ale zdarzyło się jeszcze coś: poczułem, jak mój przewód pokarmowy staje dęba. Wiecie, co to jest zespół stresu pourazowego? Kiedy to się zdarzyło, natychmiast pojechałem do szpitala; wiedziałem, że albo dadzą mi tam coś, co pomoże mi się wypróżnić, albo powiedzą, że konieczna jest natychmiastowa operacja. A każda operacja wiązała się z ryzykiem, że znów obudzę się ze stomią. Zdarzyło się tak już dwukrotnie, więc mogło kolejny raz.

Wiecie, co mogłoby zagwarantować, że nigdy nie wybudzę się po operacji z przytroczonym na stałe workiem stomijnym? Nie brać oxycontinu. Co już uczyniłem. Byłem wolny. Nie ma słów, żeby opisać, jak kolosalna to była nowość. Od tamtego czasu nie byłem i nie jestem zainteresowany braniem czegokolwiek. Pożyczę więc od Ala Michaela jego nieśmiertelne słowa, wypowiedziane, kiedy garstka studenciaków pobiła pieprzonych Rosjan w hokeja podczas olimpiady w Lake Placid w 1980 roku:

„Wierzycie w cuda? O tak!!!”.

Nadal nie mogę oglądać tego meczu bez dreszczy przebiegających mi po plecach. Tym razem to była moja kolej na cud.

Zawsze wierzyłem w teorię, że Bóg nie stawia przed człowiekiem niewykonalnych zadań. W tym przypadku Bóg dał mi trzy tygodnie. Trzy

tygodnie wolności. A potem rzucił nowe, gigantyczne wyzwanie.

Ignorowałem je, udawałem, że go nie ma albo że nagle zniknie.

Kiedy kładłem się do łóżka, zacząłem słyszeć świst w płucach. Coś na tyle głośnego, że nie dawało mi zasnąć. Czasami był delikatniejszy i trwał dłużej. Kiedy postanowiłem zbadać sprawę – Bóg widocznie uznał, że jestem na to gotowy – byłem pełen zmartwień. Miałem nadzieję, że to zapalenie oskrzeli albo coś, co można wyleczyć antybiotykiem, ale obawiałem się najgorszego.

Na wizytę u specjalisty chorób płucnych trzeba było czekać tydzień, więc przez siedem dni kładłem się i słuchałem okropnego odgłosu podczas najbardziej samotnej fazy nocy, kiedy człowiek jest najwrażliwszy. Tydzień niemiłosiernie się dłużył. Niekiedy siadałem na łóżku, zapalałem papierosa, licząc, że od tego świst ustąpi. Żaden ze mnie geniusz naukowy.

Wreszcie nadszedł poranek, kiedy miałem wyznaczoną wizytę. Jak zwykle z Erin u boku stawiałem się na badanie czynnościowe płuc. Dmuchałem ze wszystkich sił przez parę minut do rurki, potem kazano mi czekać w gabinecie lekarza na wyniki. Poprosiłem Erin, żeby czekała ze mną, bałem się strasznych wieści. Pamiętajcie, że najlepsze, co wówczas chciałem usłyszeć, to zapalenie oskrzeli. Z racji cudu, który wydarzył się trzy tygodnie wcześniej, nie miałbym gdzie się ukryć, gdyby nadeszła bardzo zła wiadomość.

Po bardzo długiej chwili do gabinetu wkroczył z namaszczaniem lekarz, usiadł i oznajmił (dość nonszalancko, zważywszy na kontekst), że wiele lat palenia odbiło się na stanie moich płuc. I że jeśli nie rzucę palenia – i to dziś – umrę około sześćdziesiątki. Innymi słowy, to nie miało za cholere znaczenia, czy mam zapalenie oskrzeli, czy nie.

– Nie, to coś znacznie, znacznie gorszego – powiedział lekarz. – Ale wyłapaliśmy to na tyle wcześnie, że jeśli przestanie pan palić, może pan dożyć osiemdziesiątki.

Oszołomiony, sparaliżowany lękiem, wdzięczny, że udało się zdążyć na czas – takie miałem myśli i stany w głowie, kiedy schodziliśmy do samochodu. Siedzieliśmy w nim przez chwilę; pragnąłem, żeby to był DeLorean DMC-12¹³ i żeby przeniósł mnie wstecz do 1988 roku, i żebym przede wszystkim nigdy nie wziął do ust żadnej z tych trujących, pożerających życie rzeczy.

Jakoś udało mi się zachować całkiem niezły nastrój.

– Dobra, nie ma co się nad tym rozwodzić. Dziś palę do końca dnia, a jutro o siódmej rano rzucę palenie do końca życia – powiedziałem wreszcie.

Poprzednio rzuciłem palenie na dziewięć miesięcy, ale cały proces był koszmarem. Erin, najcudowniejsza osoba na świecie, powiedziała, że będzie rzucać wraz ze mną.

Początkowo wolno mi było palić papierosy elektroniczne, ale po jakimś czasie i z tego miałem zrezygnować.

Siódma rano następnego dnia nadeszła o wiele za szybko. Z domu wyniesiono wszystkie papierosy; żeby przetrwać, pociągałem elektronicznego. Pamiętałem z poprzednich prób, że najgorszy jest trzeci i czwarty dzień, ale jeśli dam radę wytrzymać do siódmego, to będę wolny.

Jak możecie sobie pewnie wyobrazić, było strasznie. Prawie cały czas siedziałem w pokoju z papierosem elektronicznym, czekając, aż ten okropny stan minie. Byłem dzielny, wiedziałem, że mogę dać radę.

Minął jednak siódmy dzień, a ja wciąż czułem się strasznie. Nie wiedziałem, że można aż tak mocno pragnąć papierosa. Dziewiątego dnia nie mogłem już wytrzymać, wyszedłem z pokoju i oświadczyłem: „Chcę papierosa”. W mieszkaniu była pielęgniarka, która miała pilnować, żebym nie łykał prochów, ale nie, żebym nie palił, więc dała mi jednego. Dostałem po nim haju, i to porządnego, takiego jakbyś pędził po Vegas czerwonym mustangiem.

Pozostałe osiem papierosów, które wypaliłem tego wieczoru, już nie dały podobnego efektu. Czułem się jak ostatnia dupa, a za prawdziwą dupę łapał mnie strach (dwa razy słowo „dupa” – błąd stylistyczny, ale zamierzony).

Miałem pięćdziesiąt dwa lata i o ile nie zaczęliście lektury dopiero od tej strony, wiecie już, że miałem plan, by reszta mojego życia była tą dłuższą i lepszą jego częścią. A zatem próbowałem! Leżałem w łóżku bez papierosa przez całe dziewięć dni.

Mogłem uwolnić się od każdego narkotyku, jaki zaistniał w dziejach chemii, ale to papierosy miały się okazać najtrudniejsze do odstawienia? Chyba ktoś tu sobie robi jaja.

Uznano wreszcie, że nagłe zejście z sześćdziesięciu papierosów dziennie do zera to dla mnie za duże wyzwanie i że na razie tylko ograniczę palenie, aż uda się opracować lepszy plan. W ciągu kilku dni udało mi się zejść z sześćdziesięciu do dziesięciu. To już było coś, ale nie zapominajmy, że walczyłem o życie i że ta liczba musiała szybko spaść do zera. Jednak wszelkie wysiłki, żeby zejść poniżej dziesięciu, okazywały się daremne.

I oto na scenę wkracza wybitny hipnotyzer Kerry Gaynor. Próbowałem już kiedyś rzucić palenie z jego pomocą, ale nie wyszło. Tym razem sytuacja okazała się inna. Naprzeciw Kerry'ego siedział teraz zrozpaczony facet, który chciał za wszelką cenę przestać palić. Kurde, musiałem to zrobić. Nie zaznałem dotąd prawdziwej miłości. Nigdy nie stawiałem czoła chorobom moich dzieci. Poza tym życie z rozedmą płuc to okropna perspektywa, te wszystkie butle z tlenem i rurki do oddychania. „Cześć, jestem Matthew Perry, przedstawiam wam mój aparat tlenowy”.

Czy taki umysł jak mój może ulec hipnozie? Miałem nieustanną gonitwę myśli i omamy słuchowe. Jeśli więc sam nie panuję nad swoim umysłem, to czy hipnotyzer sobie z tym poradzi? Kochałem palenie, w niektóre dni był to mój jedyny powód do życia, nieraz długo nie kładłem się spać, żeby móc dalej palić papierosy. Poza tym to była ostatnia rzecz, jaka mi została.

Bez nich już nic nie będzie mnie oddzielać ode mnie samego. Rzuciłem picie, kiedy Bóg odwiedził mnie w kuchni. Niedawno rzuciłem opioidy, kiedy posrałem się ze strachu, że nigdy nie uwolnię się od stomii. Czy faktycznie to powiedziałem? Jak to w ogóle możliwe, że to zrobiłem? Po co robić cokolwiek, jeśli nie możesz sobie zapalić?

Z początku nie szło dobrze. Pojechałem pod wskazany adres, zadzwoniłem do drzwi, a gdy jakaś miła osoba je otworzyła, zapytałem:

– Cześć, czy zastałem Kerry’ego? Jestem z nim umówiony.

Kerry’ego nie zastałem, bo pomyliłem domy. Ciekawe, jak się poczuła ta osoba, kiedy Chandler Bing zadzwonił do jej drzwi.

Kerry stał pięć domów dalej, czekając na moje przybycie. Byłem przerażony. Ważył się los mojej ostatniej psychicznej podpórki. A także całego mojego życia.

Gabinet Kerry’ego odbiegał od moich wyobrażeń gabinetu najdroższego hipnotyzera na świecie. Usłany papierami, obrazkami i tabliczkami z hasłami antynikotynowymi. Usiedliśmy i Kerry zaczął swoją gadkę w duchu „palenie jest straszne”. Dobra, wiem to, przejdźmy do sedna.

Wyjaśniłem mu swój opłakany stan, a on odpowiedział, że potrzebne będą trzy spotkania. Podobno okazałem się szczególnym przypadkiem. Skończyliśmy rozmowę, położyłem się i przez dziesięć minut mnie hipnotyzował.

Oczywiście niczego nie poczułem.

Pomiędzy sesjami należy palić, za co byłem wdzięczny, ale żeby ulżyć moim płucom oraz Kerry’emu, trzymałem się dziesięciu dziennie. (Można wypalić nawet trzy paczki dziennie, tak jak ja, ale tak naprawdę wystarczy około dziesięciu papierosów na dobę, żeby zapewnić ciału nikotynę, której pragnie. Pozostałe pięćdziesiąt palisz odruchowo, z przyzwyczajenia).

Podczas drugiej sesji Kerry zastosował wszystkie taktyki zastraszania, na które było go stać. Ależ byłem naiwny, myśląc, że następny papieros mnie nie zabije! (Nie, nie byłem). Jeśli teraz zapalę, dostanę ataku serca,

a w pobliżu nie ma nikogo, kto by zadzwonił po pogotowie, i będzie po mnie! Następny papieros na trwałe uszkodzi mi płuca i resztę życia spędzę z butlą tlenową i rurką w nosie! (Pomyślałem wtedy, że to jeszcze gorsze niż stomia, ale nie powiedziałem tego na głos). Czy bardziej zależy mi na papierosie, czy żeby móc oddychać jutro rano? (Na to pytanie znałem odpowiedź).

Zanim drugi raz mnie poddał hipnozie, spróbowałem mu opowiedzieć o galopadzie w moim umyśle.

– Nie jestem wcale pewien, czy uda się panu mnie zahipnotyzować – powiedziałem.

Kerry tylko znacząco się uśmiechnął – pewnie słyszał to już tysiące razy – i kazał mi się położyć.

Grałem po jego stronie, chciałem, żeby to zadziało. Ale wcale nie byłem pewien, czy działa. Wszedłem z gabinetu, powróciłem do rutyny dziesięciu papierosów dziennie, ale coś się zmieniło. Każdy papieros budził większy lęk od poprzedniego. Przynajmniej jedno Kerry'emu się udało: każdy buch nasycił lękiem. Zaszła istotna różnica.

I wreszcie ostatnie spotkanie. Po nim miałem przestać palić na zawsze. Opowiedziałem mu, że przy poprzednich próbach czułem się strasznie, że to było trudniejsze niż odstawienie narkotyków. I że w trakcie rzucania palenia zrobiłem parę głupich i szalonych rzeczy (patrz pod: głowa, ściana). Mówiłem o swoim strachu przed syndromem odstawienia.

Kerry wysłuchał mnie cierpliwie, po czym zauważył, że pomógł wyjść z nałogu tysiącom ludzi i że ich komunikaty zwrotne mówiły zawsze to samo: przez pierwsze dwa dni jest uczucie dyskomfortu, potem nic. Ale nie wolno tknąć nikotyny, koniec z papierosami elektronicznymi.

Odpowiedziałem, że moje dotychczasowe doświadczenia są zupełnie inne.

– Nigdy dotąd nie chciał pan tak naprawdę rzucić palenia i nigdy nie robił pan tego w prawidłowy sposób, ze mną – odparł.

Miał rację, tym razem chciałem rzucić. Nie było co do tego wątpliwości.

Zatem kolejny raz się położyłem, a on mnie zahipnotyzował. Tym razem czułem różnicę, byłem zrelaksowany i senny. Zorientowałem się, że Kerry przemawia wprost do mojej podświadomości, która nie była poddana gonitwie umysłu.

No i już, po wszystkim.

Rozdział 11. Batman

Nigdy bym nie pomyślał, że w chwili gdy skończę pięćdziesiąt dwa lata, nie będę miał za sobą zabaw i głupich gier z uroczymi dzieciakami, że żadne dziecko nigdy dotąd nie ganiało dookoła mnie, powtarzając pozbawione sensu słowa, których je nauczyłem, żeby rozśmieszały moją piękną żonę.

Przez długie lata myślałem, że jestem nie taki jak trzeba, że we wszystkim jestem niewystarczający. Ale już tak nie czuję. Uważam, że jest mnie akurat tyle, ile trzeba. Jednak co rano, kiedy się budzę i przez parę chwil jestem jeszcze nie całkiem przytomny i nie do końca wiem, gdzie się znajduję, przypominam sobie o brzuchu, o jego bliznach. (Wreszcie mam twarde jak skała mięśnie brzucha, ale to nie efekt robienia „brzuszków”). Przekręcam się tak, żeby nogi opadły na ziemię, i na czubkach palców idę do łazienki, tak żeby nie obudzić... hm, nikogo. Tak, proszę państwa, jestem singlem, tak że już bardziej się nie da. Patrząc w lustro w łazience z nadzieją, że dojrzę tam coś, co wszystko wytłumaczy. Staram się nie myśleć za dużo o tych wszystkich kobietach zlekceważonych z powodu lęku, który zbyt późno zrozumiałem. Staram się nad tym zaledwie nie rozwodzić – jeśli za długo się gapisz we wsteczne lustro, rozbijesz samochód. Nadal jednak tęsknię za towarzyszką, za uczuciowym związkiem. Nie jestem wybredny: około metra sześćdziesięciu, brunetka, umysł ostry jak brzytwa, wesoła, przeważnie opanowana... tyle starczy. Kocha dzieci, toleruje hokej. Gotowa nauczyć się grać w pickleball. Niczego więcej nie wymagam.

Chcę partnerki do ekipy.

Jeśli gapię się w lustro dość długo, obserwuję, jak moja twarz zaczyna znikać, i wiem wtedy, że czas iść na patio i nacieszyć się widokiem.

Poniżej urwisk, szos i centrum medytacji, gdzie czytałem swoją listę sponsorowi, tam w dali, gdzie kalifornijskie mewy wirują w locie, faluje

ocean, szary z niebieskimi refleksami. Zawsze myślałem, że ocean odzwierciedla podświadomą część umysłu. Jest tam dużo piękna – rafy koralowe, jaskrawo ubarwione ryby, piana i refleksy słoneczne, ale też i ciemna strona: rekiny, drapieżne ryby i nieskończone głębie gotowe pochłonać kruche łódki rybaków.

Najbardziej uspokaja mnie rozmiar oceanu. Rozmiar i moc. Jest na tyle wielki, że można się na nim zagubić na zawsze. Na tyle potężny, że unosi wielkie tankowce. Jesteśmy niczym wobec jego ogromu. Staliście kiedyś na brzegu i próbowaliście zatrzymać falę? Ona się toczy i toczy, bez względu na to, co robimy, i na to, jak się staramy. Ocean przypomina nam, że w porównaniu z nim jesteśmy bezsilni.

Kiedy patrzę na ocean, przeważnie czuję, jak napęlnia mnie nie tylko tęsknota, ale i pokój, wdzięczność, głębsze zrozumienie tego, przez co przeszedłem, i miejsca, w którym się teraz znajduję.

Przede wszystkim uległem, ale nie tej przegrywającej, lecz zwycięskiej stronie. Nie jestem już uwikłany w niemożliwą bitwę z narkotykami i alkoholem. Nie czuję już potrzeby bezwiednego zapalenia papierosa do porannej kawy. Czuję się czystszy, świeższy. To samo mówią mi rodzina i przyjaciele. Promieniuję światłem, którego nikt z nich wcześniej nie widział.

W aneksie do „Wielkiej Księgi” Anonimowych Alkoholików, zatytułowanym *Doświadczenie duchowe*, czytamy: „Dość często przyjaciele nowo przybyłego zdają sobie sprawę z zaistniałej różnicy na długo przed nim”.

Tego ranka i każdego innego ranka na patio jestem jak ten nowo przybyły. Wypełniają mnie i ładują energią wszystkie „różnice”: bez alkoholu, bez leków, bez papierosów. Stoję z kawą w jednej ręce i z niczym w drugiej, patrzę na odległe fale oceanu i zdaję sobie wtedy sprawę, że w sobie też czuję falę. Falę wdzięczności.

W miarę jak jaśniał dzień, a ocean ze srebrnego stawał się bladobłękitny, fala wdzięczności rosła, aż wreszcie mogłem w niej dostrzec twarze i wydarzenia. Płaty piany unosiły się jak znaki różnych chwil mojego bujnego życia.

Byłem wdzięczny, że żyję, że mam kochającą rodzinę – to rzecz wcale nie bez znaczenia, być może nawet najlepsza ze wszystkich. W rozpryskach wody widziałem twarz matki i myślałem o jej bezbłędnej zdolności do interwencji w kryzysie, do pokierowania sprawami w lepszą stronę. (Keith Morrison powiedział mi kiedyś: „Przez cztery dekady, kiedy byłem z twoją mamą, jej niewiarygodne przywiązanie do ciebie było centralną częścią jej życia. Myśli o tobie cały czas. W 1980 roku, gdy między nami zaczęło się dziać na serio, powiedziała coś, czego nie zapomnę: «Żaden mężczyzna nie może stanąć między Matthew a mną, on zawsze będzie najważniejszą osobą w moim życiu. Musisz się z tym pogodzić»”. I to prawda, nigdy nie było chwili, w której przestałem odczuwać tę miłość. Nawet w naszych najmroczniejszych okresach. Jeśli coś dzieje się ze mną naprawdę źle, to jej numer jest nadal pierwszy na mojej liście). Widziałem także śmiesznie przystojną twarz ojca. I wydawało mi się bardzo na miejscu, że widziałem go jednocześnie jako swojego ojca, jak i jako żeglarza z reklamy Old Spice, choć ten drugi obraz szybko zmałał do rozmiaru punktu na horyzoncie. Myślę o nich obojgu, że wytrzymywali ze sobą w tym samym pokoju, kiedy byłem naprawdę chory, i o tym, jakiego rodzaju miłości to dowodzi. Nie pasowali do siebie, teraz to rozumiem. Chciałbym więc odzyskać wszystkie te monety, jakie wrzucałem do studni i fontann z życzeniem, żeby byli razem. Oboje znaleźli swoje szczęście i poślubili ludzi, których powinni byli poślubić.

Twarze moich sióstr, a także twarz brata, mającą gdzieś z tyłu za rodzicami. Patrzą na mnie promiennymi oczami nie tylko przy szpitalnym łóżku, ale także w Kanadzie i Los Angeles, kiedy rozśmieszam ich swoją

paplaniną. Nigdy mnie nie zawiedli, żadne z nich się ode mnie nie odwróciło. Wyobraźcie sobie taką miłość.

Z kipieli wodnej wyłaniają się dalsze obrazy, nie tak głęboko osobiste, ale nie mniej porywające: LA Kings wygrywający Puchar Stanleya w 2012 roku, ja w siódmym rzędzie wrzeszczę na graczy z drugiej linii ataku, żeby nie odpuszczali. A także moja dość samolubna myśl, że to Bóg sprawił, iż przeszli play-offy akurat w roku, kiedy play-offy rozgrywano bardzo późno. Dopiero co zakończyłem długi związek i jestem pewien, że Kings zaszli tak daleko, bo Bóg powiedział: „Hej, Matty, wiem, że będziesz miał teraz trudny czas, więc masz tu coś, co potrwa trzy miesiące i zapewni ci mnóstwo rozrywki, żebyś się lepiej poczuł”. Udało się – szli przez play-offy jak mściwe anioły zagłady. Kings pokonali Diabły z New Jersey w końcowej fazie rozgrywek, a ten ostatni mecz w Staples Center to było szaleństwo niewidziane w Pucharze Stanleya od dwudziestu lat: drużyna z LA miała przewagę czterech bramek już po pierwszej minucie drugiej tercji. Byłem na każdym z tych sześciu meczów, na niektóre z nich leciałem specjalnie z kumplami.

Lodowa tafla moich uczuć kibica powoli zanurza się pod wodę, pojawiają się za to kolejne twarze. Bracia Murrayowie, moi najdawniejsi przyjaciele – to z nimi stworzyłem śmieszny sposób mówienia, który poruszał serca milionów ludzi. Craig Bierko, Hank Azaria, David Pressman... ich śmiech był kiedyś jedynym narkotykiem, jakiego potrzebowałem. Ale nigdy bym ich nie spotkał i donikąd nie zaszedł, gdyby Greg Simpson nie obsadził mnie w pierwszej sztuce. Nigdy nie wiesz, dokąd cię coś zaprowadzi... Płynię z tego lekcja, że trzeba chwytać każdą okazję, bo coś może z tego wyniknąć.

Dla mnie wynikło coś wielkiego. Zamknąłem oczy, zrobiłem głęboki wdech, a kiedy je otworzyłem, wokół miałem przyjaciół z *Przyjaciół* (bez nich chyba zagrałbym w czymś zatytułowanym *No Friends*). David Schwimmer sprawił, że trzymaliśmy się razem. Choć mógł dalej iść sam

i zarobić więcej niż reszta, zdecydował, że powinniśmy tworzyć ekipę, co przynosiło nam milion dolarów tygodniowo. Lisa Kudrow – żadna inna kobieta nigdy mnie tak regularnie nie rozśmieszała. Courteney Cox jestem ogromnie wdzięczny, bo dzięki niej Ameryka pomyślała, że ktoś tak piękny jak ona może poślubić faceta takiego jak ja. Jenny jestem wdzięczny za to, że mogłem patrzeć na jej twarz o dwie sekundy dłużej każdego dnia. Matt LeBlanc wziął na siebie jedyną stereotypową rolę i zmienił ją w najzabawniejszą postać serialu. Do każdej z tych osób mogłem po prostu zadzwonić. Podczas spotkania płakałem najwięcej ze wszystkich, bo rozumiałem, co mnie spotkało, a moja ówczesna wdzięczność była równie wielka jak dziś. Poza nimi była też cała ekipa, producenci, scenarzyści, aktorzy, publiczność, tyle różnych twarzy zlewających się w jeden obraz radości. Marta Kauffman, David Crane i Kevin Bright, bez których *Przyjaciele* byłiby niemym serialem. („Czy da się z tego zrobić bardziej niemy film?”) Fani, mnóstwo fanów, którzy byli wierni i dalej oglądają – ich twarze na mnie patrzą, milczące jak Bóg, tak jakbym dalej stał w studiu numer 24 w Burbank. Ich śmiech, który mnie motywował przez tyle czasu, wciąż odbija się echem od ścian kanionu, słyszę go niemal realnie po tylu latach.

Myślę o wszystkich sponsorach i towarzyszach trzeźwienia, i o lekarzach, którzy pomogli mi nie spieprzyć tej najlepszej roboty na świecie.

Patrzę na wodę i mówię cicho:

– Może wcale nie jestem taki zły.

A potem wracam do domu po więcej kawy.

W domu zastaję Erin. Zawsze jest w pobliżu, gdy jej potrzebuję. Nie opowiadam jej, o czym dumałem na patio, ale widzę w jej oczach, że się domyśla. Nic nie mówi, bo tak właśnie robią najlepsi przyjaciele. Erin, Erin, Erin... Ocaliła mi życie w klinice, kiedy pękło mi jelito, i dalej ratuje mnie każdego dnia. Kto wie, co bym bez niej począł. Nie zamierzam nigdy

tego sprawdzać. Wiem, że aż ją skreca, żeby zapalić, ale nie pęka. Znajdźcie przyjaciela, który rzuci jakiś nałóg z wami – będziecie zdumieni, co to robi z waszą przyjaźnią.

Słońce stoi już wysoko, idealny kalifornijski dzień dochodzi do szczytu. W oddali widzę łódki, a jeśli zmrużę oczy, to przysięgam, że dostrzegam surferów unoszących się na spokojnych wodach. Fala wdzięczności dalej wiruje wokół mnie, coraz mocniej, pojawiają się następne twarze: postaci z ulubionych filmów Woody’ego Allena, z serialu *Zagubieni*, Peter Gabriel, Michael Keaton, John Grisham, Steve Martin, Sting, Dave Letterman (za to, że mnie zaprosił pierwszy raz), Barack Obama – najinteligentniejszy człowiek, z jakim rozmawiałem. W szumie bryzy słyszę fortepianową wersję *New York, New York* Ryana Adamsa, nagraną w Carnegie Hall 17 listopada 2014 roku. Nieustannie zdaję sobie sprawę z tego, ile mam szczęścia, że działam w tej branży. Nie tylko dlatego, że mam dostęp do wyjątkowych ludzi, ale również dlatego, że byłem w stanie wpływać na nich w taki sposób, w jaki na mnie wpływa *Don't give up* Petera Gabriela (dobra, nie rozmawiajmy o klipie, na którym obejmuje się z Kate Bush, trudno to wytrzymać). Kiedy myślę o tych wszystkich aktorach, przez moment miga mi twarz Earla Hightowera – ta dobra jej wersja, nie ta zła. Na jej miejscu szybko pojawia się twarz mojego obecnego sponsora Claya, który tak wiele razy mnie uspokajał. Myślę o lekarzach i pielęgniarkach z centrum medycznego UCLA, z wdzięcznością za uratowanie życia. Jestem w tym szpitalu *persona non grata* za to, że przyłapano mnie tam na papierosie, który miał być ostatni. Wielką wdzięczność odczuwam dla Kerry’ego Graynora, bo sprawił, że nie będzie już żadnych ostatnich papierosów. A w tle unosi się duch Billa Wilsona. To on, zakładając AA, uratował wiele milionów ludzi i każdego dnia ratuje kolejnych. Jego organizacja nadal nie dobija rannych i zawsze prowadziła mnie ku światłu.

Czułem wdzięczność do dentystów... nie, stop, nienawidzę dentystów.

Gdzieś za plecami, wyżej na wzgórzu, słyszę słabe echo dziecięcego śmiechu. To mój ulubiony odgłos. Biorę raketkę do pickleballa ze stołu w patio i trochę ćwiczę podania. Jeszcze niedawno nie miałem pojęcia o tej grze i nie sądziłem, że wydobrzeję na tyle, by móc uprawiać jakiś sport. Od dłuższego czasu nie machałem rakieta tenisową, ale ten nowy Matty tęskni za popołudniami w Rivierze, gdzie może uderzać w jaskrawożółtą piłeczkę do pickleballa.

Erin przerywa moje sny na jawie.

– Hej, Matty! – woła do mnie z kuchni. – Dzwoni Doug.

Doug Chapin od 1992 roku jest moim menedżerem i jak wielu ludzi z branży niejedną raz cierpliwie czekał, aż wygrzebię się z dołka. Po to, żebym mógł znów pracować? Żebym mógł znów pisać? Któż mógł przewidzieć, że to będzie możliwe.

Mam łzy w oczach; morze wydaje się odleglejsze, jak sen. Zamykam oczy i czuję ogromną wdzięczność za wszystko, czego się w życiu nauczyłem. Za blizny na brzuchu, które są dowodem, że przeżyłem życie warte tego, by o nie walczyć. Byłem wdzięczny, że mogłem pomagać bliźnim w trudnych czasach. To był zaiste wielki dar.

Migają mi na siatkówce oka piękne twarze kobiet. Cudowne kobiety, które przewinęły się przez moje życie. Dziękuję im za to, że ożywiały mnie i popychały, bym stał się najlepszą wersją człowieka, jaką zdołam. Moja pierwsza narzeczona, Gabrielle Bober, zwróciła uwagę, że coś jest ze mną nie tak, i posłała po raz pierwszy na odwyk. Dziękuję pięknej, magicznej Jamie Tarses za to, że nie pozwoliła mi zniknąć.

Tricia Fisher, ona to wszystko zaczęła. Wdzięczność za twarz Rachel. Za pielęgniarkę w Nowym Jorku, która była jasnym punktem w jednym z najczarniejszych okresów. Jestem nawet wdzięczny kobiecie, która mnie rzuciła, kiedy się otworzyłem. Jestem też wdzięczny za wszystkie cudowne kobiety, z którymi zerwałem, bo się bałem. Jestem wdzięczny i pełen skruchy.

A poza tym wolny i do wzięcia.

W następnym związku, kiedykolwiek się zacznę, nie popełnię błędów powodowanych lękiem. Wiem chociaż tyle.

Słońce stoi w zenicie, czas powrócić do cienia. Nienawidzę tracić z oczu tego widoku. Nie wiem, czy ktokolwiek może pojąć, co taki widok dla mnie znaczy. Nie jestem już samotnie podróżującym dzieckiem, kiedy unoszę się nad światem w ten sposób.

Życie toczy się dalej. Każdy dzień to nowe możliwości, szansa na zachwyty i nadzieję, i pracę, i pójście do przodu. Jestem ciekaw, czy topowa aktorka, która wyraziła duże zainteresowanie moim nowym scenariuszem, powiedziała już tak...

Zatrzymuję się na progu. Moje życie to była seria przejść, z Kanady do LA, od mamy do taty, od *L.A.X. 2194* do *Przyjaciół*, od trzeźwości do uzależnienia, od rozpaczki do wdzięczności, od miłości do jej utraty. Uczę się cierpliwości, powoli rozsmakowuję się w rzeczywistości. Siedząc przy kuchennym stole, sięgam po telefon, by sprawdzić, kto dzwonił. Sławna aktorka się nie odezwała, ale jest jeszcze na to czas.

Tak wygląda teraz moje życie, i jest dobrze.

Spoglądam na Erin, uśmiecha się do mnie.

Gdy jestem w kuchni, zawsze myślę o Bogu. Objawił mi się w kuchni i w ten sposób ocalił życie. Bóg jest zawsze w pobliżu, ilekroć oczyszczam swoje kanały percepcji, by odczuć jego nieogarniętą wielkość. Trudno w to uwierzyć, z uwagi na wszystko, że wciąż objawia się śmiertelnikom. Ale to robi i w tym jest sedno: miłość zawsze zwycięża.

Miłość i odwaga, moi drodzy: dwie najważniejsze rzeczy. Już nie idę do przodu ogarnięty lękiem – podążam z ciekawością. Wokół siebie mam niesamowitą grupę wsparcia, ci ludzie ratują mnie każdego dnia, bo naprawdę zaznałem piekła. Piekło ma konkretne i wyraźne kontury, nie chcę być jego częścią. Mam wreszcie odwagę stawić mu czoło.

Kim się stanę? Ktokolwiek to będzie, wezmę tę postać na siebie jako człowieka, który wreszcie rozsmakował się w życiu. Walczyłem z tym smakiem, i to ostro. Ale przyznanie się do porażki było w ostatecznym rozrachunku wygraną. Uzależnienie, ta Wielka Straszna Rzecz, jest zbyt potężne, by ktokolwiek mógł je pokonać w pojedynkę. Ale wespół w zespół, dzień za dniem, możemy je pognać.

Jedyną słuszością, jaką miałem, to że nigdy się nie poddałem. Nigdy nie podniosłem rąk, mówiąc: „Mam dość, nie dam dłużej rady, wygrałeś”. Z tego powodu stoję teraz wyprostowany, gotowy na cokolwiek, co nastąpi.

Któregoś dnia być może także ty zostaniesz powołany lub powołana, żeby zrobić coś ważnego. Bądź więc gotów, bądź gotowa.

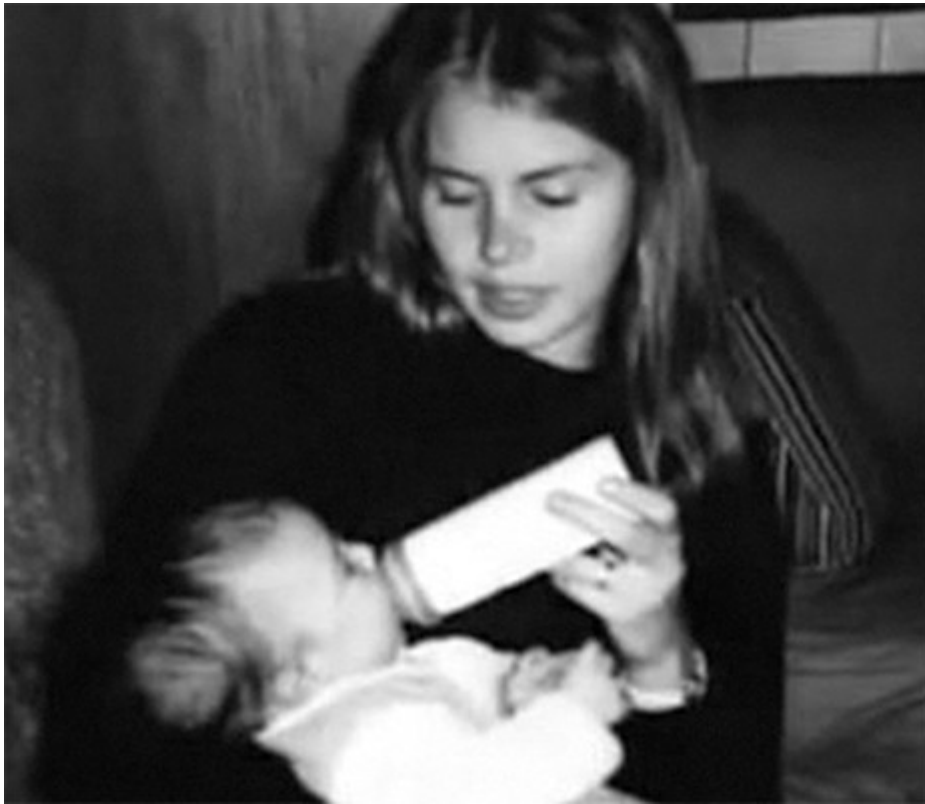
Cokolwiek się wydarzy, pomyśl tylko: „Co by na moim miejscu zrobił Batman?”.

I zrób to.

Zdjęcia



Ja w wieku trzydziestu ośmiu lat. :)



Dziecko karmi dziecko.



Już wtedy wiedziałem, żeby nigdy nie wypuszczać drinka z rąk.



Chłopiec i jego ojciec. Zawsze lubiłem to zdjęcie. Widzicie? Było też mnóstwo dobrych chwil!





Zawsze miałem świetny kontakt z dziećmi. Strasznie żałuję, że nie mam własnych.



Moje dzieciństwo na jednym obrazku.



A tutaj liczę, że uda mi się coś złapać.



Na tym zdjęciu jestem z moją wspaniałą siostrą Marią, przyszłą psychiatrką i matką dwójki dzieci. Wydaje mi się, że już nie nosi tego sweterka.



Moja młodsza siostra Madeline, mój brat Will i ja, niepokazujący zębów.



Te dzieciaki dorosły i uratowały mi życie.



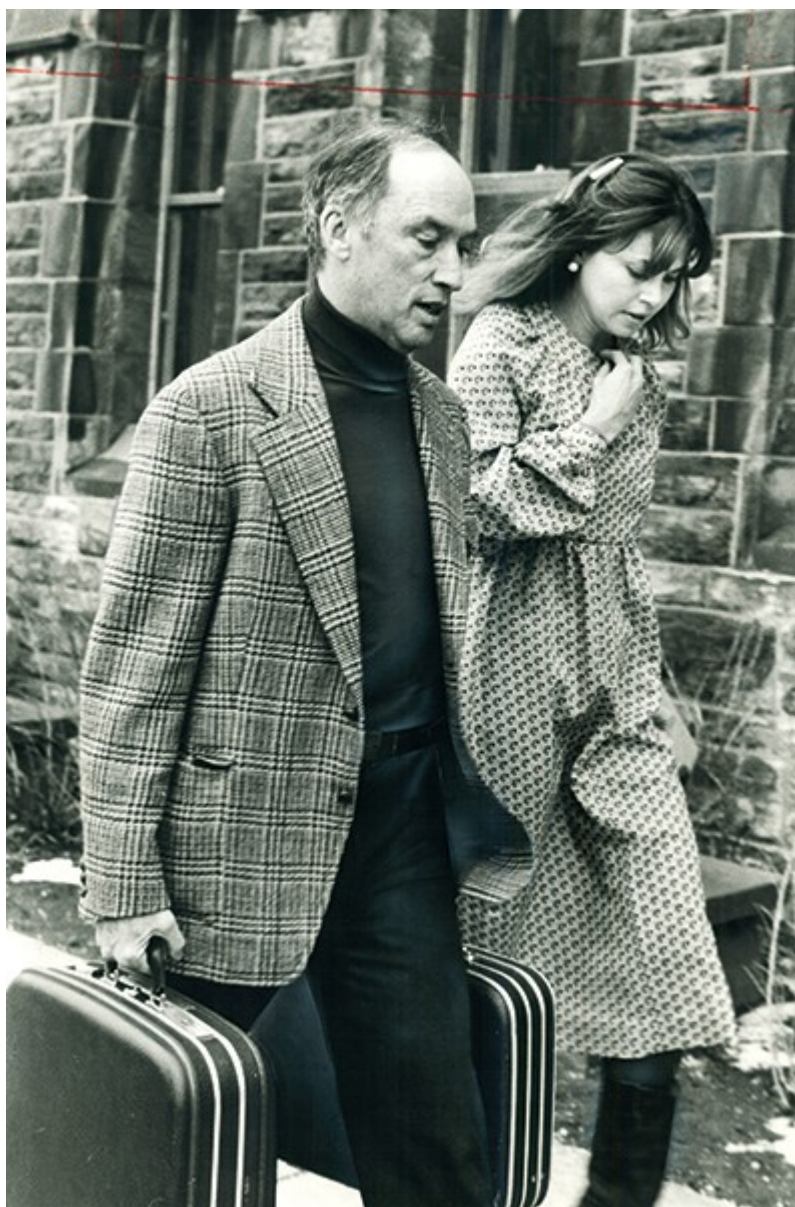
Piekielnie przystojny ojciec i totalnie zdezorientowany syn, zachodzący w głowę, czemu jego stary bierze ślub z kolejną kobietą. Miałem dziesięć lat. Nośłem superancką fryzurę na garnek.



Spróbujcie zgadnąć, o czym myślę na tym zdjęciu, zrobionym na ślubie mojej matki z Keithem Morrisonem. (Oprócz nas widać tu moich dziadków oraz syna Keitha).



A tutaj „prowadzę mamę do ołtarza”.



Mama z Pierre'em Trudeau, premierem Kanady. (fot. Boris Spremo, „Toronto Star” / Getty Images)



Na moje czternaste urodziny tata wynajął tancerkę o pseudonimie scenicznym „Polly Darton”. Rzeczywistość przebija wyobraźnię.



Zaczyna się.



Moja zbyt szybko dorastająca siostra. Uwaga: kiedy pojawia się z bródką, to znaczy, że jadę na vicodinie albo innych prochach.



Ja z tatą w hali Boston Garden, gramy w celebryckiego hokeja. Ojciec był zachwycony. Kibicowałem Kingsom, ale nie mówcie tego nikomu.



Z moją cudowną babcią. Zawsze uśmiechałem się w taki sposób, żeby ukryć krzywe jedyńki. Możecie je zobaczyć w *Polubić czy poślubić*, ale po tym filmie wytwórnia kazała mi poprawić użębienie.



Na planie *Troje do tanga* z Madeline. Oboje żałujemy, że ten film nie okazał się lepszy.



Madeline i ja czujemy się bardzo dobrze w swoim towarzystwie.



A tu zdjęcie, na którym Madeline na mnie nie leży. (fot. Steve Granitz / WireImage)



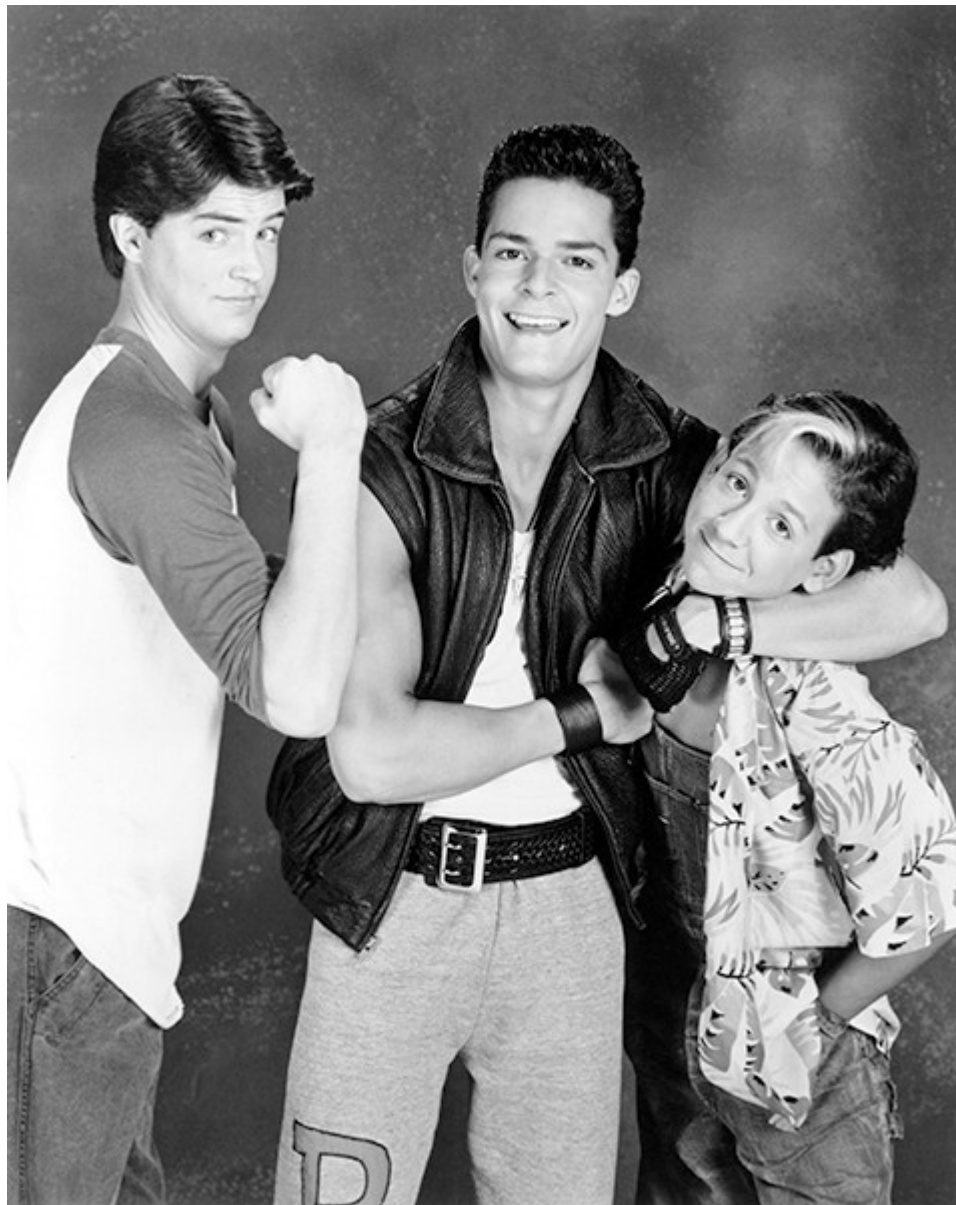
Widzicie? Zawsze miałem nogi urodzonego tancerza.



W 2002 roku byłem nominowany do Emmy w kategorii najlepszego aktora komediowego. Na galę przyszedłem z mamą. (fot. Vince Bucci / Getty Images)



Zdobyłem tonę nominacji za rolę w filmie *Młodzi gniewni*. Historia Rona Clarka – i przegrałem sromotnie z Robertem Duvalem. No wiecie co! (© TNT / za zgodą Everett Collection)



Mój pierwszy serial, *Second Chance*. Nie mogło być gorzej. (© 20th Century Fox Licensing / Merchandising / Everett Collection)



Przez ten serial niewiele brakowało, żeby *Przyjaciele* przeszli mi koło nosa. (© YouTube)



Z pięknym Riverem Phoenixem. (fot. za zgodą Everett Collection)



Z moją byłą dziewczyną Rachel. Czy można być śliczniejszą? Nie można. (fot. Gregg DaGuire / WireImage)



Jedynie nasze zdjęcie, na którym nie gapię się na Rachel. (fot. Chris Weeks / WireImage)



Z najzabawniejszą kobietą pod słońcem. (fot. Ron Galella, Ron Galella Collection / Getty Images)



Z Salmą Hayek (i Jonem Tenneyem) w *Polubić czy poślubić*. Po raz pierwszy w głównej roli. (fot. Getty Images)



Z najsuperowszym facetem pod słońcem. (© 2000 Warner Phot, Pierre Vinet / MPTVImages.com)



Moją rolę w *17 Again* „Los Angeles Times” nazwał „wymęczoną”. Ale przecież dokładnie o to chodziło – miałem wyglądać na wykończonego. (© New Line Cinema / fot. Chuck Zlotnick)



Z piękną Lauren Graham. (fot. AP Photo / Dan Steinberg)



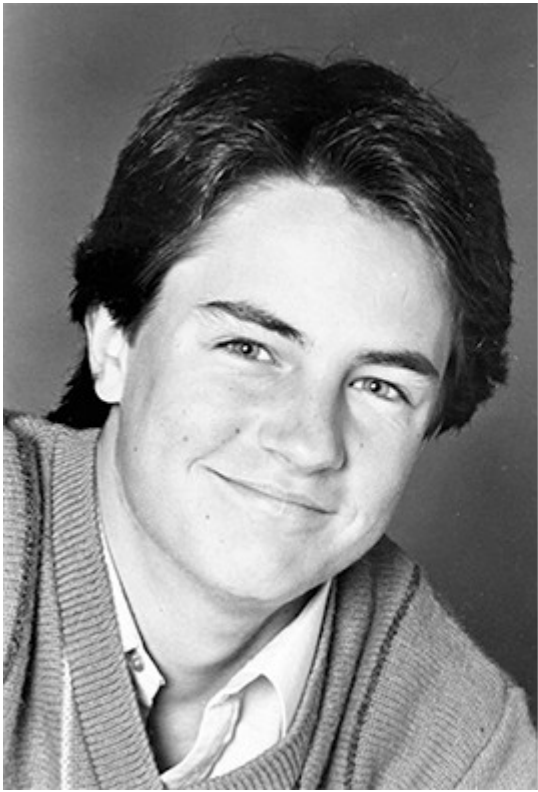
Tutaj udaję, że nie zakochałem się w Valerie Bertinelli. (fot. Jim Smeal, Ron Galella Collection / Getty Images)



Z moim kumplem Bradleyem Whitfordem. (fot. MPTVImages.com)



Najlepsza robota, jaką można sobie wymarzyć. (fot. Neil Munns / PA Wire / Press Association Images)



Moje pierwsze i ostatnie zdjęcie do castingu.

Podziękowania

Dziękuję Williamowi Richertowi, Davidowi Crane'owi, Marcie Kauffman, Kevinowi Brightowi, Megan Lynch, Cait Hoyt, Dougowi Chapinowi, Lisie Kasteler, Lisie Kudrow, Ally Shuster, Gabrielli Allen, a zwłaszcza świetnemu doktorowi Markowi Morrow. Oraz Jamie, słodkiej, magicznej Jamie, za którą tęsknię i o której będę myślał aż do śmierci.

1 Ten garbaty człowieczek, jego garbaty kot i mysz / Mieszkają teraz razem w swoim garbatym domku (przyp. tłum.).

2 Max Yasgur był właścicielem farmy w Bethel, w stanie Nowy Jork, na której terenie w 1969 r. odbył się festiwal Woodstock (przyp. red.).

3 *House of D* – film Davida Duchovny’ego z 2004 r. (polski tytuł: *Głowa do góry*), którego akcja po części rozgrywa się w nowojorskim więzieniu dla kobiet, New York Women’s House of Detention (przyp. tłum.).

4 W anglojęzycznej terminologii tenisowej na „zero” mówi się *love* – miłość: prawdopodobnie wyrażenie to miało oznaczać, że nawet najslabsi zawodnicy grają z miłości do tenisa; w oryginale mamy więc grę słów: „SIX LOVE, NEEDS LOVE, SIX LOVE, SCARED OF LOVE” (przyp. tłum.).

5 *Gaslighting* to forma przemocy psychicznej polegająca na takim manipulowaniu drugą osobą, by przejmować kontrolę nad jej sposobem postrzegania rzeczywistości. Manipulant może udawać, że nie rozumie drugiej osoby, podawać w wątpliwość jej wersję zdarzeń, odrzucać jej wątpliwości czy obawy. Nazwa powstała po premierze filmu *Gasnący płomień* (*Gaslight*) z Ingrid Bergman w 1944 roku (przyp. tłum.).

6 Polskie wydanie tej książki nosi tytuł *Anonimowi Alkoholicy*, przy czym w środowisku AA jest ona znana właśnie jako „Wielka Księga” (przyp. red.).

7 (niem.) Nie rozumiem angielskiego.

8 (niem.) Nie, nie mam pojęcia.

9 (niem.) Nie mam pojęcia, czego pan potrzebuje.

10 Towarzysz trzeźwości to osoba stale (przez całą dobę) towarzysząca osobie uzależnionej, wspierająca ją podczas leczenia uzależnienia. Towarzysz trzeźwości pomaga swojemu podopiecznemu utrzymać całkowitą abstynencję od substancji uzależniających, gdy ten znajduje się poza placówką leczniczą (przyp. red.).

11 W terapii uzależnienia od alkoholu sponsor to osoba, również będąca alkoholikiem, która udziela wsparcia choremu poddającemu się terapii. Relacja tych dwóch osób opiera się na równości i wspólnocie doświadczeń. Sponsor pomaga terapeutę opiekującemu się chorym, musi być więc osobą godną zaufania, taką, na której chory może polegać (przyp. red.).

12 Dowcip polega na podobieństwie brzmieniowym imienia Piers i angielskiego słowa *piece* (przedziurawić, przekłuć, przebić) (przyp. tłum.).

13 DeLorean DMC-12 to samochód „występujący” w słynnej trylogii *Powrót do przyszłości*, gdzie „zagrał” wehikuł czasu, którym podróżował Marty McFly (bohater grany przez Michaela J. Foxa). Model ten był najslawniejszym (i zarazem jedynym) samochodem wyprodukowanym przez amerykański koncern DeLorean (przyp. red.).

Redaktorka inicjująca: Elżbieta Kalinowska
Redaktorka prowadząca: Dorota Zwierzchowska
Przekład: Jacek Żuławnik, Paweł Bravo, Anna Klingofer-Szostakowska, Natalia Mętrak-Ruda
Redakcja: Krystian Gaik
Korekta: Małgorzata Denys, Beata Wójcik

Projekt okładki wydania polskiego na podstawie wersji oryginalnej: Paweł Sky

Projekt okładki oryginalnej: Keith Hayes

Fotografia okładkowa: © Nigel Parry / The Licensing Project

Zdjęcia wykorzystane w książce zostały udostępnione za zgodą autora (jeśli nie zaznaczono inaczej)

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8318-285-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo